









J O H N W O R B Y

# PAMIĘTNIK NIEBIESKIEGO PTAKA

*Motto :*

*„Jedna połowa ludzkości nie wie  
nawet, jak druga połowa żyje“.*



---

KSIĄŻNICA-ATLAS \* LWÓW-WARSZAWA

Z ORYGINAŁU ANGIELSKIEGO THE OTHER HALF  
PRZEŁOŻYŁA Z UPOWAŻNIENIA AUTORA HELENA MYŚLAKOWSKA  
OBWOLUTĘ PROJEKTOWAŁ ZYGMUNT RADNICKI

BIBLIOTEKA  
Pracowników Literat. i Edukacji  
Im. Helm. Jana Żemajskiego  
w Zameściu  
№ 110 . 2240

№ 1  
2240  
2240

244926



1000175039

BIBLIOTEKA  
UMCS  
LWÓW

2840

ZAKŁADY GRAFICZNE SKI AKC. KSIĄŻNICA - ATLAS WE LWOWIE  
PRINTED IN POLAND

D VIII

№ 110 11251 124

**PRZYPISEK ANGIELSKIEGO WYDAWCY:**

„Z wyjątkiem pisowni, interpunkcji oraz pewnych opuszczeń takich epizodów czy wyrażeń, które mogłyby dać powód do zgorszenia, ta autobiografia „Niebieskiego ptaka“ wydrukowana jest tak, jak ją autor napisał.“





## ROZDZIAŁ I

WCZESNE KŁOPOTY. — ŻYCIE W PRZYTUŁKU. — KANADA.

Przypominam sobie, że kiedy miałem może 4 i pół roku, bawiłem się w jakimś ogrodzie małą czerwoną lokomotywą, którą ciągnąłem za sznurek. Przy mnie szła mała dziewczynka, a za nami dwoje ludzi: mężczyzna i kobieta. Jest to pierwszy obraz, jaki mi utkwiał w pamięci. Było to w roku 1915. Później, kiedy byłem starszy, mówiłem do tych ludzi „mamo“, „tato“, „Ewo“. Chodziłem do szkółki, do kościoła i bawiłem się z innymi chłopakami i dziewczętami wiejskimi. Wioska zaś, w której mieszkałem, nazywała się Sawbridgeworth w hrabstwie Herfordshire.

Gdy miałem 9 lat, zacząłem sobie zdawać sprawę, że między mną a moimi towarzyszami zabaw była jakaś różnica, której nie rozumiałem. Dopiero od moich najbliższych współtowarzyszy, którzy mieszkali w domku obok, dowiedziałem się, że jestem „chłopcem z przytułku“! Któregoś dnia spytałem się mamy, co to znaczy: chłopiec z przytułku! Kiedy mi to wytłumaczyła, spojrzałem na nią ze zdziwieniem i zapytałem:

- Jak to, więc nie jesteście moimi rodzicami?
- Nie, Jaśku, ty jesteś sierotą — odpowiedziała.
- Co to znaczy? — spytałem.

Skoro mnie objaśniła, rzekłem:

— To znaczy, że nie mam ani matki, ani ojca, prawda?

— Nie, nie masz — odparła — wiemy tylko, że się nazywasz John Worby, że się urodziłeś 13 maja 1911 roku i że twoja matka nie żyje!

Niebawem dowiedziałem się, że nie jestem bynajmniej jedynym „chłopcem z przytułku“, gdyż jak się okazało, kilka rodzin w naszej wiosce także przygarnęło takich chłopców.

Któregoś dnia nawet przybył nam nowy chłopiec, również z przytułku. Mama stale bowiem miała u siebie takich chłopców na stancji, bo płacili jej po 10 szylingów od „sztuki“.

Ja w każdym razie zostałem tam najdłużej ze wszystkich, inni bowiem chłopcy wcześniej ode mnie do przytułku wrócili.

Byłem bardzo szczęśliwy w domu moich opiekunów i wcale nie pragnąłem lepszego losu.

W czasie wojny mój opiekun został policjantem, a ja mogłem się bawić jego bagnetem i gwizdkiem. Żołnierze byli częstymi gośćmi w naszym domu i bardzo nam było wtedy wesoło. Ale już od najwcześniejszych lat mojego życia zmienności losu zaczęły mnie prześladować. Jako 9-letni chłopak dostawałem się zawsze w „kabałę“, bo kiedy na przykład razem z innymi chłopcami zakradałem się do cudzego ogrodu na jabłka, to inni zdążyli uciec, mnie natomiast zawsze przychwycono na gorącym uczynku. To też za każdym razem dostawałem po uszach od starego „polikiera“ Davisa, ale że był to klawy chłop,

który w gruncie rzeczy nas lubił, więc nie dostałem nigdy więcej ponad to, na co zasłużyłem.

Pewnego dnia zakradłem się znów do czyjegoś sadu w towarzystwie moich przyjaciół. Napchaliśmy sobie kieszenie pysznymi gruszkami i jabłkami i właśnie kiedy już zamierzaliśmy zwiać z ogrodu, któryś z chłopców krzyknął: „Uwaga, polikier!“. Jak na komendę rzuciliśmy się do ucieczki, siejąc po drodze naszymi skarbami. Na nieszczęście Joasia i ja dobiegliśmy do płotu ostatni, więc stary Davis znowu nas złapał. Odebrał nam jabłka, powiedział Joasi, że ją zamknie, tak samo jak mnie, ale ponieważ zaczęliśmy płakać, więc nas puścił. Nim nas jednak puścił, wytargał nas za uszy przez rękawiczki i rzekł:

— Żeby mi to było ostatni raz, bo jak jeszcze raz przyłapię was na kradzieży, wsadzę was tam, gdzie pakuje wszystkie niegrzeczne dzieci.

Tamte dzieci tymczasem, czując się bezpiecznymi za płotem, zaczęły wołać:

— Stary polikier! — Stary polikier! — Nie złapiesz nas — nie!

Słyszac to stary Davis zezłościł się na dobre, poleciał za nimi, dopadł jednego z chłopców i wytargał za ucho.

Po tej ostatniej nieudanej wyprawie na jabłka, uspokoiliśmy się na jakiś czas.

Pamiętam, że opowiedziałem to tacie, ale on się tylko roześmiał, do mamy zaś rzekł:

— Zobaczysz, że któregoś dnia go przymkną.

Ale na mnie nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Często też tata garbował mi skórę, jak coś zbroilem, szczególnie kiedy patrząc zza płota, zobaczył, że ci-

skam butami we wróble. Wtedy poszedł do mamy:

— Daj no mi rzemień. Znowu płoszy wróble. Nauczę go rozumu!

I zaczęła się lanie. Darłem się wniebogłosy, aż mama przerywała:

— No — już dosyć, już tam ma za swoje — a wtedy tata zawsze przestał mnie okładać, a mama cichaczem przynosiła mi kawałek ciasta albo parę centów.

Któregoś dnia niewiadomy sprawca odkręcił kurek od zbiornika z olejem, który stał na podwórku niejakiego Triggy Gafe, właściciela dużej hurtowni. Na mnie znów zwalono winę.

Stary Davis przyszedł do nas do domu i powiedział do mamy: „Wasz chłopak znowu szkody narobił“, a gdy tata wrócił z roboty, zdjął rzemień, który zawsze wisiał na wieszaku, i znów dostałem lanie, choć nic tym razem nie zawiniłem. Wkrótce potem zabrano mnie z powrotem do przytułku.

Żał mi było opuścić dom i gorzko płakałem, kiedy zawleczono mnie przemocą do ciężarowego samochodu, który po mnie przyjechał, a na płaszczu moim przyklepiono jakiś numer. Nie miałem pojęcia, dokąd jadę, wiedziałem tylko, że mnie zabierają do jakiegoś przytułku. Po męczącej podróży dojechaliśmy wreszcie do stacji kolejowej, jak się później okazało, w północnej Anglii.

Na stacji oczekiwała mnie kobieta lat średnich, ubrana w długi niebieski płaszcz, na głowie miała czapkę w kształcie rondla, z którego zwisała długa wstążka, opadająca jej na plecy.

— Czy to ty jesteś John Worby? — zapytała.

— Tak, to ja — odpowiedziałem.

— No, to chodź ze mną, zabieram cię do dużego, ładnego domu, gdzie więcej jest takich chłopców jak ty.

Ruszyliśmy więc w drogę. Po drodze opowiadała mi dużo o chłopcach z którymi odtąd będę mieszkał, i o różnych zabawach. Po przyjsciu do przytułku, chmara gapiących się bębów otoczyła mnie natychmiast. Wszyscy byli jednakowo ubrani, mieli na sobie krótkie spodenki, skarpetki, wysokie buty, niebieskie swetry i marynarki. Jeden z chłopców rzekł:

— Ten bękart nie będzie spać z nami — wygląda do niczego — nie trzeba nam takich! Pewnie nawet bić się nie umie!

W jednej chwili rzuciłem się na niego i z miejsca wywiązała się walka, gdy nagle jedna z sióstr chwyciła mnie za kark.

— Ładnie zaczynasz — rzekła. — Ledwie cię zostawiłam na chwilę, żebyś się zapoznał z tymi grzecznymi chłopczykami, a ty od razu zaczynasz się bić! Pamiętaj, że tutaj bić się nie wolno.

— Kiedy on powiedział, że ja nie potrafię się bić — bronilem się — przecież musiałem mu pokazać, że potrafię. I powiedział jeszcze, że jestem bękartem!

Siostra zwróciła się z kolei do chłopca, który mnie wyzwał, i oświadczyła:

— Zdejm natychmiast buty i pończochy i idź prosto do łóżka, a rano poskarżę na ciebie przełożonej.

Chłopak posłusznie spełnił polecenie — siostra zaś zwróciła się do mnie ze słowami:

— Pójdiesz ze mną.

Zabrała mnie do pokoju, gdzie było kilku mniejszych chłopców, tam kazała mi się rozebrać i dała mi cały stos ubrań i swetrów, całkiem podobnych do tych, jakie mieli tamci chłopcy, ja zaś widząc to powiedziałem, że nie potrzebuję jej rzeczy, że chcę wracać do domu.

Spojrzała na mnie surowo i rzekła:

— Słuchaj, mały, tutaj nie możesz robić, co ci się podoba. Tu musisz nauczyć się słuchać, jeśli cię tego w domu nie nauczono.

Położyła przede mną regulamin porządku domowego i pouczyła mnie, jakim karom podlegają niesforni wychowankowie.

Powiedziałem jej raz jeszcze, że nie chcę tu zostać i zacząłem płakać. Wtedy siostra uznała:

— Najlepiej będzie, jeśli teraz pójdiesz spać, a jutro może inaczej patrzeć będziesz na tę sprawę.

Zaprowadziła mnie do sypialni, w której było 25 łóżek. Ledwie wszedłem, zobaczyłem chłopca, z którym się pobiliśmy. Siostra poprawiła mi poduszkę i powiedziała:

— Żebyś mi się nie odważył na nowo wszcząć awanturę! Jak cię jeszcze raz przyłapię na bójce, skrócę ci czas zabawy!

Czułem się strasznie osamotniony i opuszczony i zacząłem płakać. Sypialnia była duża, zaciszna, ponura, mój przeciwnik nie pisnął ani słowa, ja zaś w tej chwili z całej duszy pragnąłem być z powrotem w mojej małej izdebce w Sawbridgeworth. Po upływie pół godziny tamten chłopak zaczął na nowo wysmiewać się ze mnie i wtedy zaczęła się kłótnia.

W końcu miałem tego dość, wyskoczyłem z łóżka, przeleciałem całą sypialnię wzdłuż i cisnąłem w niego poduszką. Czas jakiś tłukliśmy się poduszkami, wreszcie od poduszek przeszliśmy do pięści. W pewnym momencie drzwi się otworzyły z hałasem i siostra wrzasnęła:

— Marsz do łóżka, smarkacze! Zaraz do was przyjdę!

Wyszła trzaskając drzwiami i za chwilę wróciła ze szczotką w ręku. Podeszła do łóżka tamtego i ściągnęła kołdrę.

— Przewróć się — rozkazała. Chłopak posłusznie przewrócił się i położył na brzuchu, a wtedy siostra podniosła w górę jego koszulę i za chwilę cała sypialnia zatrzęsała się od głośnych razów i krzyków, w miarę jak okładała szczotką tylną część jego ciała.

— Siostró, siostró, już nie będę! — krzyczał. Odpowiedziała:

— Będziesz miał nauczkę!

Przeszła przez pokój i z kolei odrzuciła moją kołdrę.

— Przewróć się — rozkazała.

— Ani myślę! — odparłem.

— Rób, jak ci każe — rozkazała — i połóż się na brzuchu!

— Nie, nie położę się — krzyczałem — nie pozwolę się bić, a jeśli mnie dotkniesz, to cię kopnę!

Siostra zbladła, zacisnęła zęby i zaczęła się ze mną mocować, chcąc koniecznie mnie przewrócić. Wtedy zacząłem ją drapać, kopać, szarpać za włosy, drąc się przy tym wniebogłosy, w końcu jednak zostałem pokonany i dostałem lanie.

Kiedy przestałem szlochać, postanowiłem sobie w duchu robić wszystko na złość i być jak najbardziej nieznośnym. Tamten chłopak zaś powiedział:

— Cie — to dopiero bohater, że sprął siostrę! Będziesz się miał jutro z pyszna! Dostaniesz ty od przełożonej, dostaniesz!

Powiedziałem mu, że gwizdzę na to, a wtedy chłopak zaczął mi opowiadać o przytułku mówiąc, że jest to wstrętna buda i że wkrótce ma przyjść nowy dyrektor. Na drugi dzień rano przełożona zawołała mnie do siebie i musiałem wysłuchać długiego kazania.

Po miesięcznym pobycie w przytułku postanowiłem do spółki z drugim chłopcem uciec stamtąd, bo obydwaj czuliśmy się bardzo nieszczęśliwi. Gdy parami maszerowaliśmy do szkoły, wystąpiliśmy z szeregu pod pozorem zawiązania sobie rzemyków u butów, a kiedy reszta chłopców zginęła nam z oczu, daliśmy drapaka w przeciwnym kierunku. Szliśmy cały dzień gościńcem, nie wiedząc, dokąd idziemy i co dalej z nami będzie. Pod wieczór dopiero spotkaliśmy policjanta na rowerze, który nas zaczepił:

— A dokąd to, chłopcy, tak idziecie?

Mój towarzysz powiedział, że idzie odwiedzić swoją ciocię, ja natomiast rzekłem:

— Ja nie idę do żadnej cioci, ja po prostu uciekłem.

Wtedy policjant oświadczył:

— No, to pójdziecie ze mną. — I zaprowadził nas na posterunek policji w Holmes-Chapel. Policjanci okazali nam dużo serca, nakarmili nas, i muszę powiedzieć, że od czasu, kiedy opuściłem dom moich przybranych rodziców, żaden posiłek tak mi nie



smakował. Po kilkugodzinnym pobycie na posterunku przodownik rzekł:

— Teraz muszę was odprowadzić z powrotem do przytułku.

Wsiadł na rower, my zaś musieliśmy iść pieszo obok niego.

Późną nocą wróciliśmy do przytułku. Siostra zabrała nas natychmiast do łazienki i tam kazała nam wyciągnąć ręce z dłońmi do góry. Potem wzięła szczotkę i sylabizując każdą literę, uderzała nas szczotką po dłoniach, tak że słowo „H-o-l-m-e-s“ wypadło na lewą rękę, a słowo — „Ch-a-p-e-l“ na prawą

— To was nauczy rozumu — powiedziała — mam nadzieję, że na drugi raz odechce się wam uciekać.

Od tej pory cokolwiek uczyniłem, zawsze zostałem ukarany. Nikt mi nigdy nie wytłumaczył różnicy między tym, co jest złe, a co dobre — co można robić, a co nie. Toteż z każdym dniem nienawidziłem bardziej nasz przytułek, a skutek był ten, że zaczęto mnie uważać za najgorszego chłopca w całym zakładzie i mówiono mi, że powinienem się wstydić. Nikt nigdy przez cały czas mego pobytu w zakładzie nie odnosił się do mnie jak do rozumnej istoty, toteż sposób, w jaki się ze mną obchodzono, wywoływał u mnie tylko rozgoryczenie i nienawiść. W duchu zaś modliłem się, aby nareszcie nadszedł upragniony dzień, kiedy skończę lat 18 i gdy będę nareszcie mógł wyjść z tego piekła.

Pewnego dnia przyjechał nowy dyrektor i w tej chwili zawołał mnie do siebie.

— Ach, więc ty jesteś tym najgorszym chłopcem

w zakładzie? — powitał mnie, patrząc zza okrągłych okularów. — Ile masz lat?

— Dwanaście.

— No, to już najwyższy czas, żebyś wiedział, jak się zachowywać. Nie masz nic na swoje usprawiedliwienie.

I zwracając się do przełożonej, rzekł:

— Skrócić mu czas rekreacji i wyznaczyć dodatkową pracę, aż do czasu kiedy się poprawi.

W jakiś czas potem zapytano mnie oraz jednego z chłopców, który podobnie jak ja również miał złą markę, czy nie mielibyśmy ochoty zostać marynarzami i przenieść się do innego zakładu.

Zgodziliśmy się bez wahania. W dniu naszego wyjazdu dyrektor zawołał nas do siebie, mówiąc nam, że jedziemy do nowego zakładu, gdzie znajdziemy innych towarzyszy i inne środowisko. Od tej pory mamy zacząć nowe życie. Na pożegnanie podał nam rękę i życzył nam powodzenia w życiu.

Pojechaliśmy więc do tamtego zakładu. Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, zawezwano nas również do dyrektora, który rzekł:

— Nie macie wprawdzie zbyt dobrej marki ale chciałbym, żebyście zapomnieli o przeszłości i zaczęli nowe życie.

Ale i w tym zakładzie nie lepiej nam się wiodło. Ja raz po raz coś nabroiłem i nie było prawie dnia, żebym nie dostał lania. Nikt nigdy nie starał się widzieć we mnie ludzkiej istoty, którą należy kierować, a nie popychać, nikomu nie przyszło na myśl, że przecież dobrze by było starać się mnie zrozumieć. Po dwóch dalszych latach tego życia w piekle,

w czasie których coraz silniej zbierała się we mnie nienawiść do każdej „władzy“, zapytano mnie, czy nie chciałbym zostać „fermerem“. Pokazano mi fotografie księcia Walii, jadącego konno przez swoją „ranchę“ (fermę) w Kanadzie, i objaśniono mi, że nigdzie na świecie nie znajdę tylu możliwości życiowych, co w Kanadzie.

Byłbym chętnie się nawet zgodził pójść na koniec świata, byle się z tego piekła wydostać. Toteż dzień 22 sierpnia 1924 r. wydał mi się najszcześniejszym dniem mojego życia, ponieważ załadowałem się w Liverpoolu na okręt „Montrose“, razem z kuferkim, zawierającym cały mój ziemski dobytek.

Razem ze mną jechała jeszcze cała paczka innych chłopców zakładowych. Życie na tym statku wydawało mi się rajem, w porównaniu z okropnościami życia w zakładzie. Byłem szczęśliwy, że to wszystko już miałem za sobą. Przez cały czas mego pobytu na statku nie usłyszałem ani jednego ostrego słowa i nikt nie usiłował złamać ducha mojego żelazną dyscypliną. Nareszcie poczułem się ludzką istotą.

Dnia 3 września 1924 r. zgodziłem się do pracy na fermie niejakiego Karola Coverdale, koło Ontario, z pensją sześciu dolarów miesięcznie wraz z utrzymaniem. Zostałem u niego około dwóch lat; z mojego zarobku dostawałem na rękę tylko 25 centów tygodniowo, resztę posyłano do zakładu na „książeczkę oszczędności“.

Życie na fermie podobało mi się. Chodziłem do sąsiadów w odwiedziny, a chodząc w niedzielę do kościoła, przekonałem się, że cały szereg chłopców

zakładowych pracuje również w okolicznych fermach.

W miarę jak wrastałem w to moje środowisko, zacząłem powoli zatracać przygnębiającą świadomość, że jestem „chłopcem z zakładu“.

W sobotę wieczorem, kiedy spotykałem się w kawiarniach i barach z chłopcami, pracującymi na innych fermach, zaczynałem przypuszczać, że życie moje ma przecież pewną wartość w świecie, zacząłem snuć plany na przyszłość — a przede wszystkim zastanawiałem się, co pocznę ze sobą, kiedy wreszcie wyzwolę się spod nadzoru zakładu. Chciałem spokojnie żyć i zarobkować na własną rękę, a nie wynajmywać się za psie pieniądze, dlatego tylko, że zakład tak postanowił. Chciałem samodzielnie wynajmując się do pracy na innej fermie, gdzie zarobiłbym trzy lub cztery razy więcej.

W ten sposób orali mną na kilku fermach, na których zakład kolejno kazał mnie umieszczać, sam zaś nie mogłem o niczym zdecydować. Wreszcie pokłóciwszy się z ostatnim gospodarzem postanowiłem uciec w świat.

Nie musiałem daleko pracy szukać, gdyż już sąsiedni fermer przyjął mnie z pensją 25 dolarów tygodniowo z utrzymaniem. Mieszkałem u niego może z miesiąc, zanim moi opiekunowie z zakładu nie dowiedzieli się o miejscu mojego pobytu. Wtedy przysłali po mnie jednego ze swych urzędników. Skoro zjawił się u gospodarza i zapytał o mnie, gospodarz spytał go, czego tu szuka.

— Jestem przedstawicielem zakładu, który jest odpowiedzialny za Johna Worby'ego — odpowiedział — i polecono mi zbadać, co on tu robi na waszej fermie.

Gospodarz zwrócił się do mnie i zapytał:

— Czy znasz tego człowieka, Jaśku?

— Owszem — odparłem — to jest urzędnik zakładu, ale ja nie chcę z nim iść. Jeśli mnie do tego zmusicie, to znowu ucieknę. Tu mi jest bardzo dobrze.

Wtedy gospodarz zwrócił się do urzędnika:

— Czy pan słyszał?

Zanim urzędnik zdołał odpowiedzieć, gospodarz zwrócił się do mnie i skinąwszy mi głową rzekł:

— No, chodźmy, Jaśku. Siano czeka, nie troszcz się o niego.

To mówiąc trzasnęła drzwiami prosto w nos urzędnika.

Wyszedłem z gospodarzem na łąkę, a zobaczywszy, że samochód urzędnika ruszył w drogę, podrzuciłem czapkę do góry i na głos krzyknąłem „hurra“! Pierwszy raz w życiu udało mi się postawić na swoim wobec „opiekunów“ z zakładu.

U gospodarza pracowałem około sześciu miesięcy i z przykrością zabrałem się do odejścia, kiedy okres mojej pracy się skończył. Pożegnawszy się z nim pojechałem do miasteczka Hamilton, gdzie po raz pierwszy poznałem, co to jest życie. Chodziłem do kina, jak mogłem najczęściej i kupowałem sobie mnóstwo drobiazgów, które przedstawiały dla mnie niesłychany zbytek: wieczne pióro, nóż fiński, paski i inne głupstwa, które spodobały mi się w danej chwili.

Kiedy puściłem wszystkie pieniądze, poszedłem do filii zakładu i zażądałem zwrotu moich oszczędności. Dali mi więc najpierw trzydzieści dolarów,

które wkrótce wydałem, potem dwadzieścia, wreszcie gdy zjawiłem się po dalsze, urzędnik wręczył mi ostatnie piętnaście dolarów, nie szczędząc mi przy tym zbawiennych uwag, które puściłem mimo uszu. Czuję się tylko niewymownie szczęśliwy, że zerwałem ostatnią nić, łączącą mnie z zakładem.

Pojechałem do Toronto, gdzie dostałem posadę biletera w teatrze. Przedstawienia trwały jednak zbyt długo i któregoś dnia straciłem tę posadę, ponieważ zasnąłem i spóźniłem się na przedstawienie. Zostałem z kolei pomywaczem w restauracji, ale ta praca nie podobała mi się. Stojąc w zadymionej kuchni miałem ochotę zawołać „wišta“, jak wołałem na konie, wracające do stajni.

Wróciłem więc do Hamiltonu i obliczyłem, że z moich oszczędności potrafię zaledwie żyć przez tydzień. Jak minął tydzień, a ja wciąż jeszcze nie znalazłem pracy, włożyłem najlepsze ubranie i wyszedłem z domu. Byłem bez posady, bez dachu nad głową i bez żadnych widoków na przyszłość, ale za to byłem silny, zdrowy i miałem 17 lat. Opuściłem miasto, nie troszcząc się, dokąd idę, ale ciągle przyświecała mi myśl, że kiedyś z czasem dorobię się wielkiego majątku.

## ROZDZIAŁ II

### DZIWNNA ZNAJOMOŚĆ. — PRZEJŚCIE PRZEZ GRANICĘ. — NIESAMOWITY WIECZÓR.

Szedłem sobie spokojnie gościńcem wiodącym do wodospadów Niagary, wtem nagle nadjechał mały „Fordzik“ i zatrzymał się koło mnie. Kiedy się zbliżyłem, drzwiczki się otworzyły i wyszedł z nich młody mężczyzna. Mówię „mężczyzna“, ale później często się zastanawiałem, do jakiego on rodzaju właściwie należał.

— Hallo, Buddy! — zawołał. — Jakże tam?

— Kiepsko — odpowiedziałem. — Jestem bez pracy, nie mam domu ani forsy i nie wiem, co z sobą począć.

— No, no, coś takiego — zdziwił się nieznajomy. — Pomyśleć, że taki ładny chłopczyk jak ty znalazł się nagle na bruku! Muszę przyznać, że świetnie jesteś zbudowany. Podoba mi się twoja męska uroda. Siadaj! Jadę do Buffalo w Stanach Zjednoczonych. Chciałbyś ze mną pojechać?

Nie namyślając się długo, odpowiedziałem:

— Jeszcze jak! Chciałbym bardzo pojechać do Stanów.

Wskoczyłem do samochodu. Usiadłem obok nieznajomego i ruszyliśmy w drogę. Doskonale pamię-

tam ten dzień. Było cudownie ciepło. Moje granatowe ubranie szare było od kurzu, ja sam cały byłem zmęczony i zgrzany, toteż siedzieć wygodnie w samochodzie i przez szyby podziwiać piękno krajobrazu wydawało mi się wówczas szczytem rozkoszy. Nie przypuszczałem wszakże, co mnie jeszcze czeka.

Wówczas byłem jeszcze tak niewinny jak nowonarodzone dziecko, to zaś miała być moja pierwsza w życiu przygoda.

Ujechaliśmy parę mil, kiedy mój towarzysz rzekł:

— Czy nie zjadłbyś tych kanapek, które tu mam ze sobą? Jestem pewny, że musisz być głodny.

Byłem głodny jak wilk, toteż nie odmówiłem poczęstunku, który przyszedł w samą porę, i z wielkim apetytem pochłonałem chciwie bułki, ciągle jeszcze nie mając najmniejszego pojęcia, co pocznę ze sobą po przyjeździe do Buffalo.

W czasie zajadania kanapek mój towarzysz pierwszy zaczął rozmowę. Powiedział mi, że jest kierownikiem kawiarni w Buffalo i że przyjechał do Hamilton odwiedzić jakichś przyjaciół. Powiedział, że jest Jankesem, że zarabia 35 dolarów tygodniowo, i zaproponował mi, żebym z nim razem zamieszkał, zapewniając mnie, że się na pewno zgodzimy.

— Podobasz mi się — ciągnął dalej — chcąc cię jednak przewieźć przez granicę, muszę cię przedstawić jako mego siostrzeńca, który przyjeżdża do mnie w odwiedziny, a jak już raz znajdziemy się za szlabanem, wszystko pójdzie gładko.

W ten sposób w krótkim czasie zostaliśmy krew-



nymi i właśnie kończyliśmy naszą rozmowę, kiedy dojechaliśmy do mostu. Dostaliśmy jakieś znaczki i w ten sposób przekroczyliśmy granice Stanów, gdzie z miejsca zatrzymali nas amerykańscy celnicy. Otworzyli wóz, zrewidowali gruntownie, zasypali nas gradem pytań, a mnie zapytali, czy mam zamiar osiaść w Stanach i szukać pracy.

— Ani myślę — odparłem — jestem Anglikiem, przyjechałem na kilka dni w odwiedziny do krewnych, a potem wracam. Nie zostałem w waszym kraju, nawet jakbyście mi dopłacili.

Zanim jednak skończyłem powtarzać wyuczone słowa, celnicy zatrzasnęli drzwiczki i wóz ruszył. Ledwośmy ruszyli, poczułem rękę mojego towarzysza — było mu na imię Reg — na moim kolanie. Ściskając je rzekł:

— Świetnie się spisałeś, rad jestem, że już po wszystkim. To było wielkie ryzyko z mojej strony.

Po chwili dotknął ręką moich włosów i głaszcząc je, ciągnął dalej:

— Ty jednak wart jesteś tego ryzyka, prawda, mały? Teraz, kiedy już jesteśmy bezpieczni, należysz do mnie. Będziesz mi wierny, prawda? Pomogłem już wielu chłopcom, ale każdy z nich po jakimś czasie okradł mnie i uciekł.

Opowiedział mi o jednym chłopcu, którego spotkał na drodze tak jak mnie, odział go, nakarmił i starał się o niego jak o własnego brata, a ten chłopak ukradł mu zegarek i uciekł z domu w czasie jego pobytu w mieście.

Oświadczył mi, że ta historia złamała mu serce i że dlatego chciałby ze mnie zrobić „swego chłop-

ca". Obiecał, że będzie mnie żywił i ubierał i da mi nawet pieniądze, byłem tylko dochował mu wierności i nie urządził mu takich kawałów jak mój poprzednik.

Dziwny sposób wyrażania się Rega, jak również i całe jego zachowanie zaczęły budzić we mnie niepokój. Słowa jego stawały się coraz czulsze, tak że w końcu zacząłem porównywać go do pewnej kobiety, u której ostatnio mieszkałem, a kiedy pieśczoły jego stawały się coraz bardziej natarczywe, doznałem niesamowitego uczucia, którego wszakże w żaden sposób nie mogłem określić. Było to coś dziwnie kojącego i przejmującego zarazem, coś, co wzmaęało się, w miarę jak mnie dotykał. Chwilami nawet, kiedy cofnął swą rękę, czułem się opuszczony i samotny. Nigdy do tej pory nie doznawałem podobnych uczuć, zaś fakt, że miałem do czynienia z mężczyzną, utrudniał mi sytuację.

Dziwiłem się i zdumiałem, że mężczyzna potrafi do tego stopnia udawać kobietę, Reg zaś ciągle mnie pytał, czy go kocham i czy zawsze będę do niego należeć. Dodał, że tego rodzaju dotykanie mnie sprawia mu wielką rozkosz i czy nie mam mu tego za złe. Odpowiedziałem dla świętego spokoju, że go kocham — chociaż nie wiedziałem jeszcze wówczas, co te słowa znaczą — i, że jeżeli takie głaskanie mnie sprawia mu przyjemność, to nie mam nic przeciw temu. I dodałem także o dziwnym wrażeniu, jakiego doznaję, ilekroć mnie dotknie. Gdy siedząc tak razem koło niego w zamkniętym samochodzie, tysiąc sprzecznych myśli kołowało mi w głowie, zastanawiałem się, za co on tak od razu mnie pokochał

i dlaczego jest tak inny od wszystkich dotychczas spotykanych ludzi. Będąc tak pogrążonym w myślach usłyszałem nagle trzask i omal że nie wyleciałem przez otwarte okno na froncie wozu. Zobaczyłem jednocześnie jakiegoś przydrożnego przechodnia, który o mały włos byłby się znalazł pod kołami. Słyszałem, jak Reg zawołał:

— Idiota! Cymbał! — mierząc przechodnia wzrokiem.

Potem zwracając się do mnie, zapytał z czułością:

— Nic ci się nie stało, kochanie?

— Nic — nic — pospieszyłem z odpowiedzią; — Reg więc poklepał mnie po ramieniu i pojechaliśmy dalej.

Nigdy nie zapomnę tej podróży do Buffalo. Zmrok zapadał i po obu stronach gościńca zapłonęły miliony małych, kolorowych, elektrycznych żarówek, mijające cienie sygnałów świetlnych przemykały obok nas, głosy syren, dzwonek, hałas i gwar ludzi krzyczących, pędzących, przebiegających przez jezdnię, a w tym wszystkim miarowy warkot „Fordy“. — Wszystko to wywarło na mnie niezatarte wrażenie. Kiedy olśniony patrzyłem na ten cały wielkomiejski ruch, Reg rzekł:

— Napijemy się tu herbaty, a potem pójdziemy do kina.

I dodał, że po kinie przejedziemy się jeszcze przez miasto, a potem do domu.

Zajechaliśmy przed jakąś kawiarnię, która wyglądała jak pałac. Jakiś wygalonowany starszy pan wytwornym ruchem otworzył drzwiczki auta i weszliśmy z Regiem do wnętrza. Na samym wstępie olśnił

mnie blask światła i dużych lusterek wiszących dokoła od powały po ziemię i wtedy po raz pierwszy doznałem czegoś w rodzaju lęku. Reg zauważył to natychmiast i w serdecznych słowach dodał mi otuchy. Zdjąwszy kapelusze usiedliśmy przy okrągłym stoliku ze stali, na którym stał wazon z kwiatami. Podczas gdy kelnerka rozkładała przed nami haftowany obrus, Reg wziął jadłospis do ręki i spytał mnie, co ma zamówić. Odpowiedziałem, że nie wiem. Wtedy sam zamówił obiad dla nas obojgu.

W oczekiwaniu potraw miałem po raz pierwszy sposobność przypatrzeć się bliżej Regowi, do tej pory bowiem myśli moje tak były pochłonięte tą niesamowitą przygodą, że nie miałem właściwie czasu przyjrzeć się jego twarzy. Nie zauważył, że mu się przyglądam, bo przez dłuższy czas badał zawartość swoich kieszeni. Twarz jego była pięknie opalona, oczy miał niebieskie, włosy blond, usta jego były czerwone i pięknie wykrojone, czoło szerokie, a jasne jego włosy zaczesane w tył układały się w miękkie fale. Uszy jego były małe i zgrabnie wyrzeźbione — nos prosty i szlachetny w rysunku, zaś cerę miał, jak kobieta, gładziutką i miękką. Wyglądał jak żywy posąg. Miał na sobie jedwabną koszulę rdzawego koloru i kanarkowo-żółty krawat, ubranie było z jasnopopielatej flaneli, a do tego rdzawego koloru buty. Był średniego wzrostu, ręce miał starannie manikirowane, a paznokcie malowane na czerwono. Na rękę miał kosztowny zegarek, z ametystową gałką do nakręcania. Byłem cały pochłonięty jego urodą, kiedy weszła kelnerka, niosąc nam pierwsze danie, a że byłem głodny, więc pragnąłem jak naj-

szybciej się posilić. Nasz obiad składał się z pieczeni baraniej, smażonych ziemniaków i makaronu, zaś na deser dostaliśmy czarną kawę, ciastka i papierosy. Przez cały czas musiałem odpowiadać na pytania Rega oraz snuć plany na przyszłość. Po obiedzie poszliśmy do kina, gdzie grali jakiś świetny film, chociaż przyznam się, że znacznie mniej przejmowałem się sztuką, niż mój towarzysz, który kilkakrotnie w czasie przedstawienia, kładąc mi rękę na kolanie, pytał troskliwie:

— Dobrze ci, kochanie? — a ja zawsze odpowiadałem — Dobrze, — dobrze.

Śmiałem się w duchu z tej niezmiernej troskliwości Rega, bo przecież znaleźliśmy się zaledwie sześć godzin. Kiedy przedstawienie się skończyło, Reg oświadczył, że przewiezie mnie po mieście, jak już obiecał. Toteż z wielką niecierpliwością wsiadałem do samochodu, ciesząc się z góry tymi przyjemnościami.

Zaczęliśmy więc naszą wędrowkę przez rojne i gwarne ulice miasta, wśród olśniewających świateł, od jakich mieniały się wystawy sklepów. Po jakimś czasie jednak, Reg zakręcił w bok i wjechaliśmy w jakąś ciemną i pustą ulicę. Zamknął motor i zwracając się do mnie, powiedział:

— Najdroższy — nie mogę już dłużej czekać, muszę cię pocałować.

To mówiąc objął mnie za szyję i zaczął całować. Wszystko to razem wydawało mi się bardzo dziwne i pomyślałem sobie w duchu, że on po prostu zgłupiał, ale nie bronilem się, nie chcąc go obrazić. Reg zaś całując mnie, grzebał palcami w moich

włosach. Czułem się coraz bardziej nie swojo, ponieważ jednak wiedziałem, że mu to sprawia przyjemność, nic nie mówiłem. W pewnej chwili głos mu się załamał.

— Kochanie moje, ubóstwiam cię, jesteś wprost czarujący. Jedźmy do domu.

W drodze do domu myśli moje mąciły się coraz bardziej. Byłem tym wszystkim zaskoczony, przestraszony, ale nie domyślałem się, co to wszystko może znaczyć, jednocześnie pełen byłem jakiegoś niejasnego oczekiwania, aż wreszcie, zmęczony, przestałem w ogóle myśleć. Wreszcie dojechaliśmy do domu Rega. Wstał wóz do garażu, wziął walizkę i weszliśmy do domu. Z jakimż niepokojem wchodziłem w jego dom! Drżałem cały od wewnętrznego wzruszenia. Weszliśmy po schodach na ostatnie piętro, gdzie były jego pokoje. Reg zaśwycił światło przycisnąwszy guzik, zdjął kapelusz, a ja poszedłem za jego przykładem. Kazał mi usiąść i powiedział, że idzie zaparzyć kawę. W czasie jego nieobecności zacząłem rozglądać się po pokoju, w którym siedziałem, i wydawało mi się wtedy, że był to chyba najśliczniejszy pokój, jaki w życiu widziałem. Wszystko było utrzymane w kolorze bładoniebieskim, na podłodze leżał miękki i puszysty dywan, w środku pokoju stał stół dębowy i wygodne fotele, a wzdłuż ścian stały szerokie otomany, zasypane poduszkami. Na ścianach wisiały fotografie znanych aktorów filmowych, mocno umalowanych. W całym pokoju rozchodził się delikatny zapach bzu, jak gdyby jakaś kobieta pudrowała się tu przed chwilą lub skrapiała perfumami.

Po chwili wszedł Reg niosąc kawę i ku mojemu

zdumieniu zauważyłem, że przebrał się w między czasie w błękitną pyżamę! Zauważyłem też, że zdążył się wymalować; poczercił brwi, wykarminował usta i wyszminkował na czerwono policzki. Rzekł:

— Napij się kawy, kochanie, a ja przez ten czas przygotuję ci kąpiel.

Wypiłem więc kawę, a kiedy zawołał, że kąpiel gotowa, poszedłem do łazienki, aby się wykąpać, a potem pójść spać. Reg pomógł mi się rozebrać i wsypał całą flaszkę wonnych soli do wanny. Wtedy dopiero pozwolił mi wejść do wody, która była tak pachnąca, że miałem ochotę jej się napić.

Reg zostawił mnie samego przez krótką chwilę, potem jednak wszedł niosąc w ręku jakąś pyżamę i pantofle. Pomógł mi wytrzeć plecy, po czym podał mi ręcznik. Kiedy się wytarłem, włożyłem pyżamę, Reg zaś poszedł do pokoju, skąd po chwili wrócił. Właśnie kiedy wkładałem już pantofle, zagadnął:

— Czy pozwolisz mi, kochanie, pomalować cię odrobinę? Jestem pewny, że będzie ci z tym do twarzy zresztą. Mam w tym dobrą wprawę.

Przez ciekawość zgodziłem się i odpowiedziałem:

— Chętnie — czemu nie? Ciekaw jestem, jak będę wyglądał z bielidłem na twarzy!

Po pewnym czasie, pod wpływem zabiegów Rega przeobraziłem się zupełnie: — z małego chłopca stałem się nagle wymalowaną lalą, a skoro przypatrzyłem się sobie w lustrze, trudno mi było się poznać! Nigdy nie przypuszczałem, że trochę czernidła, pudru i szminki potrafią do tego stopnia zmienić rysy

i wyraz twarzy; przy tym musiałem przyznać, że wyglądałem bardzo ponętnie.

Reg na mój widok wpadł w zachwyt, wetknął mi kwiaty do włosów i uperfumował od góry do dołu. Następnie zaprowadził mnie do sypialni i posadził na łóżko, a sam wyszedł. Po chwili wrócił, niosąc ku memu zdziwieniu w jednej ręce gitarę hawajską, a w drugiej pełno jakichś pocztówek.

Ja zaś przez cały ten czas zastanawiałem się nad dziwnym jego zachowaniem, szczególnie dziwiłem się, dlaczego mnie też wymalował i włożył kwiaty do włosów. Ale co mi to właściwie mogło szkodzić? Przecież był dla mnie taki dobry, nakarmił mnie, zaprowadził do kina i powiedział, że mogę u niego zamieszkać! Dlatego nawet jeśli zachowanie jego wydać mi się mogło niesamowite, postanowiłem nie tylko nie zrażać się, ale przeciwnie, powiedziałem sobie, że byłoby szaleństwem obrażać mego dobroczyńcę, bo gotów by jeszcze wyrzucić mnie na bruk. Dlatego też najchętniej było pogodzić się z losem i czekać, co dalej będzie.

Właśnie nad tym wszystkim rozmyślałem, gdy Reg wszedł z gitarą i kartkami. Siadł koło mnie na łóżku, a kartki schował pod poduszkę. Powiedział mi także, że dawniej grywał na gitarze w pewnym zespole kabaretowym, i spytał, czy może mi coś zagrać i zaśpiewać. Odpowiedziałem, że sprawi mi tym wielką przyjemność.

Zaczął więc śpiewać przy akompaniamencie gitary, a pieśni, jakie śpiewał, były śliczne, w rodzaju: — „Najmilsza — choćbym z dala od ciebie był sto mil, nigdy nie przestanę cię kochać“. Zaśpiewał także



kilka piosenek własnej kompozycji — jak przynajmniej twierdził — które bardzo mi się podobały. Po chwili, odłożywszy na bok gitarę, usiadł przy mnie, zaczął na nowo mocno mnie całować i wreszcie wyjął spod poduszki pocztówki i rozpoczął mi je objaśniać. Treść tych kartek była bardzo nieprzyzwoita, jemu jednak najwidoczniej się podobały, bo mówił, że są zabawne. Oglądając je, nie mogłem oprzeć się uczuciu obrzydzenia i wstępu, ponieważ jednak podobały się memu dobroczyńcy, nie miałem odwagi mu się sprzeciwić.

Obejrzawszy wszystkie te paskudztwa położyliśmy się spać.

Byłem piekielnie zmęczony i cieszyłem się na myśl o dobrym łóżku, powiedziałem więc dobranoc. Ku mojemu zdziwieniu wszakże Reg pochwycił mnie wpół i rzekł:

— Kochanie moje, czemu jesteś taki zimny?

Powtórzyłem na wpół sennie:

— Dobranoc, Reg.

— Ach! — zawołał — nie udawaj niewiniątka! Miałem wrażenie, że nie jesteś już dzieckiem. Powinieneś być też już do tego czasu poznać się na mnie.

— Mój drogi — odparłem — nie wiem, co robił dawniej, ale w życiu moim nie spotkałem dotychczas nikogo równie dziwnego jak ty. Jesteś naprawdę cudaczny — całujesz mnie i ściskasz, choć jestem mężczyzną. Nie myślałem, że są na świecie tacy dziwni ludzie!

— Nie bądź głupi, mój drogi — rzekł na to — kocham cię, dlatego to wszystko robię.

Przez czas jakiś przekomarzaliśmy się jeszcze na ten temat, wreszcie Reg dał za wygraną i rzekł:

— Przepraszam cię, mój drogi, ale nie myślałem, że do tego stopnia jesteś naiwny. Obiecuję ci, że się to więcej nie powtórzy. Czy pozwolisz mi jeszcze pocałować się na dobranoc? Chciałbym, żebyśmy przynajmniej zostali przyjaciółmi.

Zgodziłem się oczywiście na ten ostatni pocałunek. Mój towarzysz wkrótce usnął. Ja jednak przez długi czas nie mogłem zmrzyć oczu. Zastanawiałem się coraz uważniej nad całym zachowaniem Rega i coraz głębszą czułem do niego odrazę. Odraza ta zaś po pewnym czasie przemieniła się w nienawiść. Toteż w ciągu nocy ułożyłem sobie plan działania na następny dzień. Powiedziałem sobie, że teraz, skoro już znalazłem się w Stanach Zjednoczonych, ucieknę od niego tak jak inni chłopcy i spróbuję żyć na własną rękę. Nie dziwiłem się teraz, że tamci pouciekali. Widocznie chciał robić z nimi to samo, co ze mną, i to ich przestraszyło. Sam zaś czułem, że pod żadnym warunkiem nie zostałbym u niego dłużej, i postanowiłem zaraz z rana pójść na miasto szukać pracy. Uspokoiwszy się trochę zasnąłem wreszcie głębokim snem.

Rano wstałem i poszedłem do łazienki, aby się umyć, Reg zaś przygotował śniadanie. Kiedy skończyłem się ubierać, Reg rzekł:

— Teraz, mój drogi, muszę iść do pracy, dlatego do wieczora sam zostaniesz w domu. Możesz pójść do kina, jeśli masz ochotę, bo ja dopiero wrócę koło szóstej. Ale przedtem przyrzeknij mi, że nie uciekniesz stąd, korzystając z mej nieobecności.

— Bądź spokojny, Reg, nie ucieknę, bo bardzo cię lubię, — odpowiedziałem. Całe szczęście, że nie wiedział, com w duszy postanowił. Reg zaś rzekł:

— Wierzę ci na słowo i wstyd mi, że nawet przez chwilę zwątpiłem w twoją uczciwość. Poproszę cię tylko, abys nie wychodził dziś z rana, bo ma tu przyjść jeden człowiek. Przymierz mi, że mu oddasz ode mnie ten list.

Mówiąc to wręczył mi list z nazwiskiem tego człowieka, zaś na odchodnym powiedział mi jeszcze, że mogę jeść, na co mam ochotę, bo wszystko znajdę w kredensie; wieczorem pójdziemy do miasta, bo chce mi kupić ubranie i bieliznę. Uściskał mnie i wyszedł. Zauważyłem, że w ubraniu roboczym wyglądał całkiem inaczej niż poprzedniego dnia, wydawał mi się bardziej męski, nawet cera jego mniej była opalona. Kiedy wyszedł, uczułem się nagle tak strasznie osamotniony, że miałem ochotę płakać! Bałem się, że nie potrafię wykonać moich zamiarów, ponieważ miałem czekać na tego człowieka. Obiecałem przecież, że się nie ruszę. Nie wiedziałem, co robić, i zrozpaczony wlepiłem wzrok w podłogę. Dla zabicia czasu postanowiłem tedy rozejrzeć się po mieszkaniu i po kolei oglądałem obrazy, wreszcie doszedłem do biurka. Było zamknięte. Oglądając wszystkie pokoje pomyślałem sobie, że jest tu dużo ładnych rzeczy, które mógłbym zabrać, ale zaraz opamiętałem się. Wszak byłaby to pospolita kradzież, a ja nie chciałem przecież stać się złodziejem!

Usiadłem na kanapie, gdy nagle wzrok mój padł na list, który miałem oddać, i zdjęła mnie ochota dowiedzieć się, co on zawiera. Zacząłem go macać.



Wreszcie nie mogłem oprzeć się pokusie i otworzyłem go. W liście znalazłem pięćdziesięciodolarowy banknot oraz list z objaśnieniem, że jest to zadatek na samochód. Kiedy to zobaczyłem, przestraszyłem się. Miałem w ręku całe pięćdziesiąt dolarów! Jeszcze nigdy w życiu nie miałem przy sobie takiej sumy! Chciałem uciec. Zastanawiałem się, co by Reg powiedział, gdyby wiedział, że otworzyłem ten list. Byłem strasznie zakłopotany. Po chwili diabeł mnie skusił, szepcząc mi do ucha: „Jeżeli twój towarzysz jest taki głupi, że zostawił ci tyle pieniędzy, to byłbyś jeszcze głupszy od niego, gdybyś ich nie wziął. Na przyszłość będzie ostrożniejszy, więc nauka nie pójdzie w las, a zresztą przypomnij sobie, do czego cię wczoraj namawiał! Weź te pieniądze i w nogi! Przydadzą ci się do czasu, aż znajdziesz pracę“.

Uległem więc pokusie i cicho zbiegłem ze schodów, nie wiedząc, dokąd mam iść, ale czułem jednocześnie, że nie ma dla mnie innego wyjścia. Strach mnie ścigał. Kiedy znalazłem się na ulicy, miałem wrażenie, że jestem innym człowiekiem. Nie wiedziałem, w którą stronę skręcić, więc szedłem prosto przed siebie, rozglądając się dokoła, czy mnie kto nie ściga. Szedłem bez przerwy od godziny dziewiętej do jedenastej, a wtedy spostrzegłem, że wyszedłem na gościniec wiodący do Nowego Jorku. Tak przynajmniej wyczytałem na drogowskazie. Postanowiłem więc udać się do Nowego Jorku i tam szukać szczęścia.

## ROZDZIAŁ III

W POCIĄGU TOWAROWYM. — NOWY JORK.

W POTRZASKU.

Szedłem tak ciągle prosto przed siebie i myślałem, że ta droga nigdy się nie skończy, kiedy podszedł do mnie jakiś chłopak, lat może dwudziestu, i zapytał:

— Jak się masz, bracie? Dokąd tak maszerujesz?

Odpowiedziałem:

— Do Nowego Jorku.

— Świetnie — zawołał — bo ja też tam idę, ale czekam na pociąg towarowy, może byś się przysiadł? Prędzej zajedziesz, jak zajdziesz!

— Cie — pewnie — odpowiedziałem — pojedę z tobą. Prowadź.

Tak też ruszyliśmy razem. Opowiadaliśmy sobie różne rzeczy o naszym życiu i o tym, cośmy dotąd robili; dowiedziałem się też, że mój nowy towarzysz nazywa się Jim.

Był rodem z Kanady, ale francuskiego pochodzenia, i przekradł się przez granicę, żeby skosztować życia w Stanach. Powiedział mi, że ani mu się śni szukać pracy, bo tylko fajtlapy i konie pracują, a dziś to nawet konie od pracy się wykręcają. Od

życia żądał zaś tylko wygodnego łóżka, ciepłej strawy, ubrania i przygód. Twierdził dalej, że człowiek, który jest na tyle głupi, aby pracować, marnuje niepotrzebnie swoje życie, i dowodził mi, że można doskonale żyć nie pracując wcale. Zapytałem go, czy w ogóle kiedy w życiu pracował.

— Jeszcze by też! — odparł. — Jak tylko wyszedłem ze szkoły, dali mnie na praktykę do takiego faceta, co handlował starym żelazem. Ale że mi się to uprzykrzyło — bo myślałem, że mi mózg zardzewieje od tego żelaziwa, — dałem drapaka.

Wtedy postanowił podróżować. Z początku o głodzie i chłodzie, nie wiedział, jak sobie poradzić, ale z czasem przekonał się, że w końcu zawsze jakoś można psim swędem zarobić sobie na obiad.

Tak opowiadając sobie nasze przygody, doszliśmy do dworca towarowego. Był to olbrzymi plac, przecinany błyszczącymi szynami, które biegły we wszystkich kierunkach, a ja niespokojnie zastanawiałem się, jak się tu wyznać. Tu zajeżdża pociąg, tam huczą syreny, to znów trzeszczą zwrotnice, ludzie biegają jak opętani tam i z powrotem trzymając w ręku drągi i łopaty i nawołując się wzajemnie. Piekiło! Wszyscy zaś zdawali się być ogarnięci taką gorączką, że zawahałem się chwilę, przeczytawszy napis: „Nie zatrudnionym wstęp wzbroniony“.

— Słuchaj, Jim — rzekłem — jeszcze w życiu czegoś takiego nie robiłem.

Uśmiechnął się pogardliwie.

— Nie bój się, Buddy, i mnie się trzymaj.

Weszliśmy na plac i wkrótce znaleźliśmy się w środku magazynu wyładowanego pakami. Drzwi były bardzo ciężkie, toteż ruszywszy je narobiliśmy takiego hałasu, że bałem się, iż wszyscy dozorczy się zlecą. Zatrzasnąwszy drzwi, zaryglowaliśmy je od wewnątrz i usiedliśmy w ciemności. Po chwili usłyszeliśmy, jak tuż obok ładują towary.

Siedząc w magazynie zwierzyłem się Jimowi z popełnionej kradzieży.

— Nic se z tego nie rób, mały — uspokoił mnie — nic ci się nie stanie. Jak przyjedziemy do miasta, postaramy się papierki zmienić.

Opowiedziałem mu, że jestem sierotą, którego zakład wysłał do Kanady do pracy na fermie, ale że mi się to znudziło, więc wyruszyłem samopas w świat szukać przygód.

— No widzisz, bracie — ucieszył się Jim — tośmy teraz kamratami, tylko wpierw muszę cię w różne sztuczki wtajemniczyć, a zobaczysz, że niejednego będziesz się jeszcze musiał nauczyć.

— Klawo — rzekłem — godzę się na wszystko.

Jim odpowiedział:

— No to przybij — wziął moją rękę i uścisnął mocno, a ja wtedy myślałem, że nareszcie znalazłem szczerego przyjaciela. Przyrzekliśmy sobie, że wszystko będziemy dzielić zgodnie i że niczego do własnej kieszeni nie schowamy bez wzajemnego porozumienia. Taką oto zawarłszy umowę z moim nowym towarzyszem, wyruszyłem w świat, gdzie oprócz wielu radośniejszych przygód, czekać na mnie miały także smutki, rozczarowania i zawody.

W magazynie, oprócz ciemności, panował jeszcze

wielki zaduch, a łoskot kół wagonów, gwizdki syren, dzwonki oraz syk pary, wypuszczonej z lokomotywy, napełniały mnie strachem. Bez ustanku pytałem się Jima, co mamy zrobić i co będzie, jak nas złapią. Właśnie zaczął mi to objaśniać, kiedy nagle zerwał się i krzyknął:

— Teraz idzie nasz pociąg, pędzej!

W jaki sposób mógł się tego domyślić, nie wiem. Dodał tylko:

— Spraw się dzielnie, musimy wskoczyć, jak będzie w biegu!

Wybiegliśmy więc z magazynu i lecieliśmy przez szyny. Jim kazał mi patrzeć uważnie na to, co robi, oraz robić to samo.

Pociąg tymczasem właśnie nadjeżdżał, a wtedy obydwaj zaczęliśmy biec wzdłuż pociągu. Jim uczepił się poręcz od schodków i wskoczył na platformę, ja zaś biegłem wciąż wzdłuż pociągu, potykając się o progi, ale nie miałem odwagi uchwycić się drabinki. Jim zaś krzyczał na mnie i machał ręką, żebym wskoczył. Pociąg coraz bardziej przyspieszał biegu. Wreszcie zrozpaczony i zmęczony śmiertelnie, ostatnim wysiłkiem chwyciłem za poręcz, uwieszając się na niej całym ciężarem ciała. Pęd pociągu uniemożliwiał mi wskoczenie na schodki, więc wisiałem dosłownie w powietrzu, uważając tylko, żeby nogami nie dotykać kół. Widząc to Jim zaczął skakać po dachach wagonów, aby przyjść mi na pomoc. Ja zaś za jego przykładem usiłowałem również przesmyknąć się po dachach wagonów, ale z trudem wielkim udało mi się utrzymać równowagę! Wszak był to mój pierwszy tego rodzaju występ, a grozę



mojej sytuacji pogarszał jeszcze fakt, że dym, sadza i para buchały mi prosto w twarz, zaś huśtanie wagonów każdej chwili groziło mi zleceniem na tor.

Wreszcie Jim zauważył zasuwane drzwiczki na dachu jednego z wagonów, otworzył je pospiesznie i za chwilę już znaleźliśmy się we wnętrzu wagonu lodowni, przeznaczonego na owoce.

Jim zasunął ruchomy daszek i zapalił świecę. Przy jej migotliwym świetle spostrzegłem, że mało tam było miejsca dla nas dwóch. Ta część, do której wpadliśmy, miała może wszystkiego pięć stóp szerokości i tyleż długości. Nie było doprawdy gdzie się rozpierać. Lodownia podzielona była na dwie części: pierwsza, to jest ta, gdzieśmy siedzieli, przeznaczona była na lód — druga, oddzielona od pierwszej szeroką drucianką — na owoce. Podłoga natomiast cała ułożona była z małych, ostro zakończonych kołków drewnianych, czego na początku nie zauważyliśmy wcale.

— No widzisz, bracie — rzekł Jim — teraz to już nic nam nie grozi, a że droga będzie długa, więc się lepiej rozgośćmy.

Po czym wyjął z kieszeni długi nóż i wbił go do ściany wozu w ten sposób, że ostrze jego utworzyło płaską podstawkę, na której postawił świecę. Potem zdjął marynarkę i zwinął ją w poduszkę, w końcu wyciągnął z kieszeni małą puszkę z kakao, napchaną brudnymi niedopałkami papierosów, które sobie pozbiarał na ulicy, niedopałki te oczyścił dokładnie z papieru, a tytoń w ten sposób otrzymany przesypał do innej puszki. Wyciągnąwszy się wygodnie na podłodze, zapalił papierosa, wobec czego

ja także postanowiłem pójść w jego ślady. Ponieważ zaś było strasznie ciasno, więc zamiast się położyć, usiadłem tylko na podłodze, robiąc sobie oparcie z płaszczu. Kiedy jednak spróbowałem się wyciągnąć, przekonałem się, że kołki podłogi, widocznie na skutek kołysania się wagonu, wbijały mi się tak głęboko w ciało, że z trudem tylko mogłem to wytrzymać. Usiadłem więc na moim płaszczu, zastanawiając się, jak długo jeszcze będę musiał wytrwać w tej roli fakira z przymusu. O fakirach zaś uczyłem się jeszcze w szkole.

— Niech diabli porwą taką jazdę — rzuciłem wreszcie — byłbym lepiej zrobił, idąc sobie pieszo całą drogę. Byłem skończonym osłem, zem się dał na to namówić.

— Widzę, że się żołądkujesz, szkucie, ale nie bój się, wnet się do tego przyzwyczaisz — odparł Jim, wypuszczając kłęb dymu i podnosząc głowę z uśmiechem. — Myślałem, że masz w sobie więcej krzepy. Wolałbyś pewnie ujeżdżać konia na fermie, co?

— Któż to z nas nie ma w sobie krzepy? — odciąłem się. — Posłuchaj, co ci powiem, może tam jestem złotodziób, ale z miejsca ci mogę pokazać, co potrafię!

— Stul gębę, bo mnie rozzłościś — odgryzł się Jim.

— Cie, widzicie go, jaki odważny! — odparłem — więc co mam robić? Powiesić się, czy co?

— Ee, daj spokój — skut z ciebie i tyle — roześmiał się Jim. — Za małoś jeszcze widział.

I chcąc mnie udobruchać zaczął mi opowiadać różne historie ze swojego życia, a były takie cieka-

we, że zapomniałem i o kołach, które mnie zgały, i o niebezpieczeństwie, na jakie się narażałem. Te typy kobiet i mężczyzn, jakie on w swoich podróżach spotykał, były tak przerażające, że wtedy dopiero uprzytomniłem sobie istnienie innego, całkiem odmiennego świata, o którym nie miałem pojęcia. A byłem wówczas jeszcze tak niezepsuty, że bardzo wielu szczegółów w ogóle nie rozumiałem.

Mimo to droga zaczęła mi się dłużyć, tym bardziej że doprawdy jazda była piekielnie niewygodna. Wagon nasz to się huśtał, to podskakiwał, to uderzał całą siłą na sąsiednie wagony, przy czym huk kół uniemożliwiał nam w ogóle rozmowę. Jechaliśmy dobre parę godzin, kiedy nagle Jim zerwał się i rzekł:

— Dojeżdżamy, bracie, wylezę szybko na dach, żeby się rozejrzeć.

Wygramolił się więc na górę, rozsunął drzwiczki i usiadł na krawędzi otworu, spuściwszy nogi do środka wagonu. Po chwili zlął z powrotem:

— Dojeżdżamy do zbiornika. Myślę, że najlepiej będzie tu zeskoczyć, kiedy maszyna będzie brać wodę, bo tu zawsze łatwiej się zgubić, niż na głównym dworcu, gdzie pełno polikierów się kręci.

Kiedy więc pociąg zwolnił biegu, zeskoczyliśmy na ziemię i zaczęliśmy uciekać, wtem nagle Jim krzyknął:

— Uwaga, polikier!

Uciekaliśmy więc, co sił starczyło, zeskakując i przeskakując przez tory, szyny, a nawet przez śpiących na placach robotników. Kiedy znaleźliśmy się wreszcie na gościńcu, Jim oświadczył, że do

miasta będzie jakie 5 mil. Ściemniało się zupełnie, gościńcem pędziło mnóstwo samochodów, my zaś szliśmy i szliśmy przed siebie bez wytchnienia. Po pewnym czasie Jim zaklął i powiedział, że ani mu się śni iść dalej i że spróbuje zatrzymać jakiś samochód, który by nas podwiózł. Stanęliśmy więc na boku i zaczęliśmy machać rękami, żeby zatrzymać jakiś samochód, ale machaliśmy tak dobrą godzinę, zanim wreszcie, istnym cudem, auto jakieś zatrzymało się.

— Dokąd to idziecie, draby? — zapytał człowiek u kierownicy.

— Spiesz się nam do miasta, panoczku — odparł Jim. — Idziemy szukać pracy.

— To dobrze — rzekł nieznajomy. — Jadę właśnie do Nowego Jorku i będę przejeżdżał przez The Bowery. Podwożę was i tam was wysadzę, bo zdaje mi się, że tam najprędzej znajdziecie coś dla siebie.

Wobec tego wskoczyliśmy do samochodu. Ja usiadłem w tyle, Jim zaś zajął miejsce obok kierowcy. Rozmawiali z ożywieniem, podczas gdy ja wyglądałem przez okno. Po niedługim czasie dojechaliśmy do miasta. Zdębiałem. W życiu moim nie widziałem takiego mnóstwa różnokolorowych świateł, ogłoszeń świetlnych, ani takich tłumów, przelewających się przez ulice. Hałas pędzących tramwaj, krzyki chłopców, roznoszących wieczorne gazety, jasno oświetlone wystawy sklepów oraz śliczne różnokolorowe suknie kobiet, spacerujących po chodnikach, wszystko to olśniewało mnie i podniecało coraz bardziej, w miarę jak samochód mijał różne ulice. Po jakimś czasie wjechaliśmy w jakąś ulicę, która wy-

dawała mi się mniej ruchliwą i barwną od poprzednich, sądząc po ubiorze przechodniów, domyślałem się, że znajdujemy się w uboższej dzielnicy. W pewnym momencie samochód zatrzymał się gwałtownie, a nieznajomy rzekł:

— No, chłopcy, jesteście u celu. Ja tu skręcam.

Włożywszy rękę do kieszeni, wyciągnął z niej jakieś banknoty. Widziałem, że dał coś Jimowi i dodał:

— Macie na śniadanie. Tu zaraz obok jest tania jadłodajnia, bywajcie zdrowi i szczęście Boże.

To mówiąc odjechał. Zacząłem się rozglądać wokoło i dziwne ogarnęło mnie uczucie lęku. Pragnąłem znaleźć się z powrotem w wagonie i po prostu jechać przed siebie bez celu. Cała ta przygoda wydawała mi się bardzo dziwna. Nie wiedziałem, co począć. Jim odezwał się pierwszy:

— No widzisz, bracie, jesteśmy na miejscu. Powiem ci, co zrobimy. Tu obok, parę kroków dalej, jest niezły dom noclegowy, gdzie łóżko kosztuje 50 centów, a co najważniejsze, nie znajdziesz tam „zwierzyny“.

Byłem wtedy jeszcze tak mało obeznany z językiem włóczęgów, że nie wiedziałem, co znaczy „zwierzyna“. Później dopiero w ciągu moich wędrówek dowiedziałem się, że to oznacza „robactwo“.

— Zanim jednak tam pójdziemy — ciągnął dalej Jim — musimy koniecznie rozmiąć gdzieś ten twój banknot, bo jak znajdą banknot 50-dolarowy u takich obdartusów jak my, to gotowi nas wsadzić do paki. Dlatego zostań tutaj i zaczekaj na mnie, ja zaś przelecę tylko na drugą stronę ulicy rozmie-

nić pieniądze i wróć, a ty nie waż się ruszyć z miejsca, aż do ciebie przyjdę.

Dałem mu więc mój banknot i patrzyłem za nim, jak przechodził przez jezdnię, nic sobie nie robiąc z ruchu, aż wreszcie straciłem go z oczu. Przez dłuższy czas spoglądałem z zaciekawieniem na różne samochody przejeżdżające obok i robiłem rozmaite spostrzeżenia na temat ludzi różnego typu, jacy się przesuwali przed moimi oczami. Widziałem jakiegoś młodego człowieka grającego na harmonii we drzwiach kawiarni i już w następnej chwili zobaczyłem, jak samochód ciężarowy przejechał dużego czarnego kota, który jak strzała wypadł z pobliskiego domu. Chciał przelecieć przez ulicę i znalazł śmierć. Auto nie zatrzymało się nawet. Powoli jednak zacząłem się niepokoić długą nieobecnością Jima i dziwiłem się, dlaczego nie wraca, ale uspokoiłem się, wierząc święcie, że przecież z pewnością wróci, skoro tak obiecał, i nie ruszałem się z miejsca. Stojąc tak na chodniku zauważyłem, że przechodnie bacznie mi się przyglądają, i pomyślałem sobie, że wszyscy pewnie musieli poznać od razu, że jestem obcym przybłądą oraz chłopcem, który ukradł banknot 50-dolarowy.

Rozmyślając nad tym wszystkim, zobaczyłem ładną, młodą dziewczynę mocno wymalowaną, która stanawszy obok mnie również uważnie mi się przypatrywała. Zirytowany odwróciłem się i nie chcąc się narażać na dalsze gapienie przechodniów, udawałem, że oglądam wystawę. We wystawie było duże lustro, a to, co w nim nagle ujrzałem, kazało mi przez chwilę zastanowić się, czy przypadkiem nie

ujrzałem zjawy. Bo oto naprzeciw lustra stał chłopak w zniszczonym granatowym ubraniu, brudnej koszuli, pomiętym kołnierzu, z krawatem na bakier, o zmierzwionej czuprynie i twarzy tak czarnej jak walet pikowy. Nie mogłem uwierzyć, że to byłem ja we własnej osobie! Tak się przestraszyłem własnego wyglądu, że miałem ochotę płakać. Nigdy do tej pory nie zastanawiałem się nad moim wyglądem i nie przypuszczałem, że aż tak można się umorusać jazdą towarowym pociągiem. Widziałem wprawdzie, że Jim jest bardzo brudny, ale myślałem, że to dlatego, że się nigdy nie kąpie. Nie przypuszczałem jednak, że ja sam mogę też tak wyglądać. Zrozumiałem dopiero teraz, dlaczego nikt nie chciał zabrać nas do samochodu.

Czekałem i czekałem na chodniku, ale Jima ani śladu. Ponieważ było już bardzo późno i wszystkie sklepy powoli się zamykały, zacząłem podejrzewać, że mi spłatał figla. Przecież nie ruszyłem się z miejsca ani na krok, więc nie mogliśmy się rozminąć. On zaś zdawał się znać dobrze te okolice, skoro mówił o domu noclegowym. Próbowałem pocieszać się, jak mogłem, dodając sobie odwagi. Wymalowana dziewczyna poszła sobie z jakimś młodzieńcem, który po nią przyszedł, ja zaś usiadłem na chodniku, bo byłem bardzo zmęczony. Postanowiłem czekać cierpliwie, bo przecież Jim obiecał wrócić...

Po jakimś czasie wszakże pozamykano wszystkie sklepy. Ruch uliczny się zmniejszył, tramwaje i autobusy nadjeżdżały coraz rzadziej i gwar się uciszał. Patrząc na olbrzymie gmachy, stojące po obydwu stronach chodnika, widziałem, jak światła

w oknach gasły jedne po drugich, a przez głowę co chwilę przelatowała mi myśl natrętna, że Jim mnie opuścił. Z początku odsuwałem tę myśl od siebie, ale ona wracała z coraz większą natarczywością, aż wreszcie o niczym innym nie byłem już w stanie myśleć, jak tylko: „Jim uciekł! Jim uciekł! Jim uciekł!“

W głowie mi huczało, nie wiedziałem, co począć. Po raz pierwszy w życiu poczułem się całkowicie opuszczony. Byłem głodny, zmęczony, brudny i opuszczony, w ogromnym mieście bez grosza przy duszy i bez dachu nad głową. Co miałem zrobić? Gdzie się udać? Musiałem przecież coś postanowić, ale co? Dokąd miałem iść? Przecież byłem obywatelem brytyjskim, więc jeśliby mnie złapał policjant, dostałbym za swoje — a zresztą odtransportowaliby mnie bez pardonu z powrotem do Kanady. A jeśliby jeszcze dowiedzieli się o tych 50 dolarach... zimny pot oblał mnie na tę myśl! Miałem przez chwilę uczucie, że lecę w przepaść.

Dopiero po pewnym czasie zebrałem resztki sił i powiedziałem sobie, że muszę coś zrobić.

Postanowiłem więc przede wszystkim pójść w tym kierunku, w którym poszedł Jim, a jeśli go odnajdę, to wszystko będzie w porządku. Ruszyłem więc z miejsca, na którym od kilku godzin stałem. Przeszedłem ulicę, zaglądałem do wszystkich bram, ale Jima ani śladu. Kręciłem się tam i z powrotem, nie wiedząc nawet, gdzie tak idę, ciągle w nadziei odnalezienia mego towarzysza. Wreszcie rozpacz mnie ogarnęła, bo zrozumiałem, że go nie odnajdę. Byłem zresztą tak strasznie zmęczony, że chciałem tylko



położyć się gdzieś i zasnąć. Wędrowałem więc tak długo, aż znalazłem się na jakimś dziedzińcu, gdzie pełno było pak i skrzyń ze słomą w środku. Wtedy wyciągnąłem słomę z jednej paki, wlałem do środka i skuliwszy się, próbowałem zasnąć. Długo jednak nie mogłem usnąć, bo dręczyły mnie myśli i wyrzuty sumienia i lęk przed nieznanym, a nad tym wszystkim górowała złość, że tak głupio dałem się nabrać Jimowi.

## ROZDZIAŁ IV.

SAM W MIEŚCIE. — JADĄC NA ZACHÓD. — NAUKA ŻYCIA.

Kiedy następnego ranka wygramoliłem się z mego słomianego łóżka, musiałem przede wszystkim wyprostować członki, a potem zacząłem rozglądać się wkoło siebie. Zmiarkowałem, że musi być późno, bo całe miasto było już w ruchu. Wiatr, jaki wiał od morza, kazał mi się domyśleć, w której stronie znajduje się brzeg, więc postanowiłem najpierw się umyć. Gdy wyszedłem z podwórca, skręciłem od razu w pierwszą ulicę, jaką zobaczyłem. Byłem bardzo głodny. Przechodnie nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi, ponieważ w dzielnicy, w której się znajdowałem, roiło się od różnych oberwańców. Po drodze spotkałem kilku łazików, żaden z nich jednak do mnie się nie odezwał. Ledwie kiwnęli mi głową. Postanowiłem więc zaczepić któregoś z nich i dowiedzieć się, czy przypadkiem nie zna Jima. W tej samej chwili zobaczyłem jakiegoś człowieka w brązowych aksamitnych spodniach i podartej koszuli, wystającej spod brudnej marynarki, idącego wprost w moim kierunku. Kiedy zaś mnie pozdrowił chytłym i znaczącym uśmiechem, rzekłem:

— Stój, bracie, jedno słowo.

— No, co tam takiego? — odparł. — Spieszę się,

prędko załatw twój interes, bo pilno mi w drogę, muszę złapać najbliższą towarówkę.

— Chciałbym tylko wiedzieć — odparłem — czy nie znasz przypadkiem Jima.

— A kto to jest Jim? — zapytał.

Opisałem więc Jima jak najdokładniej i opowiedziałem całą historię. On zaś roześmiał się na głos i oświadczył:

— Jesteś skończony osioł. Bądź zdrow!

— Chwileczkę — rzekłem, — powiedz mi jeszcze, gdziebym tu w pobliżu mógł dostać trochę ciepłej strawy.

— Chodź po domach i pukaj — była jego rada. — Jesteś jeszcze taki młody, że ludziska nie odmówią ci pomocy. Bądź zdrow, może się jeszcze spotkamy.

Poszedłem za jego radą i po chwili walki z sobą, zdobyłem się na odwagę i poszedłem do najbliższego domu, którego brudny i odrapany wygląd zdawał się mówić wyraźnie, kim byli jego mieszkańcy. Zatrzymałem się jednak na progu, bo nie miałem odwagi zapukać. Wstyd mi było okropnie pukać do drzwi jak żebrak, gdy w tej chwili drzwi się otworzyły i kobieta jakaś odezwała się: „Czego chcesz?“. Tyle było macierzyńskiej troskliwości w jej spojrzeniu, że poczułem łzy napływające mi do oczu i siląc się na odwagę wykrztusiłem:

— Głodny jestem, paniusiu.

— Widać to. — Dawnoś przyszedł do miasta?

Powiedziałem jej, że przywędrowałem tu aż z wodospadów Niagary i że szukam pracy.

— No, tutaj pracy nie znajdziesz, bo tu jest dziura przez ludzi i Boga zapomniana. Powinieneś

poszukać pracy na wsi, na jakiejś fermie. Na wsi łatwo o pracę.

Pocziwa kobiecina dała mi się najeść do syta, potem dała mi miednicę, abym się mógł umyć, i wskazała mi drogę do dworca towarowego.

— Codziennie mam u siebie takich włóczęgów — objaśniła mnie. — Żal mi cię, chłopcze, że jesteś na ulicy. Szkoda ciebie — dodała.

Potem pożegnaliśmy się, a ja powędrowałem w kierunku dworca towarowego. Umyty i nasycony czułem się znacznie różnie, kiedy zaś doszedłem do dworca, powiedziałem sobie, że lepiej będzie udać się do Waszyngtonu pieszo. Z łatwością znalazłem gościniec wiodący do tego miasta, zacząłem iść powolutku, bo nie miałem po co się spieszyć. W ciągu drogi różni pocziwi ludzie pozwolili mi korzystać ze swoich samochodów i podwozili mnie spory kawał. Ja już w ciągu tej wędrowki przekonałem się, że mojej młodości głównie zawdzięczam sympatię u ludzi i że małe blagi, tu i tam zręcznie wplątane w rozmowę, też mogą być użyteczne. Ludzie zatrzymywali samochody i pytali:

— A daleko to idziesz, chłopcze?

Ja zaś odpowiadałem:

— Do Waszyngtonu.

Powodem tego zaś było, że pierwszy wóz, jaki się zatrzymał, aby mnie podwieźć kawałek, jechał właśnie do Nowego Orleanu, a kiedy kierowca zapytał mnie, dokąd idę, odpowiedziałem bez namysłu, że do najbliższego folwarku. On zaś rzekł:

— Szkoda, szkoda, bo ja jadę do Nowego Orleanu, więc wolałbym jechać w towarzystwie.

I wtedy zapytał mnie, dlaczego jeszcze jestem taki naiwny.

— Co pan przez to rozumie? — zapytałem.

— No widzisz, ja dużo jeżdżę po świecie i dużo spotykałem włóczęgów, ale żaden z nich nie mówił prawdy jak ty.

Powiedział mi, że był czas, kiedy i on włóczył się po gościńcach bez pracy i że to były najszcześniejsze dni jego życia. Na nieszczęście ożenił się i dlatego musiał teraz zabrać się do pracy. Opowiedział mi jeszcze wiele ciekawych rzeczy, które zapisałem sobie w pamięci, ponieważ mogły mi się przydać w późniejszym życiu.

Kiedy się z nim rozstałem, szedłem znów długi czas gościńcem samotnie, zanim spotkałem jakiegoś oberwańca, który mi powiedział, że idzie do Denver w Colorado, ponieważ o tej porze roku z łatwością tam można było co ściągnąć. Zapytał mnie, dokąd idę, ja zaś odpowiedziałem, że nie mam żadnych planów i po prostu idę przed siebie bez celu. Mój przygodny towarzysz zapytał mnie wtedy, jak ludzie się do mnie odnoszą.

— Nienajgorzej — odpowiedziałem — i myślę, że wcale dobrze dam sobie radę, tylko muszę wpierw nauczyć się różnych rzeczy.

— No, a czy potrafiłbyś kogoś nabujać? — zapytał.

— Jeszcze jak! — roześmiałem się. — Już niejednego gościa udało mi się nabić w butelkę.

— A skąd pochodzisz? — zapytał.

— Z Buffalo — odparłem, — ale wierzę w stare przysłowie: Lepiej stulić gębę, niż gadać za wiele.

— Masz rację, nie mnie to zresztą nie obchodzi.

— A czy dawno już włączysz się po świecie?

— Nie.

— No więc, jak nie masz żadnych planów, to może byś ze mną poszedł do Denver?

— Zgoda — odparłem. — Tu czy tam, wszystko mi jedno.

Kiedy tak szliśmy razem gościńcem omawiając plany na przyszłość, mój towarzysz szturchnął mnie nagle.

— Spójrz no tam, Buddy, myślę, że tam da się coś zrobić. Chodźmy.

Spojrzałem w kierunku, jaki wskazał, i zobaczyłem samochód, stojący w polu, z lewej strony gościńca. Wóz pokryty był flagami, przedstawiającymi różne stany, zaś na stopniach jego siedział młody człowiek we flanelowym ubraniu i przystojna dziewczyna w lekkiej, batystowej sukni. Młody człowiek grał na gitarze, a dziewczyna śpiewała. We drzwiczkach wozu stała druga dziewczyna, śmiejąc się najwidoczniej z młodego człowieka, na którego wylano cały kubek wody.

Kiedy Bill i ja pędziliśmy dalej, wszystkie oczy w jednej chwili skierowały się na nas. Chłopak zaś, który został oblany wodą, zawołał:

— Hallo! mamy gości, Fillis!

— Cieszy mnie, że nas państwo macie za gości — rzekł Bill, wykrzywiając szerokim uśmiechem swą brzydką, piegowatą twarz — bo między nami mówiąc, paniczu, mój kolega i ja włączymy się już od kilku dni i bylibyśmy wam bardzo wdzięczni, gdybyście nam dali co zjeść.

Młode towarzystwo przyjęło nasze oświadczenie jako doskonały żart, nie przywiązując doń żadnego znaczenia.

Widać było, że nasze pojawienie się szczerze ich ubawiło.

Wreszcie, któryś z chłopców rzekł:

— Spóźniliście się, samiśmy już wszystko zjedli i nie możemy was niczym poczęstować.

— Nie szkodzi — rzekł Bill. — Mniejsza o jeźdzenie. Takie łaziki jak my nauczyły się bez niejednego obejść; ale może macie państwo przynajmniej jakiego papierosa? Strasznie nam się chce palić!

W jednej chwili wszystkie ręce zaczęły szukać po kieszeniach i torebkach, a jedna z dziewcząt zaproponowała, aby urządzić na nas zbiórkę pieniężną, abyśmy mogli sobie coś kupić po drodze.

W ten sposób dostaliśmy parę dolarów i podziękowawszy grzecznie poszliśmy dalej.

— Widzisz, jak łatwo dadzą się nabrać — zauważył Bill, śmiejąc się całą gębą, zapalając papierosa, którego dym puścił mi prosto w nos. — Znam się na ludziach i wiem, kiedy można z nich co wyciągnąć, a kiedy nie.

To mówiąc dał mi tak potężnego kułaka w plecy, że omal nie złamał mi łopatki. Zakrztusiłem się dymem dopiero co zapalonego papierosa.

Uszedłszy spory kawał gościńcem, doszliśmy do jakiejś przydrożnej kawiarni.

— Klawo — rzekłem do Billa — możemy wejść i zjeść porządne śniadanie, bo nareszcie mamy forszę. Mam ochotę na parówki albo bułkę z szynką.

— Myślałem, że lepiej masz w głowie — zawołał Bill z oburzeniem. — Patrzcie go! Chce mu się wydać całą forszę na śniadanie! Forsy nie należy nigdy wydawać na jedzenie, bo żywić się można zawsze za darmo, a forsa się przyda na papierosy i ubranie. Chodź ze mną i patrz uważnie, co robię. Zobacysz, że pojemy sobie do syta i nie zapłacimy ani centunia.

Weszliśmy do kawiarni. Śmiałem się w duchu, widząc wielką pewność siebie Billa oraz wyniosły niemal sposób, w jaki się do ludzi odnosił.

Pewnym krokiem podszedł do pani, siedzącej za bufetem, gdy ja nieśmiało podreptałem za nim, i uchyłając czapki rzekł:

— Moje uszanowanie! Czy nie mogłaby pani dać nam coś do zjedzenia? Jesteśmy w drodze do Denver, gdzie mamy szukać pracy, tymczasem zaś i ja i mój towarzysz strasznie jesteśmy głodni.

Pani za bufetem obrzuciła nas pełnym obrzydzenia spojrzeniem i wyszła. Po chwili wróciła niosąc małą paczuszkę zawiniętą w papier.

— Macie tu i wynoście się — rzekła niegrzecznie. — Niczego więcej dać wam nie mogę.

Bill wziął paczkę i rzekł:

— Bóg zapłać i za to, paniusiu. Po takiej norze to trudno się czegoś więcej spodziewać. — Zdejmując zaś czapkę dodał: — Kłaniam się!

Kiedy znów znaleźliśmy się na gościńcu, rzekł:

— Nie przejmuj się tym, że nas tak przyjęła, to na pewno są obce przybłędy, które tu się osiedliły, ale nie Jankesy.

Po drodze podzieliliśmy się parówkami. Długo



jeszcze szliśmy gościńcem, rozmawiając o różnych sprawach, aż Bill oświadczył:

— Musimy zatrzymać się przy pierwszym strumyku, żeby się umyć i napić trochę wody.

Zmęczeni i zgrzani usiedliśmy przy samym brzegu gościńca, gdy wtem nadjechał duży wóz, który w jednej chwili się zatrzymał, zaś człowiek przy kierownicy zawołał:

— Nogi was bołą, co?

— Jeszcze jak! — odparł Bill.

— No, to pobiegajcie sobie jeszcze trochę, może was przestaną boleć — zawołał kierowca ze śmiechem, ruszając szybko z miejsca.

Bill zaklął siarczyście, rzucił czapkę na ziemię i ze złości zaczął ją tratować. Kiedy się uspokoił, zwrócił się do mnie:

— No, i co ty na taką cholere?

— Świąty miałby ochotę zabić go na miejscu — cóż dopiero tacy jak my?

Uszliśmy znów spory kawał, gdy go wreszcie zapytałem:

— Zmęczony jesteś, co?

— Jeszcze jak — mruknął za całą odpowiedź.

Pod wieczór doszliśmy do jakiegoś strumienia i wymoczywszy nogi, zaczęliśmy myśleć o noclegu.

W ten sposób włóczyłem się z Billem jeszcze przez parę tygodni i z wielkim żalem rozstałem się z nim, a przez ten czas nauczyłem się tyle od niego, że mogłem już śmiało dać sobie radę w życiu.

Od tej chwili życie moje zmieniło się w jedną długą wesołą przygodę, a z chwilą kiedy poznałem wszystkie tajemnice życia zawodowych włóczęgów,

czułem, że niczego więcej do szczęścia mi nie potrzeba. Nie tylko, że co dzień widziałem nowe twarze, ale widziałem również coraz to nowy krajobraz. Byłem rad, że udało mi się tak szybko stanąć na własnych nogach. Zacząłem sobie zdawać sprawę, że mowa moja powinna być zawsze mocna i ostrożna tak, aby mnie nie nakryto, i w ten sposób doprowadziłem do doskonałości sztukę samozachowania, która jest głównym warunkiem życia włóczęgi.

## ROZDZIAŁ V.

### DZIEWCZYNA.

Długi czas musiałem włóczyć się po gościńcach, zanim po raz pierwszy spotkałem dziewczynę, która również włóczyła się po drogach. Pierwsze wrażenie, jakie na mnie wywarła, było raczej żalosne. Miała około 19 lat, była wysoka, szczupła i dobrze zbudowana. Miała niebieskie, migdałowe oczy, a cerę opaloną na złoty brąz. Miała na sobie niebieską bluzkę i jasnopopielate flanelowe spodnie, a na małych stopach brązowe buty. Miała też silne, muskularne ręce, o brudnych paznokciach, które wszakże miały bardzo ładny kształt. Jej zmierzwione jasnokasztanowe włosy spadały swobodnie na ramiona. Zobaczyłem ją po raz pierwszy zeskakującą z pociągu towarowego, którym i ja jechałem. W pierwszej chwili myślałem, że to jakiś włóczęga, który dla fasonu zapuścił sobie włosy. Widziałem bowiem tylko jej plecy. Kiedy się jednak odwróciła i zauważyła mnie, spojrzała na mnie wzrokiem spłoszonej sarny.

Nie wiedziałem, czy zawołać na nią, czy pozwolić jej odejść. Nie bardzo mi się podobała, zresztą myślałem, że może wraca do znajomych gdzieś w „dżungli“.<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup> Dżungla — w gwarze amerykańskiej — miejsce w lasach, gdzie zbierają się włóczęgi w celu wypoczynku.

Toteż nie zwróciłem na nią uwagi. Nagle dziewczyna zatrzymała się i obrzuciła mnie wymownym spojrzeniem.

— Hej, tam, bracie! — zawołała, podnosząc rękę.

— Hej, tam, hej! — odpowiedziałem. — A dokąd się to spieszysz, Moll?<sup>1</sup> — Odpowiedziała coś, czego nie dosłyszałem, a kiedy się z nią zrównałem, oczarowała mnie z miejsca swoim jasnym uśmiechem i wesołymi oczami.

— Słuchaj no, Buddy — odezwała się, potrząsając głową — czy nie spotkałeś przypadkiem takiego faceta, co się nazywa Kansas City Kid?

— Nie słyszałem o takim — odpowiedziałem. — Szukasz go, może ci drapnął?

— Ej, nie — odparła pogodnie. — Nie mam chłopca, sama sobie wędruję po świecie. Nie lubię się z nikim wiązać, jadę do Kalifornii, ale myślałam, żeś go może spotkał w Denver. W zeszłym roku, kiedy policja urządziła tam obławę, zakochał się we mnie i to porządnie, ale mnie on się nie podobał. Nie miał ani trochę sprytu, nie potrafił nawet ściągnąć dla mnie pary majtek, więc puściłam go kantem i od tam go nie widziałam. Ale ty sam wydajesz mi się jeszcze trochę zielony. Od dawna jesteś w drodze?

— Cie, pewnie! Od lat już się włóczę — odrzekłem bez zajknięcia, starając się nadać swojej twarzy twardy i doświadczony wyraz. — Z niejednego już pieca chleb jadłem i znam się na rzeczy. Niczego nowego mi nie powiesz.

Uśmiechnęła się przyjacielsko:

<sup>1</sup> Ogólne określenie kochanki gangstera.

— No, ale jaka jest twoja specjalność i pod jakim przewiskiem włóczysz się po świecie? Być może, że słyszałam coś o tobie w dżungli.

— Nie mam żadnego przewiska, nazywam się po prostu Jack.

— O jej! — zdziwiła się. — Posłuchaj mnie, dzieciaku...

— Nie jestem znów takim dzieciakiem, moja lubciu — odparłem, udając oburzenie. — Bo jeśli ja jestem dzieciakiem, to ile lat mają twoje gachy?

— Czego się unosisz? — zapytała. — Nie znasz się na żartach czy co?

— Nie w tym wypadku. Nie przyjmuję żadnych nauk ani od mężczyzn, ani od kobiet.

— Doprawdy? To czemu się nie chcesz ustalić? Sprzykrzyło mi się to psie życie. Może byśmy tak nawzajem sobie pomagali? Ale przede wszystkim, dlaczego nie chcesz wyszukać sobie jakiegoś przewiska?

— Zgoda — rzekłem. — Może ty mi coś wymyślisz.

— Hm! Szkoda, że nie chcesz, żeby cię nazywać dzieciakiem. Może chciałbyś cię nazywać „Zachodzące Słońce“?

— Klawo. Bóg zapłać za pomysł.

— Nie ma za co — odpowiedziała.

— Gdzie idziesz dziś na noc?

Powiedziałem jej, że chciałbym dostać się do jakiejś dżungli.

-- Niezła myśl. Moje kiszki są puste i ciągle grają marsza. Może byśmy tak rozpalili ogień.

Powiedziałem jej, że może iść ze mną, jeśli ma ochotę, ale że nie chciałbym, żeby mi włązła w dro-

gę, bo niełatwo jest dla siebie samego coś wyprosić, a cóż dopiero dla dwóch. Razem wszakże ruszyliśmy w dalszą drogę. Idąc kawałek torem kolejowym, wyszliśmy po chwili na dół, na miejsce, gdzie krzaki tworzyły altankę. Dokoła pełno było dzikich królików i wkrótce udało mi się zabić jednego, cisnąwszy w niego kamieniem.

— Niezłeś trafił, Buddy. Myślę, że można się od ciebie czegoś pożytecznego nauczyć.

— Nie bądź taka skromna, kochańciu, bo nie raz sam sobie się dziwię.

— Pewnie — roześmiała się.

Zapytałem jej, czy nie wie o jakiejś dzungli w pobliżu. Odpowiedziała mi, że nie wie. Wyskoczyła zaś z pociągu towarowego, bo kości ją bolały od całodziennego skulonego siedzenia, więc chciała po prostu tylko trochę się przeciągnąć.

Zabierałem się właśnie do wypatroszenia zajęcia, kiedy poczułem zapach gotowanej strawy. Powiedziałem więc, że gdzieś niedaleko musi znajdować się dom, bo mogłem wyraźnie wyczuć zapach wątroby i cebuli.

Towarzyszka moja podniosła brwi:

— Widzicie go, nawet potrawy rozpozna! Myślę, że się nie mylisz!

Powiedziałem jej, żeby poszła po wodę i rozpałała ogień, a kiedy to zrobiła, kazałem jej jeszcze dosypać do ogniska kupę trawy, żeby dym był większy i żebym wiedział, gdzie jej szukać. Sam zaś postanowiłem odnaleźć dom, skąd zapach dolatywał, i poprosić o strawę dla nas obojga. Dałem jej królika i zacząłem wdrapywać się na wzgórze, ona zaś po-

szła do lasu po chrust. Na odchodnym powiedziałem jej: bądź zdrowa, i długi czas patrzyłem na nią. Żał mi było zostawić ją samą. Zastanawiałem się, czy przypadkiem nie drapnie. Nie miałem ochoty jej stracić. Idąc tak sobie, myślałem nad wszystkim, cośmy sobie od chwili spotkania powiedzieli, i dziwiłem się w duchu, dlaczego tak miła dziewczyna znalazła się na ulicy. Chociaż bowiem mowa jej i jej ruchy były dość nieokrzesane, przecież miałem wrażenie, że jest lepszą i bardziej delikatną od innych. W pewnej chwili doleciał mnie wyraźnie głośny śmiech dziecka.

Spojrzałem dokoła, ale nikogo nie spostrzegłem. Kiedy znalazłem się na szczycie wzgórza, zobaczyłem dym, unoszący się spoza kępy drzew. Opodal pasły się krowy. Poszedłem więc dalej i wkrótce znalazłem się w obrębie folwarku. Psy zaczęły ujadać i rzucać się na mnie, krowy przyglądały mi się ze zdziwieniem, a dzieci przestały się bawić. Kury na mój widok uciekły, na moje zaś spotkanie wyszedł tęgi chłop, który najwidoczniej był gospodarzem.

— Jak się masz, bracie — zawołał wesoło.

Powiedziałem mu, że zaszedłem tu, aby go poprosić o parę ziemniaków i kawałek chleba, bo jestem głodny. Kazał mi poczekać, sam zaś wszedł do domu pomówić z żoną. Psy się uspokoiły, bachory zaś otoczyły mnie w koło, gapiąc się.

Po chwili wrócił gospodarz, niosąc w ręku małe zawiniątko. Podziękowałem mu i zabrałem się do drogi, psy zaś zaczęły na nowo ujadać. Po drodze znalazłem jeszcze kilka blaszanych puszek i zaczą-

łem schodzić z pagórka. Myśli moje wszakże wróciły do mojej dziewczyny. Rozejrzałem się w koło, szukając dymu, ale dymu ani śladu. Pomyślałem, że uciekła. Zacząłem więc biec w stronę lasu, do którego poszła zbierać chrust i biegłem tak szybko, że potknąłem się na małym jałowcu. Kiedy się pozbierałem, głośno zakląłem. „Idioto — powiedziałem sobie. — Cóż ci zależy na jakiejś wywłoce?” Zacząłem sobie wmawiać, że mi ani trochę na niej nie zależy. Ale mimo to po cichutku musiałem przyznać, że gdyby mnie teraz porzuciła, byłbym znacznie bardziej zmartwiony, niż wtedy, gdy Jim wystrychnął mnie na dudka. Nagle odetchnąłem z ulgą: dojrzałem ją. Szeroki uśmiech okraślił jej twarz, kiedy zobaczyła moje zawiniątko, i zawołała:

— Klawy z ciebie chłop — widzę, że znasz się na rzeczy, choć z ciebie jeszcze młokos.

Musiałem przyznać, że i ona dobrze na rzeczy się znała. Wyszukała bowiem urocze miejsce pod jaworem opodal strumyka, zaś po sposobie, w jaki zabrała się do palenia ogniska, poznałem, że jej to nie pierwszozna. Zauważyłem też, że w czasie mej nieobecności umyła się i ładnie uczesała włosy. W świetle zachodzącego słońca włosy jej wyglądały jak roztopione złoto. Patrząc na tę śliczną dziewczynę, pochyloną nad ogniskiem, poczułem się jak król we własnym królestwie.

Zauważyłem także, że nazbierała całe naręcze suchych paproci, i domyśliłem się, że przeznaczyła to na posłanie. Zapytałem się w duchu, czy to łóżko będzie dla niej czy dla mnie, czy dla nas obojga. Wydawało mi się bowiem, że paprocie rozłożone były



w ten sposób, że wystarczały zaledwie na jedno łóżko. Ponieważ zaś do tej pory nie znałem kobiet, nie znałem się na ich metodach. W pewnej chwili podeszła do mnie i pochwaliła mnie, że przyniosłem tyle dobrych rzeczy. Istotnie kolacja zapowiadała się wspaniale. Oprócz królika mieliśmy około 3 tuzinów ziemniaków, poza tym osełkę masła, cukier, herbatę, chleb, kawałek pieczeni, butelkę mleka, marchew i cebulę, jednym słowem było tego dość na kilka dni.

Moja dziewczyna zabrała się od razu do gotowania, stawiając na ogniu blaszane puszki zamiast garnków, przez cały czas zaś żywo rozmawiała. Mrok coraz szybciej zapadał, wreszcie zapytałem jej, jak jej na imię. Odpowiedziała, że nazywa się Ada, że urodziła się w Nowym Jorku, że zakochała się w jakimś włóczędze, który zapukał do drzwi ich domu prosząc o strawę. Była tak przejęta przygodami tego człowieka, że gdy odszedł, poczuła, iż musi pójść w jego ślady. Uciekła więc z domu i od tej pory włóczy się po gościńcach, chociaż nie spotykała więcej tego człowieka. Wiedziała tylko, że nigdy go nie zapomni.

Kiedy tak rozmawiała bawiąc się drewnianym patykiem, który wystrugała, aby służył zamiast widelca, powiedziałem sobie w duchu: „Zna się na kuchni i nie jest złą gospośią.“

Patrząc zaś na nią, jak siedziała na pniaku w czerwonym świetle ognia, dziwnego zacząłem doznawać uczucia. Potem zabraliśmy się do jedzenia, jedząc razem z tej samej blaszanki. Potem dołożyli-

śmy jeszcze trochę chrustu do ognia i zaczęliśmy palić papierosy.

Ada stawiała się coraz bardziej rozmowna, głównym wszakże tematem, do którego wszystko inne zdawało się być przyczepione, były jej doświadczenia z różnymi typami mężczyzn, których spotkała na swej drodze. Ilość ich przeraziła mnie. W pewnej chwili, dokładając chrustu do ognia, rzekła nieoczekiwanie:

— To dziwne, ale podczas całej mojej wędrówki, nie spotkałam żadnego chłopca, który by mi się tak podobał jak ty.

Po czym wstała i usiadła koło mnie. Speszyłem się, jednocześnie zaś czułem, że jakaś niewidzialna siła hipnotyzuje mnie. Nie wiedziałem, co mi jest. Czułem, że powinien bym coś zrobić, nie wiedziałem jednak co, i w moim zmieszaniu bąknąłem, byle coś powiedzieć:

— Kiedy chcesz się położyć?

— Kiedy chcesz — odparła.

— No, to chodźmy, jestem gotów. — Przy tych słowach poczerwieniałem jak burak i dziwny dreszcz przebiegł moje ciało.

Wstaliśmy więc, a ona poszła naprzód, kierując się prosto ku łożu z paproci. Poszedłem za nią. Byłem cały przejęty tą niezwykłą przygodą i w duchu oczekiwałem czegoś jeszcze, nie zdając sobie sprawy z tego, co miało nastąpić. Gdy Ada była zajęta noszeniem liści, ja odwróciłem się nagle i zawstydzony wróciłem do ognia. Zły byłem na siebie, ale nigdy jeszcze nie znalazłem się sam na sam z kobietą. Usiadłem z powrotem przy ogniu, rozgrzebu-

## ROZDZIAŁ VI.

### TRZY DNI Z ADA.

Skosztowawszy owocu z drzewa świadomości, doznałem uczuć, jakich nigdy dotąd w życiu nie doświadczyłem. Byłem wyczerpany i dziwnie podniecony, że zaś oboje spociliśmy się przy tym bardzo, nie mogłem nie zauważyć nieprzyjemnego zapachu, jaki ciało Ady w tej chwili wydawało. Leżałem zgrzany i jakby zły na siebie i właściwie ciągle jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, co to właściwie miało znaczyć. Przede wszystkim przytłaczało mnie uczucie winy, wyobrażałem sobie, że popełniłem grzech tak straszny, że nigdy nie będę mógł już spojrzeć w twarz Ady.

Gdy te myśli kotłowały w mej głowie, Ada pozwoli zaczęła przychodzić do siebie. Od chwili naszego uścisku leżała bez ruchu z przymkniętymi oczami, jak martwa. Nagle zerwała się, zarzuciła mi ramiona na szyję i całując mnie namiętnie rzekła:

— No i co? Przyjemnie ci było ze mną? Przecież lubisz mnie chyba troszeczkę, prawda?

— Pewnie, że cię lubię, kochasiu — odpowiedziałem stając się nagle sentymentalny i znów nie rozumiejąc, dlaczego. Leżeliśmy jeszcze dłuższy czas całując się i pieszcząc i wkrótce zapomniałem zu-

pełnie o poczuciu winy. Byłem zmęczony, a jednocześnie dumny i przez dłuższy czas pieściłem moją przyjaciółkę w sposób protekcyjny. Poczułem nagle potrzebę zaopiekowania się nią. W jednej chwili stałem się dorosłym mężczyzną. Moim pragnieniem było starać się o jej wygodę i zadowolenie.

W miarę jak ją całowałem, szacunek mój dla niej się wzmacniał i stawała się dla mnie prawie świętością. W czasie tych rozmyślań nakryłem ją marynarką, robiąc wszystko, co było w mojej mocy, aby jej zapewnić wygodę. Po chwili usnęła. Wtedy cichutko wysunąłem się z naszego łóżka z paproci, aby podsycić ogień. Dorzuciłem trochę chrustu na tlejące drzazgi i w świetle płomienia, który buchnął nagle, zacząłem przyglądać się mojej śpiącej towarzyszce. Po chwili wróciłem do niej, pogłaskałem jej włosy i pocałowałem ją w czoło, po czym położyłem się koło niej, aby zasnąć. Przez chwilę patrzyłem na płomień, tańczące wesoło wśród liści drzew oraz na cienie, jakie od drzew padały. Ogień dogasając, syczał cichutko, a w pobliżu gdzieś zahuczał puszczek.

Po chwili jakiś olbrzymi szczur wylazłszy gdzieś z ciemności pobiegł bezszelestnie w stronę próżnych puszek, w których znalazł jeszcze resztki jedzenia. Usnąłem, mając w uszach odgłos drapania pazurów szczura.

Ponieważ zaś wszystkie piękne rzeczy muszą mieć swój koniec, zbudziłem się po paru godzinach kamiennego snu, aby powitać brzask nowego dnia.

Ada leżała przytulona do mnie, kiedy zaś wstałem, żeby się ubierać, zbudziła się.

Kiedy obróciłem się na drugi bok i zacząłem

przecierać oczy, widmo grzechu znów kręciło mi się przed oczami. Ada, uśmiechając się jednak, rzekła :

— Patrzcie no, co za ranny ptaszek! Czemu się zrywasz tak wczas?

— Nie mogę spać — odpowiedziałem. — Zresztą chciałbym znów ruszyć dalej. Poza tym nie ma tu w okolicy żadnego domu, gdzieby można czegoś dostać z wyjątkiem tego folwarku, gdzie byłem wczoraj wieczór, a tam przecież nie wypada iść po prośbie po raz drugi.

— No to klawo — rzekła Ada wesoło. — Jak mówisz, że trza ruszyć, to ruszymy.

— Cie — zawołałem, — a któż ci powiedział, że to my ruszamy? Powiedziałem tylko, że to ja chcę ruszyć. Nie patrz na mnie tak gniewnie, bo przecież musisz przyznać, że to nie ja cię prosiłem, żebyś została ze mną! Tyś chciała zostać, więc zostałaś. Ja zaś zgodziłem się dlatego, bo żal mi się zrobiło, żeś taka sama, ale muszę ci powiedzieć, że nie mam najmniejszej ochoty włóczyć się po świecie z jakąś damulką. A zresztą, skąd mam pewność, że nie należysz już do kogoś innego? Nie mam najmniejszej ochoty narażać się na połamanie żeber.

Ada słuchała tych moich wywodów z miną zdziwioną i urażoną. Nagle, w jednej chwili zamieniła się w dziką kotkę. Jednym susem zerwała się z posłania, stanęła przede mną w majtkach, zaś włosy jej zmierzwiłone spadały jej na ramiona. Kiedy schyliła się, aby naciągnąć spodnie, zauważyłem, że plecy nosiły ślady paproci, na których leżała. Skoro wreszcie odwróciła się ku mnie, nie mogłem jej poznać;

nie przypuszczałem, że ta namiętna dziewczyna potrafi być tak wściekła. Twarz jej stała się biała jak płótno, jej purpurowe usta złowrogo zaciśnięte, a jej duże jasne oczy stały się w jednej chwili wąskie jak szparki. Ze zdumieniem patrzyłem na tę dziwną przemianę u dziewczyny, którą uważałem przedtem za łagodną i kochającą. Z ust jej wypłynął niepomowany potok wyzwisk i przekleństw.

— Przeklęty synu suki — kundlu! Bydlę! Podły pies! Kto do pioruna powiedział ci, że ja chcę się z tobą włóczyć? Pomyślałby kto jeszcze, słuchając twoich wymysłów, że jesteś moim żywicielem — do cholery z tobą! Ada ci pokaże, że potrafi się obejść bez gacha. Czy mi źle samej na świecie? Ty wstętny, zawszony kundlu parszywy, niech cię piekło pochłonie!

Przerwała, żeby tchu zaczerpnąć, widząc zaś, że nie zwracam uwagi na jej wyzwiska, uspokoiła się trochę i zaczęła mówić spokojniejszym i bardziej opanowanym głosem.

— Zresztą, co komu do tego. Gdybyś mi się nie był podobał, z pewnością nie byłabym z tobą spała i nie byłabym ci pozwoliła na pieszczoty. Ty byłeś moim pierwszym chłopcem. Byłam jeszcze dziewczicą, kiedy mnie poznałeś. Ta cała kłótnia zresztą nie ma sensu. Zróbmy zgodę i ruszajmy w świat,

— Cie, po tym wszystkim? — Słuchaj, dziewczyno, nie nabierzesz mnie na kawał. Nie zawracaj mi głowy dziewictwem, bo pewny jestem, że więcej miałaś chłopców niż ja ciepłej strawy. Nie jestem

taki głupi, jak ci się wydaje. Zresztą nie chce mi się włożyć z tobą, i na tym koniec.

Powiedziawszy to poszedłem w stronę strumyka, aby się umyć. Po chwili przyszła Ada również z zamiarem rannej toalety, a wtedy poczułem wstyd z powodu ostrych słów, jakie jej powiedziałem. Tylko bydlak może takie rzeczy mówić, powiedziałem sobie. Zresztą, skąd miałem pewność, że nie była dziewczicą? Nie zrobiłem jej nic złego. Żał mi się jej zrobiło i zacząłem w siebie wmawiać, że to, co mówiła, było prawdą. Byłem skończonym bydlakiem, jak mogłem tak się unieść! Postanowiłem więc przeprosić ją, tym bardziej że lepsze już takie towarzystwo niż żadne. Cóż mi zresztą szkodziło spróbować życia we dwoje? Jak mi się znudzi, będę miał zawsze możliwość wskoczyć do najbliższego pociągu i zostawić ją losowi. Rozmyślając nad tymi wszystkimi sprawami, spojrzałem na Adę, która widocznie zrozumiała, co się we mnie dzieje, bo widząc, że szukam grzebieńca, podała mi swój ze słowami:

— Masz, kochanie, może ci się przyda.

Uśmiechnęła się przy tym tak słodko, że w jednej chwili zapomniałem o wszystkim, co zaszło, i sam nie wiem, jak to się stało, że w pewnej chwili rzuciliśmy się sobie w ramiona, całując i śmiejąc się do siebie, jakbyśmy byli od lat kochankami.

Ada odezwała się pierwsza:

— Czy nie jesteśmy parą wariatów? Niepotrzebnie tylko unieśliśmy się oboje. Ja chyba gorsza jestem od ciebie. Wierz mi, że nie miałam zamiaru cię obrazić. Szał mnie ogarnął na myśl, że chcesz mnie porzucić, gdy ja tak bardzo cię kocham. A kocham

cię dlatego, bo jesteś taki inny od innych chłopców, których dotąd spotkałam. No, nie gniewaj się już, zobaczysz, że dobrze nam będzie razem. Jestem też dość sprytna, kiedy idzie o wyproszenie różnych rzeczy, a jak będziemy w mieście, to nabiorę niejednego na parę dolarów. Potrafię wymyśleć na poczekaniu takie smutne przygody, że każdy chętnie da i jeszcze łzę otrze. Wiem dobrze, że nie jestem świętą, i wyznam ci teraz, że nie byłam dziewicą. Ale z tobą to co innego. Ciebie kocham naprawdę i nie chciałabym cię stracić. Będę cię słuchać we wszystkim, tylko pozwól mi zostać. Jeślibyś chciał, to mogę nawet oddawać się za pieniądze, żeby tylko mieć za co wynająć pokój w mieście i żyć spokojnie przy tobie.

Słuchałem ze wzruszeniem tych wynurzeń Ady i było mi jej żal. Kiedy jednak powiedziała, że jest gotowa oddawać się za pieniądze i że przede mną miała innych kochanków, w jednej chwili straciłem dla niej szacunek, choć szczerze jej współczułem. A kiedy znów zarzuciła mi ręce na szyję i pocałowała w usta, nie doznałem już tego samego dreszczu, jak w ogóle nigdy już nie miał wrócić czar naszego pierwszego uścisku tam, pod tym jaworem...

Przez 3 dni i 3 noce włóczyliśmy się po gościńcach, ale urok nowości szybko prysł. Pobawiłem się Adą jak dziecko nową zabawką, aż wreszcie straciła dla mnie cały urok. Miałem ochotę odsunąć ją jak najdalej od siebie, aż wreszcie czwartego dnia nabrałem takiego obrzydzenia do siebie i do niej, że korzystając z chwili, gdy ubierała się w gęstej kępie jałowca, dałem drapaką.



## ROZDZIAŁ VII.

### DŻUNGLA. — BÓJKA. -- RAJ WŁOCZĘGÓW.

Ruszyłem więc w świat samotnie. Ciągłe jednak wyobrażałem sobie rozpacz Ady, kiedy spostrzeże, że ją rzuciłem. Wyobrażałem sobie to tym jaśniej, że sam niedawno przechodziłem to samo, kiedy Jim mnie opuścił, z tą różnicą, że przynajmniej nie wyrządziłem Adzie materialnej krzywdy. Mimo to jednak zacząłem sobie robić wyrzuty, że ją zostawiłem na łasce losu, ale widok ślicznych wiewiórek, goniących po jakimś drzewie, naprowadził myśli moje na weselsze tory.

Pod wieczór znalazłem się na peryferiach jakiegoś wielkiego nieznanego miasta i tutaj po raz pierwszy zapoznałem się z dżunglą na wielką skalę. Była to chyba największa dżungla, jaką w życiu spotkałem. Dżungla ta była istotnie tak wielka i rozrzucona, że w pierwszej chwili wydawała mi się miastem z bajki, pełnym tańczących świateł i migocących w ciemności ognisk, palących się tu i ówdzie pod baldachimem rozłożystych drzew, które stały niby milczące posągi na straży czasu, gdy spadające gwiazdy zdawały się grać w ciuciubabkę w gąszczu listowia. Kiedy podeszłem do tego raju wyrzutków ludzkości, do tego przytułku i składu błą-

kających się dusz, straconych dla cywilizacji, byłem mile zaskoczony pogodnym i beztróskim życiem, jakim żyli owi ludzie. Ogień na ogniskach buchał wesoło, a w koło siedziały skulone postacie z beczynnie założonymi rękami, patrząc w ogień. Oczy tych ludzi płonęły jakimś dziwnym tajemniczym blaskiem, jak gdyby zapatrzone w brzegi jakiegoś innego świata. Tutaj po raz pierwszy zetknąłem się bliżej z życiem tej drugiej połowy ludzkości. Kiedy zbliżyłem się do skulonych postaci, siedzących wkoło pierwszego ogniska, przywitano mnie zwykłym pozdrowieniem włóczęgów:

— Jak się masz, bracie?

Ja zaś odpowiedziałem:

— Niezgorzej — i poszedłem dalej w głąb dżungli. Wiedziałem, że nie należy nigdy od razu spoufalać się z nadto z pierwszym lepszym kamratem, spotkanym w dżungli, której się jeszcze nie znało. Kroki swoje kierowałem w stronę, skąd dolatywały dźwięki skrzypek, harmonii i gitar. Ktoś również uderzał pokrywką o puszkę blaszaną, wybijając takt melodii, którą właśnie grano. Poznałem od razu, że był to — „Indyk na słomie“.

Zorientowałem się w mig, że w tej dżungli tak pełnej życia będę się mógł niejednemu przypatrzeć. Doszedłem wreszcie do miejsca, gdzie zabawa wrzała w najlepsze, i usiadłszy na wywróconej blaszance z nafty, nie zauważony przez nikogo, zacząłem badać sytuację. Nie siedziałem długo, kiedy podszedł do mnie pewien łazik, którego już parę razy spotkałem podczas moich wędrówek i pozdrowił mnie.

— Jak się masz, Jack. — Trafiłeś do nas?

— A no tak! Chciałbym sobie trochę odpocząć i dostać coś do zjedzenia. Przede wszystkim zaś chciałbym się oczyścić, bo czuję, że mnie wszy oblażyły. Myślę, że je dostałem od jednej dziewczyny, z którą przez kilka dni spałem. Leżeliśmy w trawie, kiedy nagle spadł deszcz, więc musieliśmy czym prędzej schronić się w jakiejś rozwalonej budzie. Widać, że musiało tam być dużo robactwa, bo od tego czasu muszę bezustannie drapać się po ciele. Muszę więc czym prędzej spróbować wytępić je na parze, bo inaczej zjedzą mnie żywcem.

— Pełno tu pieców dookoła — odparł Dynamit, bo takie było jego przezwisko. — Podejdz bliżej i usiądź przy ogniu.

Podeszliśmy blisko do ognia, powitani zwykłym „jak się masz — bracie“ — na co odpowiedzieliśmy — „Niegorzej“. Jeden z chłopców zbliżył się do mnie i powiedział, że mnie skądś zna, i spytał mnie o przezwisko. Przypomniałem sobie słowa Ady, a ponieważ przekonałem się, że słowo „dzieciak“ w języku włóczęgów nie oznacza bynajmniej dziecinności, — odpowiedziałem: „Dzieciak Zachodzące Słońce“.

— Cie — zdziwił się łazik. — Coś mi się zdaje, że widziałem twój podpis na ścianie poczekalni w Mobile. Tak, na pewno, teraz wiem, że cię znam!

Miał rację. Istotnie w poczekalni w Mobile wyrysowałem coś w kształcie zachodzącego słońca i podpisałem się przezwiskiem, jakie Ada mi dała.

— Mylisz się, Buddy — nigdy nie widziałeś mego znaku. Nie mam zwyczaju podpisywać się — odrzekłem.

Powiedziałem to zaś naumyślnie, aby wszyscy słyszeli, że nie jestem żółtodzióbem i że gotów jestem do bitki, gdyby mnie ktoś zaczepił. A jednocześnie chciałem pokazać, że nie lubię poufałości. Ponieważ jednak muzyka zaczęła grać na nowo, zapomnieli wkrótce o mnie i zaczęli się bawić. Skorzystałem ze sposobności, aby się przypatrzeć moim towarzyszom. Zauważyłem, że towarzystwo było bardzo różnorodne i składało się z niezliczonej ilości typów. Byli tam młodzi chłopcy i dziewczęta poniżej dwudziestki, ale byli również starcy i kobiety lat średnich. Każdy z nich zaś różnił się od drugiego czy to ubiorem czy ruchami, a wszystko to stanowiło niezwykle urozmaicony widok. Wśród całej tej zgrai poznałem od razu Józka z Bostonu. Był to tęgi, brudny i obdarty 40-letni drab, któremu świńska tusza nie przeszkadzała bynajmniej w sprawności. Jego dawno niestrzyżone włosy skręcały się w loki do samej szyi. Twarz miał pomarszczoną, zaś broda jego, niegolona od tygodnia, twarda była jak szczecina. Koszula jego natomiast uchodzić mogła za szczyt szyku, przynajmniej w świecie niebieskich ptaków. Uszyta była z grubego kolorowego płótna i była tak brudna, że widać było wszy spacerujące po niej. Widocznie gorąco, bijące od ognia, wyprowadziło je na powierzchnię. Spodnie jego, z grubego aksamitu w prążki, miały ogromne, grubo wypchane kieszenie, zaś boki aż świeciły się od tłuszczu, bo widocznie wycierał w nie ręce jak w ręcznik. Szczytem wszystkiego były jego buty niewiadomego koloru i rozdeptane jak łodzie, zaś duży palec lewej nogi wyglądał swobodnie na świat.

Jego marynarka była w strzępach, a ogromny, filcowy, na wszystkie strony powyginany kapelusz dodawał mu tyle powagi, że wyglądał na prawdziwego króla włóczęgów.

W chwili, gdy z całą rozkoszą oddawał się wypływaniu gęstej, czarnej śliny, pochodzącej z tytoniu do żucia, przyskoczyła do niego jakaś stara wiedźma, trzymając w ręku flaszkę denaturatu i szturchnąwszy go w bok, rzekła drżącym, przepitym głosem:

— Na zdrowie, bracie! Napij się, to cię rozgrzeje. Fajny trunek, złotko, no — na zdrowie!

Gruby Józek chciwie wyrwał flaszkę z jej rąk i przechylając w tył głowę za jednym zamachem łyknął pół flaszki.

— Poczciwa starucha! — roześmiał się rubasznie — zawdy wie, co frajerowi potrzeba!

Alkohol widocznie uderzył mu do głowy, bo zaczął z miejsca zalecać się do owej wiedźmy, głaśkać ją i pieścić, aż przykro było patrzeć, jak te dwa stare dranie wygłupiają się i mizdrzą. Musiałem jednak przyznać, że dobrana była z nich para. Kiedy zaś, wzięwszy się pod pachy, odsunęli się nieco od reszty towarzystwa i chwiejnym krokiem poszli na ubocze, omawiając wśród wybuchów śmiechu ze wszystkimi szczegółami pieszczoty, jakim wkrótce mieli się oddać, poczułem się naprawdę zgorzony.

— Zawsze mówiłam, że ze wszystkich chłopców tylko Józek zna się na całusach — zakrakęła, całując go w same usta, po czym jednocześnie powalili się na ziemię.

Pod wpływem wódki Józek stracił do reszty

głowę i rzucając się na wiedźmę, jednym ruchem zdarł łachmany, jakie okrywały jej ohydne ciało, ona zaś darła się wniebogłose, ale nie miała siły mu się oprzeć. Zmiarkowałem, że takie sceny nie były w dżungli nowością, gdyż nikt prócz mnie nie zwracał na nie uwagi. W pierwszej chwili chciałem się rzucić na pomoc i uderzyć go w łeb, żeby wyzwolić kobietę z jego uścisku. Potem jednak pomyślałem, że lepiej dać spokój, jako że nikt inny tym się nie przejmował. Ale do końca życia nie zapomnę tego widowiska. Oto parę kroków przede mną tarzaly się po ziemi dwa nędzne odpadki społeczeństwa. Kobieta tak dalece straciła panowanie, że nie była w stanie opamiętać się, mężczyzna zaś tak był pijany, że górę wzięły nad nim wszystkie najniższe, najciemniejsze instynkty. W tej chwili zaś w całkowitym bezwstydzie oddawali się najwyuzdańszej rozpuście.

Podobni byli do zwierząt. Bałem się, że Józek ją zabije w swej pijanej chuci. Rzeczywiście w pewnym momencie uderzył ją, a potem zaczął gryźć. Kiedy zaś zaczęła ryczeć z bólu, uderzył ją tak silnie, że straciła przytomność, a potem jeszcze sprzął ją nie-miłosiernie tak, że litość mnie chwyciła i chciałem pospieszyć na jej ratunek, ale znów powiedziałem sobie, że lepiej się nie wtrącać, a nawet odwróciłem głowę, aby patrzeć na coś przyjemniejszego. Oczy moje dostrzegły w ciemności niezliczoną ilość ognisk, rozsypanych wesoło po lesie, i domyśliłem się, że w tej dżungli więcej było ludzi, niż z początku myślałem. Odwróciwszy więc wzrok mój w drugą stronę, zauważyłem inną, tym razem młodą parę,

również dającą upust swej bezmiernej namiętności w sposób zgoła nieprzystojny. Rozmawiali przy tym bez najmniejszych obłąonek o sprawach miłosnych. Młody facet usiłował upić dziewczynę jakimś podłym dekoktem, złożonym — jak się później przekonałem — z benzyny i denaturatu, oczywiście w nikczemnym celu. Zauważyłem także, że fortel mu się udał, gdyż dziewczyna bez oporu pozwoliła mu się zabrać w ustronne miejsce.

Znudzony tym romansowaniem, wstałem i zastanawiając się, czym by czas zabić, zobaczyłem przy jednym z ognisk kilku obdartusów, całkowicie pochłoniętych grą w karty. Postanowiłem więc podejść bliżej i przypatrzeć się, jak taka gra wygląda, a ponieważ towarzystwo zebrane przy ognisku, przy którym sam siedziałem, powoli się rozchodziło, widocznie, aby spać, bez żalu zbliżyłem się do grających. Tak byli zajęci grą, że wcale mnie nie zauważyli. Usiadłem więc koło kibiców, których było sporo, i zdziwiłem się usłyszawszy, jak wysoko stawiają. Przeczulem też, że ta zabawa skończy się bijatyką. Zawczasu więc uzbroiłem się w gruby „bykowiec“, porzucony gdzieś przez kogoś na drodze, i czekałem, co dalej będzie. Wkrótce też nadarzyła mi się sposobność użycia mojej broni, bo gracze stawiali coraz wyżej, a nastrój stawał się coraz gorętszy. Stawki dochodziły do dwunastu dolarów, a twarze graczy mieniły się jak ognie, nozdrze im drgały, a ręce trzęsły się z podniecenia. Zauważyłem też, że usta mieli złowrogo zaciśnięte a brwi zmarszczone groźnie. Każdy z graczy starał się przelicytować drugiego, toteż stawki skoczyły z dwunastu na dwadzie-

ścia, z dwudziestu na dwadzieścia pięć, wreszcie doszły do trzydziestu. Spojrzawszy na jednego z graczy, zmiarkowałem po wyrazie jego twarzy, że musiał wysoko stawiać i że jeżeli przegra, to dojdzie do awantury, kiedy w pewnym momencie czyjaś ręka zmiotła pieniądze z puli i wybuchła piekielna awantura. W jednej chwili wszyscy gracze znaleźli się na ziemi. Dzikie krzyki złowrogo przeszyły ciszę nocną, a w tym kłębowisku ciał, wijących się w nieprzytomnych uściskach, wszystko było w robocie: pięści, nogi, noże, kije, a nawet i brzytwy.

W czasie tej bijatyki o pieniądze, na których cała zebrana zgraja, nie wyłączając i mnie, w tej chwili się rzuciła, udało mi się ściągnąć trochę drobnych. Kiedy jednak wyciągałem po nie rękę, dostałem porządneho kułaka w lewo żebro, aż syknąłem z bólu. Odwróciwszy się jednak z miejsca, zacząłem wymachiwać moim kijem na prawo i na lewo, wreszcie czując, że cała ta historia może się dla mnie źle skończyć, uciekłem w las. Obraz bijatyki, jaki miałem przed oczami, napełniał mnie przerażeniem. Widziałem obcięte uszy, nadgryzione nosy, twarze nieludzko zmasakrowane i wykrzywione z bólu, rozplątane czaszki, ubrania w strzępach i kałuże krwi dokoła.

Kiedy wreszcie poczułem się dość bezpieczny i chciałem spocząć, rad, że z tych opałów udało mi się wyjść cało i w dodatku z paroma dolarami w kieszeni, omal że nie zemdlałem na widok jakiegoś tęgiego draba, który z całą siłą kopnął drugiego w brzuch. Jęknął i w jednej chwili z jego



na wpeł otwartych warg, bluzgnął strumień gęstej i ciemnej krwi. W tych kilku sekundach tylu rzeczom się napatrzyłem, że odetchnąłem z ulgą, kiedy wreszcie znalazłem schronienie w jakimś opuszczonym schronisku, złożonym z blaszanych puszek, szmat, drzewa i słomy, dostrzeżonej w kącie, która mi się bardzo przydała, ponieważ w budzie tej nie było ani ognia, ani nawet brudnych szmat, rozwieszonych dokoła, jak to nieraz spotykałem w innych zamieszkałych budach tego rodzaju.

Byłem tak zmęczony, że nie myślałem o wygodzie i po prostu runąłem na ziemię, pragnąc zresztą jak najprędzej uciec z tego okropnego miejsca. Po chwili wszakże zasnąłem snem sprawiedliwego, lecz robactwo nie dało mi spokoju. A kiedy rano wreszcie obudziłem się, zauważyłem, że miejscami byłem do krwi pogryziony. Wyjrzałem z mojej nory, aby się rozglądnać po okolicy. W dziennym świetle okolica ta wydawała mi się znacznie mniej ponętą niż poprzedniego wieczora i chociaż wiedziałem, że nie mogłem się spodziewać żadnych nadzwyczajności, przecież byłem zaskoczony widokiem, jaki się przede mną roztoczył. Ziemia dokoła była stratowana, w zaroślach i pod krzakami pełno było papierów i zardzewiałych puszek, potłuczonego szkła i flaszek. Tu i ówdzie strzępy podartych koszul, spodni, spódnic, poza tym jeszcze poniewierały się buty, skarpetki, kapelusze, czapki, dzbanki, patelnie, odłamki żelaza, połamane piece, blaszanki z benzyny i oliwy, oskrobiny ziemniaków, liście kapusty i tysiące innych pamiątek rajskiego żywota włóczęgów.

Ponadto pełno było bud rozmaitej wielkości, dokoła rozsianych. Jedne z nich zrobione z cegły i kamienia podobne były do psich bud, inne zbudowane z blachy i słomy, a jeszcze inne podobne były do kopców mrówek z dziurą w środku, mającą naśladować drzwi. Nory te wyłożone były papierem, słomą i szmatami. Czarna plama wypalanej trawy przed wejściem do każdej z tych bud wskazywała, że w tym miejscu rozpalano ognisko, zaś rozrzucone brudne i lepkie puszek blaszane wskazywały, jakich naczyń używali do gotowania. Drzewa i krzewy połączone były sznurami i drutem, na nich zaś rozwieszono były wypłowiałe i podarte części bielizny i odzienia. Najwykwintniejszymi okazami garderoby były bezsprzecznie kolorowe majtki kobiet, szczególnie jedna para ozdobiona cienką koronką, które zdawały się wskazywać, że właścicielka ich od niedawna chyba do tej kompanii należała. Rozejrzawszy się w okolicy poszedłem szukać wody. Zobaczywszy zaś parę obdartusów idących gdzieś z blaszankami w rękach, poszedłem za nimi. Wkrótce doszedłem do jakiejś zatoki i ku mojemu nieopisanemu zdziwieniu ujrzałem przed sobą obraz, na który dosłownie wytrzeszczyłem oczy: oto przede mną w wodzie stało kilka kobiet nagich, jak je Pan Bóg stworzył, które nie zwracały najmniejszej uwagi na moją obecność.

Nie chciało mi się zbyt długo im przyglądać, więc poszedłem trochę dalej i złożywszy moje łachmany na brzegu, skoczyłem do wody. Zimna woda chłodziła moje podrapane i pokrwawione ciało, z którego w ciągu nocy robactwo urządziło sobie ucztę. Po-

stanowiłem zemścić się na moich wrogach, obiecując im w duchu, że ich wytępię doszczętnie. Po kąpieli uczułem gwałtowny głód. Wróciłem więc w stronę miasta, wiedząc, że w dżungli niczego bym nie dostał.

## ROZDZIAŁ VIII.

### NABIERANIE GOŚCI. — PRZYGODNY ROMANS.

Przedo wszystkim zaszedłem do rzeźnika. Ledwie jednak stanąłem w drzwiach, kiedy on zawołał:

— Nie trudź się dalej, dziś nic ci nie dam, bo przed chwilą dopiero musiałem zaopatrzyć dwóch takich jak ty.

Ja jednak nie dałem za wygraną i podszedłem śmiało do lady:

— Słuchajcie, gospodarzu, czy nie macie przypadkiem pół cielaka, z którym nie wiecie co zrobić?

Uśmiechnąłem się przy tym wyzywająco, nie zważając na jego groźną minę. Widząc zaś, że moja propozycja go zatkała, ciągnąłem dalej:

— No, przecież wiecie, co mam na myśli. Coś, czego nie potraficie sprzedać, a czym ja się struję na cały tydzień. Ale co robić, jestem włóczęgą i tygodniami całymi nie mam nic w ustach prócz chleba, chleba i jeszcze raz chleba, a na deser szczyptę świeżego powietrza. Czuję, że mój żołądek podskoczyłby z radości, gdybym go poczęstował, ot np. kawałkiem kotletu, zamiast znów nakarmić go chlebem. Nie mam wprawdzie ani kromki przy duszy, gdybyście mi jednak dali kawał mięsa, dostałbym może gdzie indziej również i kawałek chleba.

W miarę jak mówiłem, rzeźnik odnalazł język w gębie i rzekł wesoło:

— Bardzo mi przykro, bracie, gdybym jednak miał karmić wszystkich drabów, pukających do moich drzwi, musiałbym zamknąć sklep.

Ponieważ byłem jednak bardzo głodny, postanowiłem wytrwać do ostatka, wyciągnąłem więc ołówek i jakiś świstek papieru i podając mu to rzekłem:

— Jestem głuchy jak pień. Ale cóż robić, jestem kaleką od urodzenia. Gdyby nie moja głuchota, znalazłbym pracę. Strasznie mi przykro, że muszę zebrać i nachodzić takich zacnych gości, jak pan.

Poznałem, że trafiłem w jego czułą strunę, gdyż w jednej chwili odsunął na bok papier i ołówek, i biorąc do ręki nóż, wykroił mi piękny, soczysty kotlet. Podziękowałem mu najczarowniejszym uśmiechem, na jaki mogłem się zdobyć, on zaś zawołał donośnym głosem :

— No, niech cię tam! Szczęśliwej drogi!

Szczerze wzruszony zacząłem dziękować, śmiejąc się w duchu z jego naiwności i będąc dumnym zarazem, że mi się kawał udał. Następnie zaszedłem do piekarni, gdy jednak piekarz zobaczył mnie, już z daleka zawołał:

— Nie masz co wchodzić, dziś nic nie daję! Bądź zdrow! — To jednak nie zbiło mnie z tropu.

— Ciel — rzekłem — przykro mi, że się wam narzucam, ale rzeźnik z naprzeciwka poczęstował mnie tym oto kotлетem i posłał mnie do pana, bo powiedział, że z pana klawy chłop i nie odmówi mi bochenka chleba. Może mi pan dać świeży bochenek,

ale może być i wczorajszy. Powiedział mi jeszcze, że pan słynie z chrześcijańskiego miłosierdzia i że mam się na niego powołać.

To wystarczyło. Po chwili już opuszczałem jego sklep, trzymając pod pachą duży bochenek czarnego chleba oraz kilka bułek. Gwiżdżąc wesoło, poszedłem przed siebie dalej, skręciłem w bok i wszedłem do sklepu spożywczego.

Właściciel sklepu, stojąc za ladą, burknął:

— Czego chcesz?

Spojrzałem na niego błagalnym wzrokiem, uśmiechając się przy tym żałośnie. Potem wyjąłem z kieszeni świstek papieru i ołówki i udając, że nie słyszałem, co do mnie mówi, skreśliłem następujące słowa:

— Jestem głuchoniemy, jestem bez pracy, bezdomny i bez grosza przy duszy. Czy nie zechciałby mi pan dać szczypty herbaty?

Kupiec przeczytał uważnie to, co mu napisałem, i twarz jego przybrała bardzo patetyczny wyraz, kiedy spojrzałem na niego smutnym, błagalnym wzrokiem. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu dał mi nie tylko herbaty, ale jeszcze funt cukru, paczkę kondensowanego mleka, pół funta szynki, kilka jaj, puszkę mięsa w konserwie, a do ręki wcisnął mi pół dolara. Wszystko to wsunął do pięknej torby z grubego, brązowego papieru, ja zaś śmiejąc się w duchu, zawstydzony i uradowany zarazem, wracałem do dżungli. W drodze powrotnej wszakże przypomniałem sobie, że brak mi jeszcze czegoś do palenia. Widząc zaś jakiegoś sympatycznie wyglądającego człowieka, podszedłem do niego, dając mu znaki.

Człowieczyna w mig zrozumiał, że jestem niemy, włożył więc szybko ręce do kieszeni i rzekł:

— No, masz, Buddy. Ja mam więcej, niż mi potrzeba. Szczęść Boże!

To mówiąc wręczył mi paczkę papierosów i dolara. Chcąc wyrazić moją wdzięczność, wydałem z siebie całą gamę najdziwniejszych dźwięków. Kiedy zaś zniknął mi z oczu, wybuchnąłem tak głośnym śmiechem, że aż przechodnie przystawali zdziwieni, uśmiechając się pod moim adresem. Jakaś kobieta zaś zauważyła:

— Biedaczysko! — jestem pewna, że urządził komuś kawał. Musi z niego być morowy chłop, skoro się śmieje ze swojego losu. Widać przecie, że to łazik!

— Pewnie — rzekł jej towarzysz — ale sądząc według paczki, jaką dźwiga, nieźle mu się powodzi. Niech go tam!

Poszli swoją drogą, a ja poszedłem swoją, tym bardziej, że z daleka zobaczyłem policjanta. Widok munduru otrzeźwił mnie zupełnie, wziąłem więc nogi za pas, pragnąc jak najprędzej wrócić do mojej nory. Wkrótce też znalazłem się w dżungli. Przedzierając się przez krzaki zauważyłem, że wszystkie oczy patrzyły z zawiścią na dużą paczkę, którą dźwigałem. Kiedy zaś rozpałem ognisko, przyskoczyło do mnie kilku drabów, którzy bardzo uprzejmie ofiarowali mi swoje usługi. Ja jednak odpowiedziałem:

— Dziękuję, sam sobie doskonale dam radę. Zbyt dużo miałem przyjaciół i dlatego wiem, że najbezpieczniej jest polegać tylko na sobie. Nie twierdzę,

że mi się przelewa, ale przynajmniej jestem panem siebie i nie muszę się dzielić tym, co mam.

— Masz rację, Buddy — odezwała się nagle młoda dziewczyna lat może dwudziestu. — Nie masz z kim się dzielić, ale też nie masz się z kim bić. Ja włócę się także sama po świecie, ale powiem ci, że te typki, które tutaj widzisz, to żadna klasa. Są to zwykłe łaziki, które tyle akurat sobie uzebrzą, ile sami potrafią zjeść. Dlatego radzę ci nie zadawać się z nimi, bo od nich niczego nigdy nie wyciągniesz. Zresztą tak się strasznie boją „burech”<sup>1</sup>, że nie mają nawet odwagi chodzić po żebrach.

Słuchałem jej słów z roztargnieniem rozpalając ognisko, zauważyłem tylko, że moi nieproszeni towarzysze nagle gdzieś znikli. Zostały tylko dwie damulki. Mam wrażenie, że ta, która tyle mówiła, wystraszyła całe towarzystwo. Dłuższy czas jeszcze gadała na temat drugich, wreszcie rzekła:

— Poczekaj chwilkę, pójdę do budy i przyniosę ci parę blaszanek, żebyś miał w czym ugotować strawę. Zdaje mi się, że mam kilka niepotrzebnych puszek w mojej budzie.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, poleciała gdzieś w zarośla, zostawiając mnie sam na sam z tą drugą, która była chuda, niezgrabna, chorowita i w ogóle robiła niechlujne wrażenie. Miała może 24 lat i była raczej żalсна. Nie miałem serca powiedzieć jej, żeby się zabrała. Toteż zapytałem:

---

<sup>1</sup> „Bury” — w języku gangsterów amerykańskich — policjant.



— Jesteś głodna?

— Pewnie! Może byś poczęstował mnie szklanką kawy?

— Dobrze — odpowiedziałem — nie mam wprowadzić kawy, ale tu masz parę centów, idź i kup sobie, co ci potrzeba.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom, kiedy cisnąłem jej błyszczącą monetę, bo z radości rzuciła się na mnie i omal, że mnie nie udusiła, całując mnie i ściskając. Byłem rad, kiedy sobie poszła, czekałem bowiem z niecierpliwością na powrót jej towarzyszki, która była i ładniejsza i sprytniejsza. Pomyślałem w duchu, że byłoby dobrze, gdybym znalazł towarzyszkę na kilka nocy, a zresztą uważałem, że gotowanie babską jest rzeczą i, że zawsze lepiej, jak gotuje baba.

Chciałem tylko się zastanowić, czy potrafię utrzymać kobietę, choćby kilka dni. Zresztą mniejsza o to. W tym towarzystwie o kobiety nie było trudno, więc po co się martwić? Moja dziewczyna wróciła wkrótce, niosąc pełne naręcza puszek i pokrywek i śmiejąc się rzekła:

— Patrz, Buddy, co przyniosłam. Możesz je sobie wziąć. Znalazłam je wczoraj, myśląc, że mi będą potrzebne. Ale, że nie mam ochoty zostać tu dłużej, więc je sobie weź. To nie jest miejsce dla mnie. Już ci mówiłam, że te draby tutaj, to żadna klasa. Im tylko baby są w głowie, nic więcej. Myślę, że ty także długo tu miejsca nie zagrzejesz.

— Jeszcze nie wiem — odparłem. — Może i dłużej tu zostanę. Miarkuję, że w tym mieście ludziska są poczciwi i dają chętnie. Trzeba mi nowego ubra-

nia, bo to, co mam na sobie, już się rozlatuje. Zresztą, chciałbym sobie trochę odpocząć. — Po chwili dodałem:

— Może byś została tutaj i pilnowała jedzenia, a ja tymczasem pójdę po wodę na herbatę.

— Herbatę! Herbatę! — zawołała. — Klawy z ciebie chłop! Nie każdemu się uda wyżebrać herbatę!

— Cie — zawsze jest jakaś odmiana.

Zostawiwszy ją przy moich prowiantach, poszedłem szukać wody, a kiedy wróciłem, zastałem ją palącą papierosa.

— Może zapalisz? — zapytała, podając mi paczkę „Camels“.

— Serdeczne dzięki — rzekłem. — Wprawdzie sam też mam papierosy, ale wolę twoje. Te, co dostałem, nie smakują mi. Ale trudno, dziad nie może być wybredny.

Dziewczyna usiadła na pniu koło ogniska, przypatrując się, jak przyrządzam śniadanie. Kiedy wszystko było gotowe, zapytałem:

— Może zjesz ze mną śniadanie, kochasiu?

— O, nie! — odparła. — Nie przyszłam tutaj, żeby do ciebie się przylepić i jeść twoją strawę. Przyszłam dlatego, bo poznałam, żeś jest inny niż ta cała banda. Zresztą chciałam cię ostrzec przed nimi, kiedy zobaczyłam, że mają cię na oku. Wiedziałam też, że ciebie tu nie znają, bo jeden z nich rzekł do mnie:

— Ten dryblas zna się na rzeczy. W niecałe pół godziny uzebrał więcej niż kto inny przez dzień. Może też ma forszę przy sobie. Jeśli tak, to się z nim podzielę.

— Kiedy zobaczyłam, jak te draby zleciały się do ciebie, myślałam, że już będzie twój koniec. Kiedy zaś ujrzałam, jak rozpalasz ognisko i jak im się odcinasz, postanowiłam zostać przy tobie, przynajmniej do wieczoru, żeby w razie potrzeby cię obronić. Ale nie myśl sobie, że zagięłam sobie na ciebie parol. Mam wszystko, co mi potrzeba, w mojej budzie i po prośbie nie chodzę. Lubię tylko dobre towarzystwo, a ty?

— Ja także, panienko. No, napij się herbaty — rzekłem, podsuwając jej czarną, przypaloną puszkę, z której dymiła herbata.

— O jej! jakie to dobre! Dawno już nie piłam herbaty.

— To i dobrze. Może chciałabyś coś zjeść? Nie bój się, nic ci za to nie policzę. — Podałem jej więc kawałek kotletu, kromkę chleba i jajko. — No, zjedz — dodałem. — Albo jak nie chcesz, to zostaw sobie na później. Pewno będziesz głodna w nocy.

— No, skoro tak prosisz — odpowiedziała z uśmiechem — nie wypada odmówić, ale naprawdę nie jestem zupełnie głodna, a jeśli przyjmuję, to tylko z grzeczności. — To mówiąc, zaczęła wcinać wszystko, co jej dałem, ale widziałem, że je z musu. Rzekłem więc:

— Słuchaj, lubciu, myślałem, że mnie bujasz mówiąc, że nie jesteś głodna. Myślałem, że należysz do tych darmożjadów, co to pętają się koło każdego gościa, który coś ma. Ale widzę, że źle cię osądziłem, więc cię za to przepraszam. Powiem ci, żeś mi się od razu spodobała i dlatego nie kazałem ci się wynosić.

Po chwili zaś dodałem:

— A może myślisz, że jestem łatwowierny i że dałem się wzruszyć? Ale powiedz sama, co miałem z tobą zrobić? Wprawdzie jestem tylko łazikiem i włóczęgą, ale chwilami żal mnie zbiera, że nie jestem czymś lepszym. Widzisz, tak trudno jest mi wytłumaczyć ci, co czuję, ale myślę, że może nie byłoby źle, gdybyśmy tak razem spróbowali szczęścia. Może ci się to wszystko wydawać głupim, bez sensu, ale tak mi przypadałaś do gustu, że mam ochotę podarować ci wszystko, co posiadam.

Urwałem i spojrzałem na nią, żeby zobaczyć, jakie na niej te słowa zrobią wrażenie. Ku mojemu zdziwieniu siedziała z głową wstydliwie spuszczoną, tak że mogłem widzieć tylko połowę jej twarzy. Kiedy wreszcie podniosła głowę, oczy jej były pełne łez, i tyle było miłości w jej spojrzeniu, że nie mogłem wyjść ze zdumienia.

— Słuchaj, Buddy — rzekła — muszę też tobie wyznać, że spodobałeś mi się od pierwszego wejrzenia, ale nie wiedziałam, że i ja ci się podobam. Nie powiedziałam ci tego od razu, bo nie chciałam, żebyś myślał, że należę do tych dziewcząt, co to lecą na każdego mężczyznę. Wpadłeś mi w oko jeszcze wczoraj wieczór, jak tylko przyszedłeś. Przyglądałam ci się, kiedy przypatrywałeś się figlom Józka z Bostonu i Kaśki, a po wyrazie twojej twarzy zmiarkowałam, że lepszym jesteś od innych, i dlatego nie chciałam, żebyś odszedł. Kiedy zaś zaczęła się bójka przy kartach, odeszłam, bo bałam się, że i ty coś przy tym oberwiesz, a nie chciałam być świadkiem tego. Potem słyszałam, jak „Jim z dżungli“ powie-

dział, że chce zbadać, czy masz forszę, a wtedy powiedziałam sobie, że muszę zostać przy tobie i ostrzec cię w jakiś sposób, tym bardziej że byłam pewna, że jak długo będzie przy tobie jakaś kobieta, to cię nie zaczepi. Cieszę się, żeś mi powiedział tyle dobrych słów. Może nie pomyliłeś się bardzo. Nie jestem wprawdzie dama, bo za dużo już się włóczyłam i różnych miałam chłopców, tak samo jak i ty pewnie z niejedną spałeś kobietą. Więc powiem ci jeszcze, że dlatego chciałam ruszyć dziś jeszcze w dalszą drogę, bo czułam, że za bardzo mi się podobasz, a ja przecież niewarta jestem ciebie. Żaden mężczyzna nie weźmie sobie takiej jak ja za żonę. Gdybyś znał całe moje życie, wstydzilibyś się i za mnie i za siebie. Doprawdy, nie jestem ciebie warta. Zapomnijmy o sobie i rozejdźmy się! Szkoda dopiero przywiązać się do siebie, bo wiem, że byłbyś zemną nieszczęśliwy. Zresztą myślę, że przyjdzie dzień, kiedy spotkasz dziewczynę — czystą i niewinną, która nie zna całej ohydy życia, i z nią dobioło będziesz szczęśliwy. Pomyśl tylko, mieć za żonę dziewczynę, która spędza noce w domach noclegowych i dżunglach i która śpi z pierwszym lepszym draniem! Dla mnie już nie ma ratunku. Nie zasługuję nawet na litość, nie mówiąc już o tak zacnym chłopcu, jak ty. Ha! trudno. Szkoda tylko, że nie spotkaliśmy się dwa lata temu, kiedy byłam jeszcze niezepsutą dziewczyną, kiedy nie znałam życia. Miałam możliwość inaczej życiem pokierować, ale byłam lekko-myślna, więc mam to, na co zasłużyłam. Zresztą, mniejsza o to. Szkoda słów.

Rozplakała się głośno. Ja zaś widząc jej roz-

pacz, objąłem ją ramieniem, tłumiąc łzy, które również napłynęły do moich oczu.

— Uspokój się, mała — rzekłem. — Mniejsza o to, coś robiła dotąd. Podobasz mi się bardzo, nie płacz. — Im bardziej zaś próbowałem ją uspokajać, tym głośniej szlochała, mówiąc wśród łez:

— Kocham cię, Buddy, szczerze cię kocham i serce mi pęka, gdy pomyślę, że jestem tym, czym jestem, a mogłam być inną.

Jej płacz i słowa napełniły mnie takim uczuciem litości i szacunku, że z trudem hamowałem łzy. Wreszcie miłość, żal i radość tak mną zawładnęły, że przemocą prawie podniosłem ku sobie jej twarz i zacząłem całować jej mokre i słone od łez policzki.

Podniosła na mnie swoje oczy i rzekła:

— O jej, co za dzieciak ze mnie! Ale naprawdę, nie mogłam się powstrzymać, musiałam się wyplakać, a to dlatego, że jestem głupią babą. Ale od tej chwili mam tylko jedno pragnienie: już nigdy cię nie opuścić. Ale nie! nie! Popsułabym ci tylko życie, ale nie zapomnę cię nigdy.

Wstała, otarła łzy i pociągając nosem dodała:

— Pocałuj mnie tylko jeszcze jeden raz na pożegnanie.

Zarzuciła mi ramiona na szyję i zaczęła całować mnie tak, jak nikt nie całował mnie ani przedtem, ani potem. Wreszcie odwróciwszy się chciała uciec, ja jednak chwyciłem ją za rękę i rzekłem:

— Nie, kochanie, nie pozwolę ci odejść! Po tym wszystkim, coś mi powiedziała, nie mógłbym ciebie

porzucić. Poznaliśmy się wprawdzie dopiero przed chwilą, a już mi się zdaje, że nie mógłbym się bez ciebie obejść. Kocham cię!

Objąłem ją ramieniem i przez chwilę szliśmy tak, całując się bez pamięci. Zapomniałem o świecie bożym i wiedziałem tylko, że trzymam w ramionach moją dziewczynę. Potem znowu zaczęliśmy rozmawiać i doszliśmy do przekonania, że nie ma sensu się rozejść, bo nie byłibyśmy bez siebie szczęśliwi. Wobec tego moja nowa przyjaciółka zdecydowała się zostać przy mnie i opiekować się mną.

## ROZDZIAŁ IX.

MARY. — NOCNA OBLAWA. — UCZTA.

Siedząc tak koło siebie i robiąc plany na przyszłość, nie zauważyliśmy, że ognisko wygasło. Przypomniałem sobie wtedy, że nawet nie wiem, jak jej na imię. Mniejsza o to, powiedziałem sobie w duchu. Dowiem się później, jak się uspokoimy.

Następnie zaczęliśmy znosić drzewo, bo chcieliśmy sobie zbudować schronisko. Moja przyjaciółka powiedziała, że buda, w której dotychczas mieszkała, za ciasna jest dla nas dwojga. Postanowiliśmy zostać w dżungli jeszcze przez dwa dni, ponieważ musiałem przede wszystkim albo doprowadzić do porządku moje stare ubranie, albo uprosić gdzieś nowe. Po pewnym czasie domek nasz był skończony, składał się z wysokich gałęzi, związanych na górze, i wysłany był sianem i papierami.

W czasie tej pracy powiedziała mi, że nazywa się Mary i że od dwóch lat jest na ulicy. Wprawdzie życie koczownicze, które wiodła, dawno już jej się sprzykrzyło, ale była zbyt dumna, żeby wrócić do wioski, z której pochodziła, dodając:

— Ha, trudno, jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Gdy Mary zajęła się gotowaniem obiadu z resz-



tek, jakie zostały ze śniadania, ja wszedłem do budy wypalić papierosa, a ponieważ skóra strasznie mnie swędziła od ukąszeń robactwa, przeto zacząłem się drapać do krwi. Kiedy Mary ugotowała obiad i przyniosła go do naszego schroniska, przez chwilę miałem wrażenie, że jesteśmy prawdziwymi burzujami, zakochanymi w sobie po uszy. Przez cały czas wmaślałem w siebie, że ją kocham, ale w gruncie rzeczy, wiedziałem dobrze, że jest to tylko nowa przygoda i nic więcej.

Kiedy tak siedzieliśmy rozmawiając, Mary nagle zaproponowała, abym zdjął ubranie. Chciała mianowicie wygotować je, by zabić robactwo, które dosłownie żywcem mnie toczyło. Zacząłem się więc rozbiierać, ona zaś poszła na poszukiwanie czegoś, co by mogło nam posłużyć za garnek do gotowania bielizny. Wkrótce też wróciła, niosąc ogromną blaszankę, bez pokrywy, która wyglądała jak kocioł. Przyglądając się jej podziwiałem zręczność, z jaką wstawiała kocioł na zaimprovizowanym piecu z kominem, i przyszło mi na myśl, że pewnie takie radykalne tępienie robactwa nie było jej pierwszą, i zapytałem:

— Jak to dawno, kiedy gotowałeś własne ubranie?

— Ach — zawołała swobodnie — nie pamiętam — ale myślę, że ze sto razy już gotowałam swoje hadry.

Uzbierawszy pełne narecze drzewa, roznieciła ogień. Potem zawołała na mnie, żebym jej rzucił ubranie. Kiedy je dostała, zawiązała je w tobolek, wrzuciła do kotła i wsypała mydliny. Potem dołoży-

ła drzewa pod kocioł. Ja leżałem sobie tymczasem wygodnie w budzie. Po krótkim czasie Mary rzekła:

— No, już się gotują.

— Chwała Bogu — odpowiedziałem — niech się nawet upieką. Nie jest mi do nich pilno.

Ponieważ było bardzo ciepło, nie zależało mi na ubraniu, ale że nie chciało mi się dłużej nago w budzie siedzieć, zawołałem nagle:

— Mary, pożycz mi twoje majtki! Wtedy będę mógł przyjść do ciebie.

— Masz rację! — zaśmiała się Mary — zapomniałam na śmierć, że jesteś goły!

Weszła do budy, potem z całą swobodą zdjęła majtki i dała mi je.

Po jakimś czasie Mary wyjęła moje ubranie z kotła i powiesiła je na gałęziach, aby wyschło, a kiedy było już suche, zdjąłem je i wtedy dopiero zobaczyłem miliony nieżywych pcheł i wszy, oraz jaj rozsypanych wzdłuż szwów, a ten widok nappełnił mnie głębokim obrzydzeniem. Oświadczyłem więc:

— Trza będzie pójść po prośbie. Przecież muszę wytrzasnąć skądś nowe ubranie. Pójdiesz ze mną?

— Pewnie! — odparła Mary. — Chętnie się przewietrzę.

Kiedy ruszyliśmy w drogę, rzekłem do Mary:

— Słuchaj — jeśli się pokażę w tym ubraniu, to nikt mi nie da nowego, bo moje jeszcze nienajgorzej wygląda. Więc trza będzie ździebko je rozedrzeć w kilku miejscach, żeby wyglądało jak łachmany. Wtedy prędzej wrzuszę jakieś litościwe serce.

— Patrzcie, jaki morowy — ucieszyła się moja dziewczyna — pewnie, na dziada nie wyglądasz.

Bez namysłu więc rozdarłem koszulę przez pół, ale że nie bardzo chciałem się znów upodabniać do stracha na wróble, więc na razie przynajmniej zostawiłem resztę garderoby w spokoju. Kiedy doszliśmy do miasta, Mary poszła osobno użebrać trochę strawy, ja zaś udałem się na poszukiwanie garderoby. Zaszedłem najpierw do oficyn pierwszego większego domu, zapukałem do pierwszych drzwi i czekałem. Ponieważ nikt mi nie otworzył, więc postanowiłem odejść.

Kiedy jednak chciałem odejść, zauważyłem, że ktoś spuszcza roletę, i po tym poznałem, że ktoś jednak był w domu, wobec czego poszedłem do frontowych drzwi i zadzwoniłem.

Wkrótce starsza kobieta o dużym nosie, zezująca lekko, otworzyła mi drzwi.

— Czego chcesz? — zapytała kwaśno.

— Przepraszam panią — rzekłem grzecznie, rozpinając marynarkę i pokazując moją podartą koszulę — czy nie ma pani przypadkiem jakiej starej koszuli? Jak pani widzi, ta, którą mam na sobie, zlatuje mi z grzbietu. Jutro mam pójść do pracy na dużej fermie tu obok, wstyd mi jest pokazać się w takich łachmanach, a nie mam grosza przy duszy, żeby kupić nową.

— Nie mam żadnych starych koszul — odburknęła zezująca jejmość opryskliwie. — Męża nie ma w domu, więc nie wiem, którą koszulę dać, a której nie. Gdyby on był w domu, może by coś dla ciebie znalazł!

— Niech mnie pani wysłucha — rzekłem nie zbity z tropu. — Byłem już może w pięćdziesięciu domach i wszędzie słyszę to samo, tylko że każdy mnie zbywa pod innym pozorem. Powiem pani, że już mi się znudziło to bezcelowe łażenie, widzę, że uczciwą drogą do niczego nie dojdę. A może pani myśli, że to przyjemność łaźnić tak od domu do domu i wszędzie spotkać się z odmową? Zresztą powiem pani szczerze, że nie przywykłem jeszcze do chodzenia po prośbie i mam nadzieję, że ta moja niedola wkrótce się skończy. Żebym choć miał parę dolarów przy duszy, poszedłbym do sklepu i kupił koszulę, ale tak... no — nie chcę dłużej suszyć pani głowy moimi sprawami, bo myślę, że ma pani dość własnych kłopotów. Zostańcie z Bogiem!

Wypowiedziawszy to odwróciłem się na pięcie, w nadziei wszakże, że moje słowa ją wzruszą. Rzeczywiście, nie omyliłem się. Kobieta rzekła:

— Poczekaj, synu — i weszła do domu, skąd wkrótce wróciła wsuwając mi dolara do ręki.

— Masz na koszulę — rzekła — ale obiecaj mi, że go nie zmarnujesz.

— Przysięgam pani, że nie zmarnuję ani centunia — rzekłem bardzo poważnie. — Widać, że mnie pani nie zna. Stokrotne dzięki! Od razu poznałem, że pani jest zacną i szlachetną kobietą. Znam taki sklep, gdzie mogę dostać koszulę za dolara. Jeszcze raz — Bóg zapłać!

Uchyliwszy czapkę odwróciłem się i poszedłem swoją drogą, a ona rygłowała drzwi. Wsunąwszy dolara do kieszeni, postanowiłem kołatać tak długo do drzwi, aż dostanę upragnioną koszulę. Zapukałem

**B I B L I O T E K A**  
**Państwowego Liceum i Gimnazjum**  
 im. Helm. Jana Zamoyskiego  
 w Zamościu

Nr \_\_\_\_\_

więc od razu do następnych drzwi, a kiedy gospodyni otworzyła je patrząc na mnie z pogardą, z miejsca rozpiąłem marynarkę, pokazując jej gołą pierś spod podartej koszuli.

— Bardzo panią przepraszam, czy nie ma pani przypadkiem jakiejś starej koszuli? Jak pani widzi, ta, którą mam na sobie, jest nieco przewiewna. Najwyższy czas, abym ją zmienił na inną. Pewnie, jestem tylko zwyczajnym włóczęgą, ale przecież nawet największy dziad nie może się obejść bez koszuli.

Nie odezwawszy się ani słowem, kobieta weszła do mieszkania, skąd po chwili wróciła z koszulą w ręce.

— Masz — rzekła gniewnie — i żebyś się nie odważył drugi raz mnie nachodzić. — To mówiąc trzasła mi drzwiami w nos.

Zwinawszy koszulę wsunąłem ją pod pachę i zacząłem się rozglądać za ustronnym miejscem, gdziebym ją mógł włożyć. Wreszcie znalazłem domek z napisem, „dla mężczyzn“, gdzie swobodnie mogłem zdjąć starą koszulę i włożyć nową. Zanim wyszedłem, podpisałem się na ścianie i rozdarłem w kilku miejscach moją marynarkę. Postanowiłem bowiem tego dnia zaopatrzyć się w całkowicie nową garderobę. Z marynarką było trudniej. Byłem już w kilku domach, ale wszędzie odprawiono mnie z kwitkiem. Wreszcie zaszedłem do pustego garażu i ku mojej radości zauważyłem bardzo przyzwoitą marynarkę, wiszącą w kącie na wieszaku. Rozejrzawszy się dokoła i widząc, że nie ma nikogo, ulitowałem się nad biedactwem, wiszącym samotnie w kącie, i po-

wiedziałem sobie, że trza ją zabrać i wyprowadzić na słońce. Zdjąwszy więc swoją marynarkę, zawiesiłem ją z nabożeństwem na wieszaku, a tamtą zarzuciłem na siebie. Nie potrzebuję dodawać, że opuściłem garaż szybciej, niż należało, tym bardziej że zdawało mi się, że słyszę jakieś głosy. Tymczasem był to tylko głos mego sumienia, który spletał mi figla.

Teraz trzeba mi było tylko jeszcze nowych spodni, ale ku mojej rozpaczy nie mogłem w żaden sposób znaleźć nic odpowiedniego. Wprawdzie częstowano mnie różnymi spodniami, ale były one zawsze za duże albo za małe, za krótkie albo za szerokie, tak że w końcu znudzony bezowocnym poszukiwaniem, postanowiłem odłożyć sprawę moich spodni do następnego dnia.

Wracając do dżungli uprzytomniłem sobie, że przecież moje własne spodnie były tak podarte, że niesposób było w nich jeszcze się pokazywać. Wtedy zaświtała mi genialna myśl. Powiedziałem sobie, że jeśli rozedrę je w tych miejscach, które powinny być szczelnie zakryte, to na pewno na pierwszym lepszym posterunku policji zmuszeni będą w imię moralności zaopatrzyć mnie w nowe. Nie namyślając się długo porozdzierałem spodnie tu i ówdzie, a potem zgłosiłem się na najbliższy posterunek. Przedstawiałem widać bardzo żaloszny widok, bo kiedy zjawiłem się na posterunku, jeden z „burek“ zapytał mnie:

— No, cóż tam tak zakrywasz?

Dla większego efektu bowiem ścisnąłem na brzuchu resztki moich spodni.

— Posłuchaj mnie pan, panie starszy — rze-

kłem. — Spodnie które mam na sobie, wyszły nieco z fasonu. Jak pan widzi, na gwałt trza mi nowych. Pewnie, że to nie wypada przyjść na posterunek po zebrach, ale cóż mam robić. Nie mam ani pieniędzy, żeby kupić nowe, ani nici, żeby te polatać.

Policjanci śmiali się do rozpuku, każąc mi spacerować po kancelarii w moim niezbyt przystojnym stroju, w końcu jednak dali mi parę ślicznych, prawie nowych policjanckich spodni.

Kiedy przyszedłem do dżungli, zastałem Mary przy ognisku. Kiedy mnie zobaczyła rozwarła szeroko oczy i rzekła:

— Hej! Buddy, aleś się wyelegantował!

— A może nie? — rzekłem. — Jak widzisz, nieźle mi się powiodło. A ty co robiłaś cały dzień? Przyniosłaś co do zjedzenia? —

— Wystarczy, wystarczy — odparła, skromnie wskazując w głąb budy.

Kiedy zajrzałem do środka, miałem wrażenie, że buda nasza zamieniła się w handel towarów mieszanych.

— Hola! siostró — zawołałem. — Skąd wzięłaś to wszystko?

— To nie było trudno — odparła. — Udało mi się nabrać takiego faceta, któremu powiedziałam, że jeżeli mi kupi trochę zapasów, to pójdę z nim, dokąd zechce. No — i biedaczysko dał się złapać.

— Nie dziwię mu się wcale — odparłem. — A gdzie z nim poszłaś? Do domu?

— Nie! Wystarczył ciemny zaułek.

— No, to nieźle, siostró. Widzę, że znasz się na rzeczy. A forszę masz?

— Oto 5 dolarów — zawołała radośnie. — Dał mi je na dodatek!

Gdy mi wszystko powiedziała, spojrzałem na nią z obrzydzeniem, ale cóż miałem robić? Musiałem jej przyznać, że była morową dziewczyną. Zresztą miała tak miłe usposobienie, że łatwo z nią było żyć. Kiedy te myśli tłoczyły mi się do głowy, zawstydzilem się w pewnej chwili, bo przekonałem, się, że właściwie nie mam żadnych zasad moralnych. Kiedy jednak Mary postawiła przede mną doskonale przyrządzoną szynkę z grochem, zapomniałem o moich skrupułach. Po obiedzie poszliśmy razem do budy zapalić papierosa i pogadać trochę. Mary powiedziała mi, że słyszała, że cała ta banda zebrana w dżungli wybiera się dzisiaj na nocny raid. Zapytała mnie, czy miałbym ochotę na tą wyprawę.

— Mogę iść — rzekłem — a ty?

— Ja zawsze — odparła.

— No, to klawo, idziemy.

Gdy noc zapadła, pospieszyliśmy do największego ogniska, jarzącego się w środku dżungli, wkoło którego zgromadziły się wszystkie włóczęgi: doli-niarze, niebieskie ptaki obojga płci, aby omówić sprawę tego raidu. Wysoki drab, który właśnie przemawiał do zebranych, dawał ostatnie upomnienia.

— Ale pamiętajcie, banda, że tylko ten ma iść, kto nie ma stracha za skórą — ryczał. — Trza mi takich, co wiedzą, co zrobić ze spluwą.

W krótkim czasie całe towarzystwo gotowe było do wyprawy. Było nas może dwudziestu drabów i około piętnastu bab. Ruszyliśmy w stronę pobliskiej fermy. Wszyscy byliśmy uzbrojeni, jedni w no-



że, inni w brzytwy, a reszta w kije. Ten, który nas prowadził, miał przy sobie nabity rewolwer, i wiedziałem, że nie zawaha się użyć go w razie potrzeby.

Nie miałem ochoty zbyt się spoufalać z tą parszywą zgrają. Razem z Mary trzymaliśmy się na uboczu, wreszcie doszliśmy do dużej fermy. Zatrzymaliśmy się pod gęstą kępą krzaków, a przewodnik szeptem dawał ostatnie rozkazy:

— Kulę w łeb temu, kto piśnie choć słówko! — zapowiedział, wyciągając rewolwer. — Baby niech się zaopiekują naszą zdobyczą i niech uważają, czy kto nie nadchodzi. Wy, chłopcy, zaś, rabujcie, co się da. — Zwracając się zaś do mnie, rzekł:

— Słuchaj ty — obcy przybłędo, coś mi się zdaje, że masz głowę na karku. Może byś się tak zajął kurnikiem.

— Z przyjemnością — odpowiedziałem, na co on odrzekł.

— No! to w drogę!

Baby w jednej chwili rozbiegły się w różnych kierunkach, a ja wtedy zmiarkowałem, że rozumiały się na tej robocie. Nawet dla Mary nie była to pierwszozna. Ja zaś bałem się trochę, bo nigdy przedtem niczego takiego nie robiłem: zimno mi się robiło na myśl że policja wpadnie na nasz ślad. Była północ i w domu wszystkie okna były ciemne, kiedy otoczyliśmy go ze wszystkich stron. Nie zwracałem najmniejszej uwagi na to, co robią inni, wiedziałem, że mam się zająć kurnikiem, więc kierując się węchem oraz charakterystycznym gdakaniem, które wydają kury, gdy się je spłoszy, bez trudu znalazłem drogę do kurnika.

Kiedy zbliżyłem się do żerdzi, wystraszone kurczęta zaczęły gdakać niespokojnie. Po omacku spróbowałem uchwycić jakiego koguta, ale nie udało się. Ptak po prostu zleciał na ziemię, trzepocąc skrzydłami i robiąc tyle hałasu, że myślałem, iż wszyscy to posłyszą. W moim podnieceniu porwałem następnego kurczaka, a chcąc się z góry zabezpieczyć przed nowym niepowodzeniem, bez namysłu skrzyłem mu kark. Potem rzuciłem go na ziemię, porwałem następnego, zrobiłem to samo, po czym jeszcze jednego, tak że po jakimś czasie cały kurnik wyglądał jak pobojuwisko. Pozbierałem wszystkie kurczaki i ciężko obciążony wybiegłem czym prędzej pędząc jednym tchem prosto do zarośli, gdzie już czekała na mnie Mary z jakąś drugą. Byłem szczęśliwy, kiedy mogłem wreszcie zrzucić mój ciężar, z którego porządnie bolały mnie ręce, przyniosłem bowiem osiem tłustych, dobrze wypasionych kogutów.

Zadowolony, że tak mi się udało, wróciłem z Mary do dżungli stosownie do otrzymanego polecenia i ku mojemu zdziwieniu przekonałem się, że już inne osoby nas uprzedziły. Czterech drabów, którzy przyszli tam przed nami, właśnie rozpałało ognisko, widząc zaś leżącego obok dużego prosiaka z poderżniętym gardłem, roześmiałem się na myśl o uczcie, jaka nas czekała.

Mary zabrała się do skubania kur. My, mężczyźni, zapaliliśmy papierosy, rozmawiając na temat udanej wyprawy i oczekując przybycia reszty. Kiedy wreszcie cała banda była w komplecie, przekonaliśmy się że zapasy nasze składały się z ośmiu kurcząt,

jednego wieprzka, jednego cielaka, jednej owcy, pół worka ziemniaków, kapusty, cebuli, kilkunastu gołębi, wreszcie paru kóp jaj, masła, sera, chleba oraz blaszki mleka. Kiedy zaś zobaczyłem wśród tego wszystkiego kawę, cukier, jabłka, noże, widelce, garnki i patelnię, domyśliłem się bez trudu, że jakiemuś spryciarzowi udało się włamać do domu.

Wreszcie gdy całe towarzystwo było już zebrane, a baby zajęły się przyrządzaniem uczty, my mężczyźni poszliśmy na czaty, aby ostrzec resztę przed ewentualnym niebezpieczeństwem. Kiedy przyszła na mnie kolej, dostałem rewolwer wraz z rozkazem natychmiastowego strzelania, w razie gdybym ujrzał z daleka policjanta. Miał to być sygnał ostrzegawczy dla reszty, żeby mieli się czas pozbierać i uciec. Toteż, kiedy następny przyszedł mnie zluzować, odetchnąłem z ulgą, że nic się nie wydarzyło.

Kiedy wróciłem do dzungli, przetarłem oczy ze zdziwienia. Na wysokich żerdziach, tuż nad ogniskiem wisały: wieprz, cielak, owca i moje kurczaki, smażąc się i sycząc, podczas gdy kilku drabów zajętych było wykrawaniem soczystych kawałków i rozdzielaniem ich między resztę. W czerwonym świetle ognia podobni byli do dzikich czerwono-skórców. Józek z Bostonu, trzymając w ręce całe udo baranie częstował nim Kaškę. „Dynamit“ wsuwał dużego kurczaka, dziewczki zaś piły kawę, zagryzając ją wieprzowiną i chlebem.

Wkrótce dorwałem się i ja do ogólnej uczty, a kiedy z naszych prowiantów nie zostało już śladu, cała „gawiedź“ rzuciła się na denaturat, a nawet na flaszki z politurą. Nie mam pojęcia, skąd to się

wzięło, ale bractwo w jednej chwili spiło się do nieprzytomności. Wtedy także po raz pierwszy przekonałem się, jaką Mary była naprawdę. Po prostu nie poznałem jej: z delikatnej, miłej dziewczyny stała się pod wpływem alkoholu ordynarną i wyuzdaną. Kiedy mnie poczęstowała denaturatem, podniosłem szklanke do ust, ale nie byłem w stanie wypić. Zapach denaturatu przyprawił mnie o mdłości, udawałem, że piję, a kiedy odstawiłem szklanke na bok, oblizałem sobie wargi, jak by mi ta trucizna Bóg wie jak smakowała. Musiałem też udawać, że jestem trochę wstawiony, żeby nie budzić podejrzania. Potem dopiero zabawa zawrzała na dobre; jeden grał na harmonii, ktoś inny dobył jakichś starych skrzypiec, tamten wyczarował gdzieś spod ziemi jakieś banjo, inni uderzali puszką o puszkę, jednym słowem, był klawy jazzband. Wrzeszczące baby rzuciły się na klnących siarczyście mężczyzn i zaczęły się jakieś dzikie i nieprzytomne tany. Zataczające się pary obijały się o siebie, klnąc przy tym. Usiadłem na uboczu udając pijanego i przyglądałem się temu z obrzydzeniem. Cała dżungla rozbrzmiewała echem zabaw. Co chwilę ktoś dosypywał chrustu i drzewa do tlejącego ogniska i wnet długie ciemne cienie padały na tańczące pary, skaczące nieprzytomnie dokoła płomieni.

Ci, którzy nie mieli pary do tańca, siedli na uboczu rzucając karty. Stawki szły w górę i wkrótce wybuchła bijatyka. Kiedy jednak jakaś dziewczka zdarła z siebie ubranie i nago zaczęła tańczyć koło ognia, bójka ustała, a wszyscy z zapalem zaczęli się jej przypatrywać. Zachęcony tym powrotem

jakiś dryblas również zdarł z siebie ubranie, a po pewnym czasie było aż pięciu nagulców, zataczających się po pijanemu, wśród ogólnego zachwytu zebranych. Za krzakiem, przy którym leżałem, Mary — kompletnie pijana — oddawała się jakiemuś obdartusowi, i chociaż na ten widok krew we mnie zawrzała, nic nie powiedziałem, ponieważ musiałem udawać pijanego. Po chwili dwie dziewczki, również rozebrane do naga, zaczęły się bić, targając się za włosy, drapiąc się po twarzy, a nawet gryząc się wzajemnie, tak że po chwili podobne były do kawałów surowego mięsa. Wreszcie wyczerpane upadły na ziemię.

Józek z Bostonu zaczął okładać Kaśkę, dwaj inni rzucili się na niego chcąc ją obronić, potem cała ta zgraja rzuciła się na kobiety, gwałcąc je wśród krzyków i wrzasków. Kiedy zauważyłem złowrogi blask w oczach naszego przywódcy, Lefty'ego, który przez chwilę patrzył, jak gość jakiś uwodzi jego dziewczynę, cofnąłem się przezornie w głąb lasu. Po chwili huknął strzał i uwodziciel padł trupem na miejscu, a wtedy Lefty, rzuciwszy się na dziewczynę zaczął ją bić i kopać, aż straciła przytomność.

Zniechęcony tym wszystkim wróciłem do mojej nory, aby się wyspać. Po chwili jednak powiedziałem sobie, że lepiej będzie gdzie indziej poszukać noclegu, bo może przyjsć Mary i po pijanemu wszcząć awanturę. Byłem do niej zresztą kompletnie zrażony, bo przekonałem się, że nie można jej ufać. Usunąłem się więc w głąb dżungli, położyłem się pod wysoką wierzbą, nakrywszy się przezornie liśćmi z paproci i trawą, dla niepoznania. Zaledwie usną-

łem, kiedy zbudziła mnie strzelanina. Zrozumiałem, że policja, zawiadomiona o naszym raidzie, urządziła obławę. W jednej chwili cała dżungla zadrżała od wrzasków, nawoływań i trzasku karabinów. Słyszałem wyraźnie chrząst łamanych gałęzi oraz rozbijanie bud, służących za schronienie włóczegom. Wystawiłem głowę, a widząc, że w pobliżu moim nie ma nikogo, nakryłem się czym prędzej liśćmi, jakie leżały w pobliżu. Po chwili zobaczyłem dym: policja podpaliła wszystkie szałas i nory.

Leżałem bez ruchu, bojąc się nawet oddychać, tylko serce tłukło mi pod krtanią. Kiedy wszystko się uciszyło, wylazłem na czworakach z mojej nory gotując się do ucieczki. Wdrapałem się na najwyższą sosnę i stamtąd zacząłem się rozglądać po okolicy. Kiedy z daleka ujrzałem pociąg towarowy, sunący wolno przez pustą okolicę, zląłem pospiesznie i zacząłem pędzić w jego kierunku, starając się cały czas biec wśród krzaków. Kiedy dobiegłem do toru, rozejrzałem się niespokojnie, a zobaczywszy z daleka policjanta za krzakiem, czyhającego widocznie na takich jak ja, przykucnąłem w zaroślach, gdzie postanowiłem przesiedzieć do nocy i wtedy dopiero ruszyć w dalszą drogę. Wkrótce usnąłem snem sprawiedliwego i tak przespałem cały dzień. Kiedy się obudziłem, było już dobrze po zachodzie słońca i usłyszałem stukot nadjeżdżającego pociągu. Wylazłem więc na tor, a gdy pociąg nadjechał, w mgnieniu oka chwyciłem się poręczy od schodków i po chwili już siedziałem na dachu wagonu, przeznaczonego na owoce, który na szczęście był pusty. Rzuciwszy po raz ostatni okiem na dżunglę, która powoli znikła

mi z oczu, odetchnąłem z ulgą i stanąwszy na drabinie wiodącej w głąb wagonu, zasunąłem daszek. Usiadłszy na podłodze powiedziałem sobie, że mam diable szczęście, że teraz już nic mi nie grozi.

Jechałem tak w ciemności przez dobre parę godzin, zanim zdecydowałem się odsunąć daszek i wyjrzeć na świat Boży. Ponieważ zaś okolica, przez którą przejeżdżaliśmy, wydawała się dosyć bezpieczną, więc bez trudności zeskoczyłem na ziemię i ruszyłem przed siebie.

## ROZDZIAŁ X.

ZA KRATAMI. — UCIECZKA. — POBOŻNY DOBROCZYŃCA.

Szedłem tak dłuższy czas gościńcem, kołatając do drzwi dobrych ludzi, i zawsze otrzymywałem wody i stawy pod dostatkiem. Od czasu do czasu wynajmowałem się do pracy na jakiejś fermie, gdzie zostawałem tak długo, aż przyszła na mnie chętka nowych przygód, a wtedy wolny przestwór znów stawał się moim domem, ja sam zaś czułem się wolny jak ptak i szczęśliwy jak dziecko.

Któregoś dnia, kiedy jadąc towarowym pociągiem w stronę Nowego Orleanu zeskoczyłem w niedużej odległości od miasta, spotkałem się oko w oko z „burym“, który na mój widok krzyknął:

— Stój, bo strzelam!

— Po co się pan tak żołądkuje, panie starszy — rzekłem uprzejmie — szkoda kulki. Nie jestem opryszkiem. Jechałem sobie towarówką po prostu dlatego, że nie mam pieniędzy na bilet i właśnie miałem szukać pracy w mieście.

— Znam was, draby — odparł na to. — Opowiedz to szeryfowi!

Potem przeszukał mi kieszenie w poszukiwaniu za bronią i nałożył mi kajdanki na ręce.

— Nie chcę niczego ryzykować — powiedział.



Z kajdankami na rękach szedłem przez ulice miasta i chociaż przyzwyczajony byłem do ludzi gapiących się na mnie, przecież kłamię na los, który tak szpetnego spletał mi figla. Kiedy przyszedliśmy na posterunek, po raz drugi zrewidowali moje kieszenie, poszukując broni, potem obejrzelik dokładnie moje ciało, czy nie mam żadnych „znaków szczególnych” lub tatuażu, wreszcie zrobili odciski moich palców i sfotografowali, a potem zasypali mnie całym gradem pytań: skąd pochodzę, co robiłem dotąd, dokąd jechałem oraz mnóstwo innych niepotrzebnych szczegółów. Spytałi mnie również o jakieś zbrodnie, o których nigdy nie słyzałem, a kiedy powiedziałem, że o niczym nie wiem, szeryf oświadczył:

— Dobrze, dobrze, zabierzcie go teraz, później może więcej wyśpiewa.

Wrzucili mnie potem do ciupy, gdzie siedziało już kilkunastu różnych opryszków, przyłapanych jak ja na jeździe ciężarówkami. Kiedy zacząłem się rozglądać po tych ludziach w nadziei, że może spotkam jakąś znajomą gębę, ku mojemu zdziwieniu dostrzegłem Lefty'ego, przywódcę owego pamiętnego raidu nocnego, który na mój widok zawołał:

— Patrzcie, państwo! To przecież Dzieciak Zachodzące Słońce! A to ci heca! Co tu robisz?

— Jak się masz, Lefty! A cóż ty tu robisz, w tej przeklętej dziurze?

— Chodź tu bliżej, to se pogadamy — zaprosił mnie Lefty, — poznasz moich kamratów.

Podszedłem więc do jego paczki, on zaś powiedział mi, że go przyłapali z rewolwerem w rękę. Bał się, że go przykują do łańcucha. Opowiedział mi

szczegóły obławy w dżungli oraz w jaki sposób, ostrzeliwując się energicznie, udało mu się umknąć. Zapytałem go, czy nie wie, co się stało z Mary i czy jej gdzie nie spotkał po drodze, na co odpowiedział:

— Myśle, że i ją przyskrzynili.

— A może i nie — odparłem — bo mnie też udało się uciec. Od tej pory włóczyłem się samotnie po gościńcach i miastach i gdyby nie traf, że dziś akurat zdybał mnie „bury“, gdy zeskakiwałem z ciężarówki, byłbym jeszcze na wolności. Jak myślisz, ile dostanę?

— Niedużo, Buddy — uspokoił mnie Lefty — chyba że znaleźli przy tobie jakie „narzędzia“, co?

— Nie głupi jestem, żeby coś takiego ze sobą nosić — odparłem — nic nie znaleźli.

— To i dobrze — rzekł Lefty — nie masz się co martwić.

Długo jeszcze gadaliśmy ze sobą po wieczery, która składała się z czarnej kawy i chleba, i wkrótce obznajomiłem się z życiem więziennym. Ponieważ nie chciało mi się spać, więc usiadłem w kącie i przyglądałem się moim współtowarzyszom, którzy powyciągali się w rozmaitych pozycjach na podłodze i spali twardo. Chrapali przy tym głośno i drapali się bezustannie. W końcu sam też zasnąłem, ale nie na długo. Jeden z drabów chcąc iść z pewną potrzebą do wiaderka, stojącego na środku celi, wskutek ciemności nadeptał na śpiącego Lefty'ego. W jednej chwili wybuchła awantura i to mnie zbudziło. Kiedy strażnicy przybiegli, aby zrobić porządek, Lefty już zdążył unieszkodliwić przeciwnika. Rozgniewani strażnicy zagrozili nam, że jeśli awan-

tura się powtórzy, winowajcy dostaną „gorące okładki“ na przeciąg godziny.

Kiedy wreszcie wszyscy się uspokoili, zasnąłem po raz drugi i nie zbudziłem się aż dopiero nad ranem.

Cela cała śmierdziała niby stajnia, a na domiar złego poczułem, że znów mnie oblaży wszy. Ale nawet nie pozwolono nam się umyć, żeby — jak twierdził Lefty — widok naszego niechlujstwa silniej do sędziego przemówił.

Na śniadanie znów dostaliśmy kawę i czarny chleb, ale zamiast ją wypić, zamaczaliśmy w niej szmaty i umyliśmy tym nasze twarze, przez co stały się jeszcze bardziej umorusane. Po chwili przyszli strażnicy i po kolei wywoływali nas do sędziego. Kiedy przyszła kolej na mnie, zapomniałem na śmierć, jakie im podałem nazwisko, toteż nie odwróciłem się nawet, kiedy je wywołano. Wtedy jeden ze strażników uderzył mnie pięścią w żebro, aż mi w oczach zaświeciło.

— Czyś głuchy? — wrzasnął mi nad uchem. — Skoro już, łajdaki, zmyślane podajecie nazwiska, powinniście przynajmniej je pamiętać. No! Ruszaj się! Marsz!

— Spokojnie, spokojnie, panie starszy — odrzekłem — jeszcze mi za to zapłacisz! Patrzenie go! Świnia! Poczekaj, aż stąd wyjdę! Przysięgam, że wróczę i tyle wpakuję ołowiu w twoją parszywą pałę, że łapiduch z trudem cię udźwignie!

— Stul pysk, draniu! — rzekł na to, dając mi kopniaka — każdy mi to obiecuje, ale jeszcze żaden nie dotrzymał. Tak się dranie boją!

Po czym dał mnie w opiekę innemu, który zaprowadził mnie przed sędziego. Oskarżony byłem o włóczęgostwo, o to, że jechałem pociągiem bez biletu i jeszcze o jakieś głupstwa. Nie dali mi nawet przyjść do słowa. Wreszcie usłyszałem: „zabrać go“. W następnej chwili siedziałem już w karetkce policyjnej i dowiedziałem się, że skazany zostałem na czternaście dni robót przymusowych: miałem mianowicie zamiatać i sprzątać plac targowy. Zawieźli mnie więc na drugą stronę miasta, dali miotłę do ręki i kazali zamiatać. Oprócz mnie byli tam już inni chłopcy, tak samo skazani na sprzątanie placu. W chwili kiedy sierżant, który nas pilnował, odwrócił się, rzuciłem się do ucieczki. Leciłem przed siebie bez tchu, aż wpadłem na dworzec towarowy. Kiedy zaś zobaczyłem nadjeżdżający pociąg, jednym sussem wskoczyłem na drabinkę, prowadzącą na dach wagonu na owoce, i już następnej chwili znalazłem się w środku wagonu. Teraz dopiero odetchnąłem z ulgą. Wszystko mi było jedno, dokąd jadę — mogłem jechać nawet do piekła. Byłem tylko rad, że zostawiłem Nowy Orlean za sobą!

Kiedy zeskoczyłem na ziemię, znalazłem się w miejscowości zwanej Baton Rouge. Nie zatrzymałem się tam długo, lecz poszedłem od razu na przedmieście. Po pewnym czasie udało mi się wzruszyć jakąś młodą parę, jadącą małym Fordzikiem, którzy kazali mi wsiąść. Okazało się, że owa para jedzie gdzieś do Luizjany. Nigdy nie zapomnę, ile dobroci okazali mi oboje. Nakarmili mnie i dali mi pieniądze i papierosy, ja zaś chcąc im się odwdziżyć opowiedziałem im moje przygody. Śmiali się

do łez, kiedy opowiedziałem im, w jaki sposób udało mi się uciec z placu targowego w Nowym Orleanie.

Dziewczyna nazywała się Pearl Kemp. Dała mi swój adres i później często do niej pisałem w ciągu swych wędrówek, ponieważ sama namiętnie lubiła przygody.

Kiedy rozstałem się z moimi przyjaciółmi, wędrowałem wzdłuż Texasu, aż doszedłem do miejscowości zwanej Ford Worth, gdzie spotkałem pewnego właściciela samochodu ciężarowego, który jechał do Meksyku. Ów człowiek zatrzymał wóz i zapytał:

— Chcesz, żebym cię podwiózł kawałek?

— Pewnie! — odpowiedziałem.

Był to wóz marki Chevrolet i przez pewien czas sam nawet nim kierowałem. Mój nowy przyjaciel żywił mnie i częstował papierosami, aż dojechaliśmy do El-Passo.

Wiedziałem, że odtąd znajduję się w kraju, w którym nie obowiązywało żadne prawo, i dlatego musiałem uważać bardzo na to, co robiłem. Kiedy znalazłem się w mieście, uznałem, że to miejsce zbyt jest niebezpieczne na stały pobyt. Roilo się tam od Hiszpanów, Meksykańczyków, Murzynów, Chińczyków i innej zgrai. Idąc ulicą zaglądałem do każdej przydrożnej knajpy, kiedy nagle kilkunastu rozwścieczonych Meksykańczyków wypadło z jakiejś bramy, koło której przechodziłem. Miałem wrażenie, że całe towarzystwo było gruntownie zalane. Nie chcąc czegoś oberwać przeszedłem na drugi chodnik, żeby przyglądać się bójce. Wnet zobaczyłem sztylety latające w powietrzu i usłyszałem hiszpańskie wyzwiska i przekleństwa. Im gorętsza stawała się wal-

ka, tym większy zbierał się tłum. Wsunąłem się głębiej w tłum gapiów, aby lepiej widzieć, kiedy zaś przedostałem się na front, tłum nagle pierzchnął. Nie wiedziałem dlaczego. Rzuciłem tylko okiem na plac boju; ku mojemu przerażeniu na ziemi leżało dwóch mężczyzn i jakaś kobieta, wszyscy troje ociekający krwią. W tej samej chwili usłyszałem strzały, świst kul oraz brzęk spadającego szkła. Wziąwszy więc nogi za pas uciekałem jak spłoszony zając, nie obejrzawszy się na siebie. Tej samej nocy przekroczyłem z powrotem granicę Stanów i wskoczywszy do pierwszego pociągu towarowego, jaki spotkałem na torze, umieściłem się wygodnie w wagonie - lodowni, gotując się na dłuższą podróż. Przejechawszy w ten sposób całą dobę, wyskoczyłem w dogodnym miejscu w poszukiwaniu strawy. Po drodze spotkałem innych włóczęgów i od nich dowiedziałem się, w jakich domach w mieście można coś „zarobić“.

Jeżeli zaś usłyszałem o jakimś „dobrym domu“, to chociażby znajdował się całkiem gdzie indziej, chętnie nakładałem drogi, bo wiedziałem, że mi się to opłaci. Zapukałem więc do jednego z takich domów, i wkrótce starszy jegomość, o pomarszczonej twarzy i karku, podobnym do głąba kapusty, otworzył mi i rzekł:

— Bóg z tobą, bracie. Co cię tu sprowadza?

Ponieważ z góry wiedziałem, z kim mam do czynienia, więc miałem gotową odpowiedź:

— Bracie — odpowiedziałem — spałem pod drzewem w Feniksie, kiedy usłyszałem głos:

— Idź do człowieka, który żyje pod tym adresem, a on cię wspomże.

— Dobrześ uczynił, bracie — rzekł — poznaję, że to był głos Boga i że ty jesteś Jego owieczką, a ja Jego uczniem. Wejdz, proszę, a będziemy z Bogiem rozmawiać i dowiemy się, czego od nas żąda.

Po tych słowach pobożny człowiek wprowadził mnie pod swój dach. Kiedy tam wszedłem, zauważyłem, że było to najdziwaczniejsze mieszkanie, jakie w życiu widziałem. Ściany były bielone, tu i ówdzie zabazgrane czerwonymi plamami. Wyglądało to tak, jakby wariat jakiś biegał wzdłuż ścian, chlastając tu i ówdzie czerwoną farbą. Podobnie upiększony był i sufit. Ściany zaś od góry do dołu zapisane były grubymi koślawymi literami, układającymi się w takie napisy, jak: „Przemów, Panie, albowiem służę Twój słucha“ — „Dziej się wola Twoja“ — „Pan jest ze mną“ — itp. Gdzieniegdzie znajdowały się znaki krzyża, wymalowane czarną farbą, a wtedy uprzytomniłem sobie, że znajduję się w towarzystwie człowieka cierpiącego na manię religijną. Wrażenie to wzmogło się, kiedy w kącie pokoju zobaczyłem mały żłóbek wymoszczony słomą, w którym leżała mała lalka, obok żłóbka zaś siedziała duża lalka przebrana za kobietę. Na słomie, rozsypanej wkoło żłóbka, stały dziecinne zabawki wyobrażające krowy, osła i barana. W kątach pokoju czarno było od pajęczyn, a pod ścianą stały dwie wywrócone skrzynie, na których leżały niedopalone świece i zapalki. Na środku stał stółek na trzech nogach oraz kilka skrzyń połączonych ze sobą deskami, tak że tworzyły rodzaj ławki przykrytej kawałkiem starej czerwonej portiery. Naprzeciw zaś leżał materac w paski, który gospodarz wyciągnął z kąta w chwili,

kiedy wszedłem do pokoju. Kiedy się tak rozglądałem, pobożny człowiek odezwał się:

— Klękniemy, bracie, a ja zapytam Pana, co mam uczynić.

Ukląłem więc koło niego, choć wcale nie byłem w nastroju modlitwy, ale wiedziałem, że skoro tego nie zrobię, odprawi mnie z kwitkiem. Stary dziwak kazał mi trzymać się za ręce w czasie tej jego rozmowy z Panem. Zgodziłem się i na to, ponieważ już uprzednio uprzedzili mnie znajomi o dziwnych obrzędach starego. Kiedy go zaś ująłem za ręce, zawołał: „Panie Boże Wszechmogący, oto jestem tutaj czekając Twego rozkazu. Powiedz, co mam uczynić dla tej Twojej zbłąkanej owieczki“.

Przez dłuższy czas, który wydawał mi się wiecznością, czekaliśmy w milczeniu, gdy nagle człowiek ów zerwał się z klęczek i gwałtownym ruchem wznosząc ręce do góry zawołał:

— Pan Wszechmogący polecił mi spełnić twoje życzenie!

— Zgoda, bracie — rzekłem mocno zdziwiony jego zachowaniem i nie wiedząc, co odpowiedzieć: — A co robisz w takim wypadku?

Wiedziałem jednak, że człowiek ten był w tej chwili tak nieprzytomny, że nie rozumiał, co do niego mówię.

— Módlmy się, módlmy się, módlmy się! — rzekł wreszcie, wznosząc oczy ku niebu i wymachując zaciśniętymi pięściami.

— Poproś więc Pana, aby ci objawił moje życzenie — rzekłem.

Po paru minutach głośnej modlitwy powiedział



mi wreszcie, że Pan Bóg rozkazał mu nakarmić mnie, odziać i zaopatrzyć w pieniądze, ja zaś miałem gorąco Bogu podziękować i zapytać, czy rzeczywiście godny jestem wsparcia. Odegrałem więc całą tę komedię jak mogłem najlepiej i oczywiście odpowiedziałem, że Pan Bóg uznał mnie godnym wsparcia.

— Alleluja! — zawołał maniak — dziej się Wola Twoja Panie Wszechmogący! — i od tej chwili zaczął odnosić się do mnie, jak do świętej osoby. Wstyd mi było w duszy, że nabiłem w butelkę tego pocziwca, skoro jednak raz zacząłem, nie mogłem się cofnąć. Chociaż więc sumienie niepokoilo mnie, przez samą ciekawość chciałem wiedzieć, co dalej z tego będzie. Po pewnym czasie mój pobożny przyjaciel zaprowadził mnie do innego pokoju, który już umeblowany był zwyczajnie. Zauważyłem też, że z chwilą, kiedy znaleźliśmy się w tym pokoju, człowiek ów również się zmienił. Odezwał się do mnie zwykłym głosem:

— Widzisz, bracie, rad jestem bardzo, że Bóg mi cię zesłał. Obawiałem się bowiem, że pogniewał się na mnie, bo od dłuższego czasu nie przysyłał mi nikogo.

Następnie zasypał mnie gradem pytań: jak żyję, z czego się utrzymuję, gdzie byłem, czy zawsze spełniałem wolę Bożą, czy chodzę do kościoła oraz czy Pan Bóg po raz pierwszy mnie do niego skierował, czy jeszcze przedtem. Odpowiedziałem mu jak mogłem najlepiej i starając się niczym go nie urazić. Poszedłem z nim do następnego pokoju, on zaś zmierzwszy mnie od stóp do głów, rzekł:

— Dam ci, bracie, list do mojego krawca, gdzie

możesz sobie zamówić, jakie chcesz, ubranie, albowiem taka jest wola Pana. Dam ci również list do kawiarni, gdzie możesz się stołować, jak długo tylko zechcesz, bo Pan ode mnie tego żąda. U mnie zaś możesz zamieszkać, jak długo ci się podoba.

Wreszcie zapytał:

— Czy Pan Bóg nie objawił ci, ile mam tobie dać pieniędzy?

— Nie — odrzekłem speszony — powiedział mi tylko, że ty sam dasz, ile będziesz uważał za stosowne.

Człowiek wyszedł z pokoju i po chwili wrócił wręczając mi dwie zaklejone koperty. Wręczył mi również garść pieniędzy, które przyjąłem jako rzecz mnie należną, chociaż miałem wrażenie, że je ukradłem.

Wkrótce potem opuściłem jego dom i, chociaż miałem wątpliwości co do jedzenia i ubrania, żadnej wątpliwości nie miałem co do pieniędzy, gdyż po przeliczeniu przekonałem się, że mam przy sobie 32 dolary drobnymi, 5 banknotów pięciodolarowych oraz 1 banknot dziesięciodolarowy! Krew uderzyła mi do głowy, czułem się jak rozbójnik, napadający na gościńcach bezbronne ofiary, i nie miałem nawet odwagi zobaczyć, co zawierają koperty. Po krótkim namyśle podarłem je na drobne kawałki i pobiegłem w stronę towarowego dworca.

Wnet nadjechała ciężarówka, wypuszczając parę koło zbiornika, ja zaś skorzystałem z tego postoju i idąc wzdłuż pociągu, wskoczyłem do pierwszego wagonu, którego drzwi były otwarte, a już w na-

stępnej chwili pociąg ruszył. Turkot kół zaś wystukiwał: 77 dolarów, 77 dolarów...

Kiedy leżałem tak wyciągnięty na podłodze wagonu, upojony moim powodzeniem, nauki, zaszczerpione za lat dziecinnych, nie dawały mi spokoju, aż w końcu postanowiłem odesłać te pieniądze z powrotem memu dziwacznemu dobroczyńcy, co też uczyniłem, kiedy dojechałem do Yumy, w stanie Arizona. Kiedy wracałem z urzędu pocztowego, gdzie telegraficznie przekazałem pieniądze, zakląłem w duchu: „idioto, błźnie“ — lecz za to poczułem się znów wolnym, szczęśliwym człowiekiem.

## ROZDZIAŁ XI.

LOS ANGELES. -- GRUBA RYBA. — PLATYNOWA BLONDYNKA.

Wąłęsałem się znów dłuższy czas tu i tam bez wyraźnego celu, aż wreszcie po dniach głodu, nędzy, ale także i przygodnych przyjemności, w jakie obfituje życie łazika, znalazłem się w Skamieniałym Lesie Arizony. Cała dolina zasypana była blokami skał rozmaitej wielkości, które, jak mi mówiono, są skamieniałymi szczątkami drzew. Zajrzałem do muzeum i zobaczyłem tam parę ślicznych kawałków skamieniałego drzewa, wypolerowanego jak metal. Kiedy zwiedzałem muzeum, nawiązałem rozmowę z jakimś amerykańskim turystą. Powiedziałem mu, że włączę się z miejsca na miejsce bez grosza i zajęcia, wciąż w nadziei znalezienia sobie pracy, która by mi się podobała. Moje opowiadanie zaciekało go. Powiedział mi, że jedzie do San Diego w Kalifornii i że, jeśli chcę, mogę z nim pojechać. Chciał, bym mu naprawiał wysokie kominy fabryczne. Powiedziałem mu na to, że nigdy czegoś podobnego w życiu nie robiłem i że najwyższym miejscem, na jakim się w życiu znajdowałem, były wierzchołki drzew, na które się spinałem, pracując jako drwal w lasach Kanady, ale że w świecie chętnie wspiałbym się wyżej. Powiedziałem mu również, że zaprzyjaźniłem

się z parą podobnych jak ja włóczęgów i że postanowiliśmy od tej pory razem podróżować. Dlatego też nie mógłbym wyjechać, nie pożegnawszy się z nimi.

— Dobrze — rzekł mój przygodny przyjaciel — idź do twoich znajomych i powiedz im, że pojedziesz ze mną i z moją córką. Poza tym dam im mój adres, może kiedyś znajdzie się i dla nich posada.

Poszliśmy więc odszukać moich przyjaciół. Kiedy ich odnalazłem, zobaczyłem, że w międzyczasie zabili olbrzymiego grzechotnika. Córka turysty namówiła mnie, abym dał się sfotografować z węzłem na szyi. Zgodziłem się na to. Kiedy jednak przyszedł mi się pożegnać, moi przyjaciele nie chcieli się zgodzić na mój wyjazd i zaproponowali, abyśmy we trójkę poszli do San Diego i dopiero na miejscu odwiedzili mojego turystę. Pożegnawszy się więc z nim i jego córką (a dali każdemu z nas po pięć dolarów), ruszyliśmy razem w drogę do San Diego. W parę dni później znaleźliśmy się już za granicą Kalifornii, kiedy jednak wybuchła sprzeczka co do drogi, jaką mieliśmy obrać, skorzystałem skwapliwie ze sposobności, aby z nimi się rozstać, ponieważ wiecznie o coś się kłócili, szczególnie o pieniądze.

Nigdy ich więcej w życiu nie spotkałem i dlatego też nie miałem sposobności dowiedzieć się, czy mój turysta dał im posadę u siebie, bo sam zgubiłem jego adres. Włoczyłem się więc sam przez jakie dwa tygodnie, wreszcie znalazłem się w „Północnej Misji Wuja Toma“ w Los Angeles.

Było to miejsce znane wszystkim włóczęgóm,

gdyż tam zaopatrywano ich wszystkich bezpłatnie w jedzenie, ubranie, a nawet dawano posadę. Zaledwie wszedłem do obszernej poczekalni, podszedł do mnie jakiś człowiek, zapytał o miejsce mego urodzenia oraz o to, co dotąd w życiu robiłem. Opowiadałem mu, jak mogłem najsumienniejsz, zbudowałem tylko miejsce mego urodzenia mówiąc mu, że urodziłem się w Buffalo. Kiedy mu już wszystko powiedziałem, zaprowadził mnie do dużego pokoju i posadził przy długim stole, przy którym siedziało już około 60 innych brudnych oberwańców, wcinających zapamiętałe kawę i bułki. Ponieważ sam też byłem głodny, więc jak wilk rzuciłem się na jedzenie.

Kiedy najedliśmy się do syta, zaprowadzono nas z powrotem do poczekalni, gdzie musieliśmy wysłuchać kazania, pomodlić się i śpiewać psalmy. Choć wszyscy śpiewaliśmy całym gardłem, przecież uważaliśmy to tylko za świetny kawał i nic więcej. Co chwilę któryś z drabów wychodził na pole, a w pewnym momencie, kiedy udawałem, że się modłę, ktoś uderzył mnie lekko po ramieniu i poznałem misjonarza, który rzekł spokojnie:

— Proszę pójść ze mną, mam dla ciebie pracę.

Potem zawołał jeszcze dwóch innych i wszyscy poszliśmy do jego biura. Po chwili wszedł tęgi człowiek, lat około 40. Był bardzo sztywnie ubrany, a na palcach miał złote pierścienie z brylantami. Od razu było widać, że to „gruba ryba“. Zmierzył mnie od stóp do głów, a potem spojrzał na tamtych.

— Wszyscy trzej szukacie pracy, czy tak?

— Tak — odpowiedzieliśmy chórem.

Wtedy nieznajomy zwrócił się do misjonarza:

— Podobają mi się — a skinąwszy nam ręką dodał — chodźcie ze mną.

Kiedy wyszliśmy na ulicę, zobaczyliśmy wielką, nowiusienką, 70-konną limuzynę Chryslera, stojącą tuż obok chodnika. Siadłem na przedzie obok mojego chlebobdawcy, zaś tamci dwaj siedli w tyle. Pędziliśmy z zawrotną szybkością. Próbowałem kilka razy wszcząć rozmowę z moim panem, lecz on nie miał ku temu ochoty. Ile razy chciałem się dowiedzieć, do jakiego rodzaju pracy nas zaprzagnie, odpowiadał tylko:

— Chyba nie jesteście zbyt wymagający, co?

A w pewnej chwili zapytał:

— Czy myślisz już kiedy naczynie?

Ale więcej niesposób było z niego wyciągnąć.

Widziałem, że stał się być przejętym i na drodze częstował nas cygarami. Kiedy dojechalśmy do Hollywood, zatrzymał nagle samochód przed jasno oświetloną kawiarnią i rzekł:

— Pewno jesteście głodni?

— Jeszcze jak — odpowiedzieliśmy chórem.

— No, to chodźcie — rzekł. — Nie lubię, jak w moim towarzystwie burczą komuś kiszki z głodu.

Wszystkie oczy zwróciły się na nas, obszarpanych brudasów, kiedy weszliśmy z tym wytwornym panem do wytwornego lokalu. Ale nasz bogacz znany był widocznie w tym środowisku, gdyż mnóstwo ludzi nam się kłaniało, on zaś lekko się tylko odkładał, wydymając wargi. Usiedliśmy przy stoliku, a kelnerka z wyraźnym obrzydzeniem podała nam jadłospis. Zachowanie jej wszakże wkrótce się zmie-

niło, gdyż towarzysz nasz rzucił jej zabójcze spojrzenie i rzekł:

— Wybrać dla mych towarzyszy co jest najlepszego.

Oczy mi wylazły na widok półmiska, który przede mną postawiła. Pełno na nim było dziwnych jakichś potraw, których nawet nie znałem. Mniejsza zresztą o nazwę, bo wszystkie były świetne. Na zakończenie obiadu każdy z nas dostał znów po cygarze, a kiedy stary poszedł zapłacić rachunek, wręczył kasjerce nowiusieńki banknot studolarowy. Przetarłem oczy na ten widok, bo nigdy jeszcze studolarowego banknotu nie widziałem. Kasjerka uśmiechnęła się i wsunęła banknot za stanik niby żartem, ale nasz władca rzekł:

— Spiesz się, wójt, nie mam czasu na głupstwa!

Damulka roześmiała się i wyciągając banknot z powrotem, odparła:

— Dobrze, dobrze władco, ile razy pana widzę, czuję się podniecona.

On również się roześmiał.

— Doprawdy — rzekł — gdybym więcej miał czasu; pokazałbym ci, co potrafię!

— Nie wątpię — odpowiedziała — może przyjdzie pan kiedy indziej? — To mówiąc zawracała oczami, przechylając w tył głowę.

W tej chwili pozazdrościłem temu człowiekowi pieniędzy. Za uśmiech tej dziewczyny byłbym oddał wszystko na świecie, ale wiedziałem, że to jest marzenie ściętej głowy, bo piękne panie nie dla takich jak ja włóczęgów.



Gdy wyobrażałem sobie, że jestem bogatym człowiekiem, prowadzącym pod rękę do swojej limuzyny to jasnowłose cudo, wyszliśmy z kawiarni, kierując się do samochodu. Odwróciłem się, aby po raz ostatni spojrzeć na nią. Byłem tak olśniony jej urodą, że czułem się nawet dumny z samego faktu, że byłem w towarzystwie człowieka, który miał zaszczyt z nią rozmawiać. Wsiadliśmy więc do wozu i wyjechaliśmy na peryferie miasta, kręcąc się wśród różnych wąskich uliczek, kiedy wreszcie wóz zatrzymał się około jakiejś kępy drzew, a stary zgasiwszy światło, zamknął motor i rzekł:

— No, chłopcy, jesteśmy na miejscu. Pewnie chcielibyście się czegoś napić?

— Jeszcze jak — odparliśmy chórem.

— Da się zrobić — odparł i puszczając w ruch motor ruszył z miejsca. Jechaliśmy długą aleją, zaś w pewnym miejscu, tuż obok drogi, zobaczyliśmy nagle mały drewniany domek. Światła w oknach migotały słabo wśród drzew. Stary ponownie zamknął motor, zgasił światła i rzekł:

— Zaczekajcie tutaj, to wam coś przyniosę.

Wszedł do domu. Podczas jego nieobecności zaczęliśmy między sobą rozmawiać. Jeden z chłopców rzekł:

— Ten facet wydaje mi się podejrzany.

— Komu to mówisz — odpowiedziałem. — Ciekaw tylko jestem, do czego nas zaprzagnie. — Ale rozmowa się urwała, bo nasz władca wrócił niosąc flaszkę:

— Macie tu — tylko ostrożnie, bo to piekielnie

mocne. A żebyście mi się nie upili, bo robota czeka! Oddajcie mi flaszkę, kiedy będzie próżna.

Zniknął we drzwiach domku, a myśmy się raczyli zawartością flaszki, w postaci szmuglowanego whisky. Po chwili wrócił:

— Posłuchajcie mnie, chłopcy. Dzisiejszej nocy oczekuję pewnego transportu i boję się, że z tego może być granda. Jeśli więc macie ochotę narazić się na pewne przykrości, wynagrodzę was sowicie.

— Klawo! — odrzekliśmy chórem — prowadź nas, wodzu!

— Przede wszystkim macie to — rzekł wręczając każdemu z nas spluwę. — Jak usłyszycie strzelaninę, wróćcie natychmiast do misji, ostrzeliwując się po drodze, a przede wszystkim nikomu ani słowa! Pamiętajcie, jeśliby który z was pisnął, no, to nie macie już po co wracać do domu. Rozumiecie?

— Rozumiemy — brzmiała chóralna odpowiedź.

— No, to za mną! — rzekł, dając znak ręką moim towarzyszom, a mnie nakazując pilnować wozu, aż wróci.

Po pół godzinie wrócił i rzekł:

— Mam wrażenie, że z ciebie to morowy chłop, ale twoi towarzysze wcale mi się nie podobają. Mają jeszcze mleko pod nosem.

— Cie — odparłem — dobrzeście zgadli.

— Słuchaj, Buddy, cała twoja praca polegać będzie na tym: nie spuszczać oczu z drogi, która leży za nami, a jeśli zauważysz, że nas ścigają, daj mi znać.

Ruszyliśmy więc przez lasy, zostawiając za sobą

moich dwóch towarzyszy. Jakiś czas jeździłem tak w koło, wreszcie rzekł:

— Myślę, że nie będą nas ścigać.

Wróciliśmy z powrotem przed dom i zabraliśmy tamtych dwóch. Przy tej sposobności oddaliśmy mu nasze rewolwery, po czym tajemniczy jegomość zawiózł nas do jakiegoś hotelu, zapłacił z góry za nasze pokoje i rzekł do kierownika:

— Życzę sobie, żeby tym chłopcom na niczym nie zbywało, są u mnie w służbie. — Dał każdemu z nas po 20 dolarów, kazał nam kupić nowe ubranie i powiedział, że wróci po nas jutro wieczór. Potem pożegnał się z nami, a nas zaprowadzono do naszych pokoi. Kiedy wsuwałem się pod czyściuteńką koldrę, zawstydzilem się: szkoda tej ślicznej pościeli dla takiego brudas!

Służąca, która zaprowadziła mnie do mego pokoju, wydawała mi się bardzo sympatyczną i mówiła do mnie z takim szacunkiem, że w pewnej chwili poczułem się nagle bardzo wielkim. Była zgrabna i schludnie ubrana i dziwnie dużo okazywała zainteresowania takiemu jak ja łazikowi. Skoro tylko wyszła, położyłem się. Ledwie jednak zdążyłem wślizgnąć się między śnieżnobiałe prześcieradła, kiedy ktoś zapukał lekko w drzwi.

— Kto tam? — zapytałem, zastanawiając się, co będzie dalej, bo właśnie rozmyślałem nad moją dziwną przygodą.

Stłumiony głos kobiecy odpowiedział zza drzwi:

— Nie bój się, bracie, jestem znajomą „starego“.

— Aha — rzekłem trzeźwiejąc natychmiast — wejdź i nie marudź długo.

Drzwi się otworzyły i weszła młoda dziewczyna o platynowych włosach. Wydawała mi się bardzo pełną w świetle lampki nocnej. Miała długie jasne rzęsy, różowe policzki i rubinowe usta i ubrana była w długą obcisłą suknię i futro jakieś zarzucone na ramiona, a na głowie miała mały kapelusz zsunięty na lewe oko. Paliła papierosa, którego wszakże wyjęła z ust, kiedy zbliżyła się do mego łóżka wysuwając wargi jak do pocałunku.

— Hallo! chłopczyku! — rzekła na powitanie.

— Zamknij drzwi i zarygluj je — rozkazałem siadając na łóżku i wystawiając gołe ramiona. Garderoba włóczęgi nie zawiera przecież pyjamy!

— Zaraz je zamknę — czy bardzo ci pilno?

— O co idzie, panienczko? — zapytałem. — Spiesz się i nie zwracaj mi głowy. Jestem dosyć kuty, żeby nie dać się nabrać.

— Nic się nie bój — odparła — stary kazał mi przyjść cię odwiedzić. Powiedział mi, że jeśli masz na mnie ochotę, to mam spędzić z tobą noc.

— Klawo — odparłem, udając ciętego gangstera — myślę, że potrafię z tobą wytrzymać, byle byś tylko nie gadała.

— Ja nie gadam — rzekła — i dlatego stary trzyma mnie w swojej bandzie.

Mówiąc to zaczęła przewracać oczami, usiadła przed lustrem gładząc sobie włosy, w ogóle na różne brała się sposoby, aby mnie podniecić, co jej się zresztą udało, lecz nie chciałem tego okazać.

— Muszę przynieść jakiejś wódeczki dla mojego chłopczyka.

— Klawo — rzekłem — ino nie takiej, którą bym się struł.

— Nie bój się, będzie dobra — rzekła.

— Nie znam tej dziury — zauważyłem.

— Wiem — odpowiedziała. — Stary powiedział mi, że ty jesteś jednym z najbardziej morowych facetów i że cię poznał w Chicago.

Duma rozsadzała mi piersi.

— Pewnie, — i możesz być pewna, że nie zarzeję miejsca w tej podłej dziurze. No, spiesz się i przynies trunek.

Wyszła z pokoju, a po chwili wróciła niosąc parę flaszek wódki. Położyła je na łóżku i zaczęła się rozbierać. A kiedy się położyła przy mnie, otworzyłem flaszki i napiliśmy się oboje. Noc wkrótce minęła, a kiedy się rano obudziłem, niewiele pamiętałem o tym, co było, bo oboje byliśmy całkiem zalani. Była może godzina dziewiąta. Zwracając się do mojej towarzyszki dałem jej kulaka między zębra, udając morowego drania.

— Dosyć tego spania — zawołałem — wyłaź.

Pocałowałem ją, ona jednak leżała bez ruchu jak kłoda drzewa.

Po chwili rzekłem:

— No, siostró, musisz zmiatać zaraz po śniadaniu. Idę do miasta na sprawunki.

— Zgoda — rzekła.

Wobec tego zadzwoniłem i wyskoczyłem z łóżka, aby otworzyć drzwi. Za chwilę przyszła służąca, a ja zadysponowałem:

— Dwa śniadania.

— Słucham pana.

Zjedliśmy szybko śniadanie, a potem moja damulka poszła sobie. Kazałem jej przyjść za dwie

godziny i obiecałem, że z nią pójdę do kawiarni albo do kina.

Zszedłszy do hallu, zapytałem portiera, czy moi towarzysze już wstali. Odpowiedział, że wyszli koło ósmej i jeszcze nie wrócili. Nie zobaczyłem ich już więcej.

Wyszedłem na ulicę, rozmyślając nad ostatnimi wydarzeniami. Chwilami zdawało mi się, że sam jestem „grubą rybą“, i czułem się dumny, że jestem członkiem bandy przemytników alkoholu. Powiedziałem sobie, że muszę stanowczo wybić się w tym zawodzie i że muszę być równie kuty i cięty jak oni. Miałem wrażenie, że tamci dwaj zlekli się i dali drapakę, ale ja postanowiłem wytrwać. Powiedziałem sobie jeszcze, że lepiej muszę poznać życie, żeby kiedyś dojść do grubszej forsy. Myśląc nad tym wszystkim wszedłem do sklepu i kupiłem ubranie. Potem wróciłem do hotelu. Kiedy wszedłem do pokoju, zastałem tam już moją damulkę.

— Słuchaj, dziewczyno — masz forszę?

— Mam.

— No, to dawaj! Ze mną dziś krucho, ale wieczór znów mi coś kapnie.

— Mam pięćdziesiąt papierków, weź je sobie.

W tym miejscu strach mnie obleciał i rzekłem:

— Nie potrzeba mi twoich papierków. Zaczekam do jutra.

Wyszedłem z pokoju i poszedłem na spacer. Idąc zaś trotuarem powiedziałem sobie: lepiej będzie, jak się z tego wycofam, zanim będzie za późno. I tak szedłem wciąż prosto przed siebie, aż Hollywood całkowicie zniknęło mi z oczu.

## ROZDZIAŁ XII.

### PRAWDZIWY REKIN MAJĄTKOWY.

Było południe, jak przyjechałem z powrotem do Los Angeles i siedłem dłuższy czas bez celu, kiedy nagle zobaczyłem kartkę w oknie restauracji z następującym napisem: „Pomywacz potrzebny, zgłosić się wewnątrz“. Przeczytawszy to pomyślałem: „klawo, będę miał posadę“. Wszedłem więc, rozmówiłem się z właścicielem i dostałem posadę na 14 dolarów tygodniowo wraz z utrzymaniem. Zabrałem się z miejsca do roboty, a pod wieczór spytałem starego, czy nie wie o jakim pokoju, bo sam nie znam miasta. Dał mi adres i list polecający, w którym ręczył, że z końcem tygodnia zapłacę.

Dostałem pokój bez trudu i byłem na posadzie przez jakie dwa tygodnie. Potem mi się to znudziło i odszedłem.

Któregoś dnia szedłem sobie główną ulicą w Los Angeles, gdy przystąpiła do mnie jakaś kobieta, i wciskając mi do ręki ulotkę rzekła:

— Wygląda pan na człowieka, który dużo myśli. Czy nie miałby pan ochoty pojechać z nami na wycieczkę do Hollywood? To nic nie kosztuje, nawet obiad jest za darmo.

Spojrząwszy na ulotkę zauważyłem:

— Mogę pojechać, ale zwracam uwagę, że nie zamierzam kupić majątku.

— Nie musi pan wcale kupować majątku, niech pan do nas tylko się przyłączy. Tu, w tym miejscu będzie czekał wóz i ja też tu będę.

— Zgoda — przyjdę. Do widzenia.

Rzeczywiście przyszedłem tam po południu i wsia-  
dłem do wozu, na którym był napis: „Bezpłatna  
wycieczka do Hollywood“ oraz nazwisko agenta.  
W wozie pełno było ludzi wyglądających zamożnie,  
wystrojonych i pewnych siebie. Rozmawiali ze sobą,  
tak jakby wszyscy się znali, ja zaś czułem się w ich  
towarzystwie jak marny robak i nie odważyłem  
się odezwać. Siedziałem więc cicho i wyglądałem  
przez okno. Za chwilę wóz ruszył. Po drodze prze-  
wodnik zwracał nam uwagę na różne osobliwości.  
Kiedy dojechaliśmy do Beverley Hills, przewodnik  
wskazał nam jakiś dom po prawej stronie i rzekł:  
„Oto jest dom eks-żony Charlie Chaplina“. Potem  
pokazywał nam jeszcze domy innych znanych gwiaz-  
dorów, wreszcie zatrzymaliśmy się i weszliśmy pod  
duży namiot. Pełno tam było krzeseł, a na końcu  
stał duży stół, na którym rozłożona była ogromna  
mapa, podzielona na różnokolorowe działy oznaczone  
liczbami. Siedliśmy więc razem z ludźmi, którzy już  
tu byli przed nami i którzy przyjechali w tym sa-  
mym celu. W krótkim czasie namiot się zapełnił  
gośćmi, a służba roznosiła kanapki na tekturowych ta-  
lerzach oraz papierowe szklanki z lemoniadą. Wszys-  
cy wcinali ze smakiem, rozmawiając ze sobą i śmie-  
jąc się. Po godzinie człowiek jakiś wszedł na  
estradę i wszystko się uciszyło. Jegomość ten przed-



stawił zebrany innego człowieka, który następnie wygłosił odczyt o wartości majątków ziemskich w Kalifornii. Przemówił on do nas mniej więcej w ten sposób:

— Panowie i panie, cieszy mnie, że widzę dookoła siebie tyle rozumnych ludzi, i mam nadzieję, że skorzystacie ze sposobności, jaką chcę wam teraz pokrótce przedstawić. A teraz, panowie i panie, zanim będę mówił dalej, chciałbym przede wszystkim poznać was osobiście. Będę więc wywoływał nazwy różnych krajów, zaś ci, którzy z danego kraju pochodzą, niech podnoszą ręce... „Niemcy“ — zawołał, a wtedy parę osób podniosło ręce. Wywołując więc jednego z tych, którzy podnieśli ręce, zapytał, z której części Niemiec pochodzi, a kiedy tamten mu odpowiedział, prelegent zwrócił się do zebranych:

— Trzy okrzyki na cześć naszego niemieckiego przyjaciela.

Wznieśliśmy więc okrzyk, a prelegent w dalszym ciągu wywoływał coraz to inne kraje, każąc nam za każdym razem wznosić okrzyki. Kiedy przyszła kolej na Anglię, podniosłem rękę, zdawałem sobie bowiem sprawę, że wszyscy obecni są turystami, więc nic mi nie groziło; poza tym dumny byłem z mej ojczyzny i chciałem, aby na jej cześć wzniesiono okrzyk. Kiedy jednak podniosłem rękę, przekonałem się, że byłem jedynym Anglikiem w tym zgromadzeniu. Kiedy prelegent mnie dostrzegł, zakrzyknął:

— Brawo! Mamy więc wśród nas jednego zającego Anglika. — Zapytał mnie, skąd pochodzę, a ja zawołałem:

— Z Londynu!

— Trzy okrzyki dla naszego przyjaciela z Londynu — zawołał.

Ku mojemu zdziwieniu spotkałem się z największym aplauzem, co tak mnie wzruszyło, że miałem ochotę obejść namiot, by wszystkich, po kolei uściskać. Po raz pierwszy w życiu bito mi brawo i ta świadomość napełniła mnie wielką dumą. Wreszcie prelegent rzekł:

— No, zdaje mi się, że wymieniłem już wszystkich, więc teraz niech każdy przywita się ze swoim sąsiadem.

Kiedyśmy się przywitali ze sobą, prelegent rzekł:

— No, a teraz, kiedy już wszyscy się znamy, będę mówił dalej.

I zaczął tak zachwalać gospodarkę na wsi oraz takie obiecywał korzyści przy zakupnie majątku ziemskiego, że kiedy skończył i zapytał zebranych, jakie kto chciałby wybrać sobie działki, zrobił się piekielny harmider. Kiedy po chwili znów się uci-  
szyło, rzekł:

— Zanim będziemy mówić dalej, chciałbym przedstawić państwu panów, którzy zajmą się sprzedażą.

Przedstawił nam wtedy kilku tych panów, którzy znajdowali się pośród publiczności, co mocno mnie zdziwiło.

Prelegent zaś odezwał się:

— Oddajcie państwo tym panom numery, które pragniecie zatrzymać.

Po tych słowach znów wybuchł harmider. Kiedy tak przyglądałem się tej scenie, zauważyłem, że na

trzy osoby mniej więcej przypadał jeden taki handlarz. Sąsiad mój zaś rzekł:

— No, przyjacielu, oto nadarza ci się niezwykła sposobność! — Ja zaś pomyślałem: komu to mówisz? Zobaczysz, jak cię wykiwam! Rzekłem więc:

— Ma pan rację, właśnie skończyłem 21 lat i mój tato podarował mi 1000 funtów. Miałbym więc ochotę włożyć te pieniądze w jakiś solidny interes.

Kiedy wypowiedziałem te słowa ze spokojem, jaki cechuje ludzi przywykłych do dużych pieniędzy, handlarz stał się w jednej chwili niesłychanie grzeczny i uprzejmy nie szczędząc mi przy tym komplementów i pochwał, które rozsadzały mi piersi. Poczęstował mnie wspaniałym cygarem, za które z pewnością musiał zapłacić więcej, niż wynosił jego dzienny zarobek, i podczas gdy zapewniał mnie o niebywałych korzyściach, jakie wyciągnę z mego przyszłego interesu, śmiałem się w duchu z jego naiwności.

Potem prelegent zaproponował, abyśmy wszyscy poszli oglądać nasze działki. Ja również poszedłem w towarzystwie mojego agenta, który odnosił się do mnie z największą uprzejmością i szacunkiem. Podał mi kilka numerów do wyboru, a kiedy usiłował z miejsca sprzedać mi działkę, powiedziałem mu, że te wszystkie działki są dla mnie za małe. Wy tłumaczyłem mu, że potrzebny mi jest większy plac narożny, ponieważ ojciec mój ma zamiar wybudować tam kino. Mojego agenta omal że nie zatkało, kiedy się dowiedział, że mam aż tyle pieniędzy, że tak swobodnie o tym mówię. Wiedziałem, że staje się coraz bardziej podniecony. Po-

chwili oświadczył mi, że musi poprosić samego dyrektora, aby ze mną się porozumiał, twierdząc, że dyrektor lepiej potrafi doradzić mi, która z tych działek najlepiej nadawałaby się na kino.

Po jakimś czasie wrócił we wspaniałej czarnej limuzynie marki Cadillac, potem odszedł dyskretnie zostawiając mnie sam na sam z dyrektorem, który w tej chwili rozpoczął rozmowę w tym samym miejscu, w jakim ją przerwaliśmy. Byłem bardzo dumny z siebie. Istotnie mówiłem o pieniądzach z taką swobodą, że w końcu sam uwierzyłem, że je posiadam. Widziałem, że wywarłem wielkie wrażenie na dyrektorze. Oświadczył mi wreszcie, że zatrzyma dla mnie odpowiednią działkę, ale powiedział to takim tonem, jakby wyświadczył mi Bóg wie jaką łaskę. Udawał przy tym niesłuchanie ważnego. Potem dodał:

— Musi pan rozumieć, że za dwa lata ten skrawek ziemi będzie wart dziesięć razy więcej niż dzisiaj.

— Oczywiście, doskonale to rozumiem.

— Proszę pana — rzekł dyrektor — omówimy tę sprawę jutro. Mam wrażenie, że pan jest w tej chwili na urlopie i że wszelkie interesy muszą pana nudzić. Czy nie zechciałby pan przyjść do mnie jutro na kolację, panie Lamont — dodał. Było to nazwisko, jakie mu podałem.

— Bardzo panu dziękuję, ale przyznam się panu, że nie mam ze sobą smokinga. Widzi pan, nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, że mam pieniądze lub że jestem Anglikiem. Pan sam wie najlepiej, jak bardzo w tym kraju należy obawiać się gangsterów.

— Podziwiam pański spryt, młody przyjacielu — rzekł dyrektor. — Znakomicie potrafi się pan przebrać. Widząc pana i nie wiedząc, kim pan jest, byłbym pana wziął za zwykłego robotnika. Oczywiście sądząc po ubiorze. Obawiam się tylko, że głos pański zawsze pana zdradzi. Słyszac pana każdy pozna, że jest pan paniczem.

Czułem, że rosnę, i to dodało mi odwagi.

— Widzi pan, czuję się bardzo nieswój w tym waszym kraju, muszę strasznie na siebie uważać, dlatego nie mam nigdy przy sobie ani grosza, ale mam tutaj przyjaciela, do którego zawsze się zwracam, ilekroć potrzebuję pieniędzy, a on podejmuje mi je w banku. Zresztą — dodałem po namyśle — mam wrażenie, że mógłbym jutro przyjść do pana na kolację.

— Doskonale — wtrącił, usiłując wpaść w mój ton. — Pozwoli pan, że odwiozę go do domu.

— Proszę się nie trudzić — zaprotestowałem, — wolałbym się przejść. Mieszkam w Los Angeles w hotelu Laffayette.

— Przecież nie może pan pójść pieszo, to zbyt daleko — zawołał.

— No to może zechce mi pan pożyczyć kilka dolarów na zapłacenie taksówki, to znaczy oczywiście, jeśli pan mi ufa na tyle.

— Ależ oczywiście, drogi panie Lamont, bardzo mi będzie miło oddać tę przysługę — po czym wręczył mi banknot dziesięciodolarowy z bardzo zadowoloną miną. Następnie zapytał, czyby mógł odwiedzić mnie w hotelu i o której godzinie.

— Ależ z największą przyjemnością — odrze-

kłem — proszę przyjść z pewnością. Ogromnie mi zależy na narożnej działce, może nawet wręczę panu jutro czek, skoro już dokładnie omówimy ten interes.

Widziałem, że panu dyrektorowi bardzo na mnie zależy, zauważyłem też, że był bardzo rad z siebie częstując mnie wspaniałym cygarem. Wreszcie po dłuższej wymianie grzeczności, uniżonych zapewnień, przeproszań i pochlebstw powiedzieliśmy sobie — do widzenia. Kiedy znów szedłem sam, śmiałem się w duchu serdecznie, rozkoszując się wonnym dymem sumiennie zarobionego cygara. Po jakimś czasie znalazłem się znów w polu. W przydrożnym schronisku dla turystów wynająłem na noc łóżko, za które zapłaciłem jednego dolara, i po prostu nie posiadałem się z radości, że udało mi się przechytrzyć tego arcychytrego rekina. Pograżony w przyjemnych marzeniach i zadowolony z siebie oraz pełen litości dla tych biednych głuptaków, którzy dali im się nabrać, zasnąłem.

## ROZDZIAŁ XIII.

DOBRY PRZYJACIELE. — AWANTURA NA GRANICY. —  
Z POWROTEM W PACE.

W parę miesięcy potem opuściłem Kalifornię i wędrowałem wzdłuż przez całe Stany Zjednoczone zwiedzając przy tym wszystkie miejsca godne widzenia, ponieważ jednak życie włóczęgi obrzydło mi nareszcie, postanowiłem wrócić do Kanady. Szedłem właśnie w stronę Nowego Jorku, kiedy zatrzymałem się przed małym garażem tuż obok gościńca. Potem zapukałem do sąsiednich drzwi prosząc o coś do zjedzenia. Starsza jakaś pani otworzyła mi drzwi, a skoro powiedziałem, że przeszło od roku znajduję się na ulicy, zapytała mnie, czy nie przyjąłbym posady. Powiedziała mi, że razem z mężem kupili ten garaż, aby mieć jakieś zabezpieczenie na starość, i że jeśli nie mam własnego domu, mogę u nich zostać. Dodała jeszcze, że nie mogłaby mi wprawdzie płacić, ale że odnosiłaby się do mnie jak do rodzzonego syna, że kupowałaby mi ubrania i starałaby się o moje wygody.

Odpowiedziałem jej na to, że nie powinna zbyt-  
nio mi ufać, ponieważ jestem pędziwiatrem i włóczęgą i że, jak mi się znudzi, wrócę na ulicę. Nie zrażona tym zaprosiła mnie do domu i dała dobry

obiad. Kiedy krajałem mięso, wszedł jej mąż. Był to człowiek około 65 lat, niski, krępy i dość nieporządnie ubrany. Zapytał mnie, czy znam się na wozach. Odpowiedziałem mu, że znam się na mniejszych reparacjach.

— Słuchaj, mógłbyś mieć dobre obrywki pracując w moim garażu, przejeżdża bowiem mnóstwo turystów, którzy często żądają, aby im wymyć okna i napełniać chłodnice.

Tak rozmawiając zeszedliśmy do garażu.

Ponieważ starszycy mi się spodobałi, postanowiłem zostać. Miałem zresztą lekką pracę, a obrywki były dobre. Mieszkałem z nimi może trzy tygodnie, a przez ten czas bardzośmy się nawzajem polubili. Ale wkrótce pobyt ten mi się znudził i postanowiłem odejść. Kiedy się żegnałem, starszycy rozplakali się, prosząc mnie, abym został. Powiedziałem jej jednak, że chociaż mi było u nich bardzo dobrze, zateśniłem do cygańskiego życia i dlatego muszę odejść. Wśród łez, uścisków i żalów, ruszyłem w drogę. Gwiżdżąc wesoło zbliżałem się do Nowego Jorku.

W czasie mojej pracy w garażu sprawiłem sobie nowe ubranie, nową parę butów, nową koszulę, nowy kapelusz, nie mówiąc już nic o paru dolarach, jakie potrafiłem sobie zaoszczędzić.

Po pewnym czasie znalazłem się koło wodospadów Niagary w stanie Nowy Jork. Kupiłem bilet pięciocentowy, aby przejść granicę Kanady, kiedy jednak znalazłem się przy barierze, kanadyjski urzędnik imigracyjny zapytał mnie:

— Dokąd idziesz?



— Wracam do domu — odrzekłem.

— A gdzie mieszkasz?

— W Hamilton, Ontario.

— Czy masz na to jakie dowody?

— Nie mam ich przy sobie.

— A jak długo mieszkałeś w Stanach?

— Przekroczyłem granicę dziś rano — blagowałem.

— Kłamiesz — zawołał urzędnik — byłeś tam dłużej! Powiedz prawdę!

— Jeśli pan nie wierzy, proszę zatelefonować pod tym a tym numerem, jest to numer zakładu, w którym byłem.

Urzędnik wydał wargi i rzekł:

— Zaczekaj chwilę, tu w tym pokoju.

Wszedłem więc do pokoju i usiadłem. Po chwili wrócił wręczając mi kopertę:

— Daj to urzędnikowi po tamtej stronie. — I wskazując ręką w stronę granicy Stanów dodał: — Jak oddasz im tę kopertę, wszystko będzie w porządku.

Przechodząc przez most otworzyłem kopertę i przeczytałem kartkę, jaka była w środku. Był to zwyczajny papier urzędowy najeżony paragrafami, zaś słowo „odstawiony“ wypisane było dużymi literami. Zmiałem papier i rzuciłem przez poręcz mostu. Kiedy doszedłem do amerykańskiej granicy, zapytano mnie o bilet. Powiedziałem wtedy, że go nie mam, ponieważ jestem Kanadyjczykiem i chciałem wrócić do Kanady, lecz urzędnicy nie chcieli mnie wpuścić i odesłali z powrotem.

— Nie bujaj, bracie — powiedział urzędnik. — Nie

jesteś Kanadyjczykiem, jesteś zwyczajnym łazikiem, i to w dodatku z Florydy. Poznać to po twojej mowie!

— Nie jestem łazikiem z Florydy, jestem Anglikiem — zawołałem. — Urodziłem się w Lambeth pod Londynem, a stamtąd wysłano mnie do Kanady. Chciałem dostać się do Stanów, tylko aby je zwiedzić.

— Kiedy przeszedłeś granicę? — zapytał.

— Dziś rano — odparłem.

— Nie kłam — zaklął. — Jesteś Jankesem, od razu to poznać. No powiedz, że jesteś Jankesem, a wtedy cię puszczę.

— Nie, nie jestem Jankesem, jestem Anglikiem i dumny jestem z tego!

— Ano, jak chcesz — odparł. — Wejź no tutaj.

Po chwili przyszedł inny urzędnik i posypał się gradem pytań:

— Jak się nazywasz — skąd pochodzisz — jak długo byłeś w Stanach — gdzie się urodziłeś — jak się nazywa twój ojciec — jak się nazywa twoja matka — w jaki sposób tu przyszedłeś — co tu robisz itp.

Odpowiedziałem na wszystkie te pytania.

— Trudno, trzeba cię będzie odstawić. Kanada nie chce cię przyjąć z powrotem. Należysz do kategorii ludzi, „których sobie nie życzą“. Za długo siedziałeś za granicą, musisz więc być przygotowany na deportację.

Siedziałem czas jakiś w pokoju, uszczęśliwiony myślą powrotu do Anglii, aż nadjechał duży wóz policyjny, do którego kazali mi wsiąść. Siedziałem sam w wozie, a po jakimś czasie samochód zatrzy-

mał się przed posterunkiem policji koło wodospadów Niagary, gdzie spędziłem noc w celi. Następnego dnia wezwano mnie do sądu, a sędzia skazał mnie na deportację. Potem zaprowadzili mnie do biura szeryfa.

Szeryf uśmiechnął się grzecznie i rzekł:

— No, Buddy, niebawem będziesz w domu, zresztą pojedziesz w większym towarzystwie.

Zadał mi tysiąc różnych pytań, potem kazał mnie zaprowadzić szerokimi, żelaznymi schodami aż na trzecie piętro, gdzie znajdowała się obszerna cela. Strażnik, który mnie prowadził, otworzył drzwi, a ponieważ w jednej chwili banda włóczęgów zamkniętych w celi rzuciła się ku nam, krzyknął:

— Nie wychodzić — dranie, to nie pora na spacer! Macie tu „nowego“!

Kiedy wszedłem do celi i drzwi za mną się zamknęły, otoczyła mnie zgraja różnej narodowości i wyglądu. Jedni nie golili się od tygodnia, inni spacerowali boso po ceglanej posadzce, inni jeszcze mieli długie włosy spadające im na ramiona, niektórzy z nich mieli na sobie tylko portki i kamizelki, a jeszcze inni ubrani byli tak, jakby się wybierali na bal.

W jednej chwili byłem z nimi wszystkimi za pan brat, zaś tych kilku, którzy rozumieli język angielski, wytłumaczyło mi, że będę tu siedział wieczność, o ile mi się nie poszczęści. Usiadłem na pace i zacząłem rozmowę z jakimś młodym Australczykiem, który powiedział mi, że go złapali i że go mają odstawić. Był bardzo szykownie ubrany i nie stracił rezonu, choć znajdował się w tak nieodpo-

wiednim towarzystwie. Opowiadał mi, w jaki sposób żyje się w „pace“. On na przykład już od trzech tygodni czekał na okręt, który by go odwiózł do Australii, a tymczasem okrętu ani widać.

Potem wskazał palcem na jakiegoś oberwańca siedzącego w kącie.

— Widzisz tego faceta? — zapytał. — To jest Węgier, który siedzi tu już od siedmiu miesięcy, czekając na okręt. Jak ten okręt prędko nie nadjedzie, to będą musieli dać mu obywatelstwo, bo nie wolno nikogo trzymać w pace dłużej niż dziewięć miesięcy.

— O jej, nawet nie chcę myśleć, że mogliby mnie tutaj trzymać tyle miesięcy! Czy nie wiesz przypadkiem, jaki jest najkrótszy termin siedzenia tutaj?

— Najkrócej to chyba siedział ten gość — mówił dalej Australijczyk — który przyszedł tutaj miesiąc temu, a wyszedł dzisiaj rano. Wszystko zależy od tego, jak prędko dostaną odpowiedź od rodziny, która mieszka w kraju, skąd pochodzisz.

— Cie — jak moi nie odpiszą w mig, to będą mieli ze mną do czynienia. Jestem Anglikiem i ani myślę siedzieć tutaj dziewięć miesięcy, żeby zostać obywatelem amerykańskim. Po wszystkim, co mnie spotkało w tym zawszonym kraju, ani mi się śni osiaść tu na stałe! Ale po co się martwić? Wiem, że dostanę wolny przejazd do Blighty, a nie byłem tam już od czternastego roku.

Potem zapytał mnie, czybym nie zagrał w karty, ja zaś zapytałem, o co będziemy grać.

— Tutaj to gra się o wszystko — odpowiedział — o zapałki i o pieniądze, o brzytwy, koszule, ka-

mizelki, skarpetki, krawatki lub wszystko inne, czego się chcesz pozbyć.

— No dobrze — zagrajmy w pokera. Chciałbym zobaczyć, czy mi sprzyja szczęście.

— Klawo! — i zawołał:

— Kto gra w pokera?

— Gramy! — odezwały się dwa głosy z grupy graczy, siedzących w drugim końcu „paki“. Trzech łazików zbliżyło się do nas, a ja poznałem po wyglądzie, że to nie Anglicy. Kiedy usiedli przy naszym stole, zapytałem się, jakiej są narodowości. Jeden powiedział, że jest Węgrem, drugi był Polakiem, a trzeci Rosjaninem.

Wyłożyliśmy nasze karty i powiedzieliśmy sobie, że niebo będzie najwyższą naszą stawką. Nikt nie mógł rozpocząć gry nie mając przynajmniej pary waleatów. Kiedy zajrzałem do swoich kart i zobaczyłem trzech króli, skrzywiłem się z obrzydzeniem ku radości moich przeciwników, ciesząc się z góry na efekt, jaki osiągnę, gdy ich zaszachuję. Australijczyk spasował, Polak spasował i Rosjanin spasował, został tylko Węgier i ja. Ku mojej wielkiej radości Węgier otworzył grę i położył na środek stołu 5 centów. Za jego przykładem poszliśmy wszyscy, odłożyliśmy karty, które były nam niepotrzebne, a wzięliśmy nowe karty. Australijczyk wziął 3 karty, Polak 2, a Rosjanin 3, Węgier wziął tylko jedną kartę, a ja wziąłem dwie. Kiedy zobaczyłem, że Węgier bierze tylko jedną kartę, wiedziałem od razu, że musi mieć pewne lewy. Tym się jednak nie zmartwiłem, gdyż sam wyciągnąłem asa i królowę, a wiedziałem, że mało jest prawdopodobne, aby miał wszystkie cztery

asy. Węgier znów otworzył grę, kładąc dalsze 5 centów, a za jego przykładem poszli inni, ja zaś podniosłem stawkę o dalsze 5 centów. Ku mojemu zdziwieniu Australijczyk przelicytował mnie, więc to wyglądało tak, jakby wszyscy mieli dobre karty, a Rosjanin oświadczył:

— Podnoszę stawkę o dalsze dwa punkty.

Słyszac to Węgier zaczął tracić cierpliwość. Ja sam zmiarkowałem, że coś nie jest w porządku, że to wszystko jest granda. Węgier jeszcze podniósł stawkę i tak to szło jeszcze jakiś czas. Kiedy jednak zobaczyłem, że Australijczyk i Polak znów wymieniają karty, byłem pewny, że niedługo dojdzie do awantury. Węgier znów podwyższył stawkę, potem ja, i to szło tak długo, aż zobaczyłem, że moi dwaj przeciwnicy stają się purpurowi. W pewnej chwili Rosjanin wyciągnął pieniądze z jednej kieszeni i przełożył do drugiej, mówiąc mi, że ten człowiek oszukuje. Ale Węgier udał, że tego nie słyszy, zapalił tylko papierosa, widząc jednak, jak mu ręka się trzęsie, zrozumiałem, że go zaczyna ponosić. Myślałem, że podniecił go tak widok pieniędzy, jakie miał przy sobie Rosjanin. Rosjanin łamaną angielszczyzną powiedział coś o tym, ile ma pieniędzy do przegrania. Powiedział mniej więcej, że stawka może dojść nawet do dolara, Węgier zaś wyraził zgodę i zapytał:

— A ty, Buddy?

— Nie mam wprawdzie dużej forsy — odparłem — ale mogę stracić to, co mam.

Kiedy więc przyszła kolej na Węgra, zobaczyłem ku mojemu zdziwieniu, że tym razem położył

tylko 5 centów, a w tej chwili pomyślałem sobie, że oba te cwaniaki uważają mnie widać za żółtodzioba. No! ale niech czekają!

Wkładając więc rękę do kieszeni wyciągnąłem dolara i kładąc go na samym wierzchu zapytałem:

— Kto daje?

Rosjanin z gorączkowym pośpiechem wyciągnął dolara oraz dalsze 5 centów. Żałowałem, że nie postawiłem więcej. Postawiłem więc drugi raz, tym razem dziesięć dolarów, cały mój majątek. Na to Rosjanin, spojrzawszy w swoje karty zawołał:

— Za bardzo jesteś dla mnie łaskaw, Buddy.

— Cie — rzekłem — co trzymasz?

— Mam dwie pary — odrzekł.

Kiedy zaś zawahał się, czy mi je pokazać, odpowiedziałem:

— Jak chcesz, ale może na drugi raz będziesz dowcipniejszy.

Węgier jednak ciągle jeszcze nie dawał za wygraną i kładąc dziesięć dolarów na stół rzekł:

— Teraz cię mam.

Na te słowa wszyscy wyłożyliśmy nasze karty. Ku mojemu zdziwieniu Węgier wyłożył trzy królowe, asa i dziesiątkę.

— Niech cię tam! — zawołałem — teraz dam ci radę, Buddy!

To mówiąc, wyrzuciłem moje trzy króle i schowałem pieniądze do kieszeni. Po skończonej grze postanowiłem zawrzeć znajomość z innymi ofiarami amerykańskiego systemu deportacyjnego. Było ich może trzydziestu. Byli między nimi Anglicy, Francuzi, Hiszpanie, Niemcy, Szwedzi, Polacy, Węgrzy,

Włosi, Grecy oraz jeszcze różne narodowości, których nie pamiętam. Niektórzy z nich mówili biegle po angielsku, chociaż z silnie amerykańskim akcentem, inni natomiast ledwie parę słów. Aż przykro było słuchać ich opowiadań. Jedni z nich poświęcili całe swoje oszczędności, żeby tylko dostać się do Ameryki, inni znów pożyczyci nawet grube sumy, aby dać się przesznuć przez granicę i chociaż nawet dobrze zaczęło im się powodzić, przecież ich złapano i skazano na odesłanie. Jeszcze inni musieli nawet zapłacić wysokie kary, co oczywiście pochłonęło wszystkie ich oszczędności. Słuchałem wszystkich tych opowiadań, aż przyszedł strażnik.

— Chodźcie, dranie, trza iść spać! — zawołał, po czym otworzył drzwi do celi przeznaczonej do spania, myśmy zaś weszli posłusznie, niby stado baranów, a on zamknął za nami drzwi na klucz. Zaczęliśmy śpiewać, każdy w swoim języku, pieśni przypominające nam daleką ojczyznę. Wyciągnąłem się na żelaznej pryczy, na której nie było nic, prócz cienkiego materaca oraz brudnej twardej płachty. Prycza zaś przymocowana była do ściany długim łańcuchem. Zrzuciwszy ubranie położyłem się. Przypomniałem sobie moje częste jazdy w wagonie-łodowni, i wtedy jazda taka wydawała mi się szczytem wygody. Leżąc bezsennie kłamałem w duchu, że tak głupio dałem się złapać i że teraz leżę w tej wstrętnej dziurze. Powiedziałem sobie, że jestem skończonym idiotą, że chciało mi się powrócić z powrotem do Kanady, w końcu jednak uznałem, że niczego nie odmienię i że trzeba zasnąć.

Nie spałem długo, bo obudziłem się, myśląc, że



mnie żywcem zjedzą. Zapaliłem świeczkę i ku mojemu przerażeniu zobaczyłem, że podłoga, ściany i materac roily się od pluskiew, karaluchów i stonogów, które na widok światła pospiesznie zaczęły zmykać do dziury. Widok ten napełnił mnie takim obrzydzeniem, że resztę nocy przeleżałem drapiąc się i przewracając z boku na bok, rzucając na pastwę plugawemu robactwu naprzód jedną część ciała, potem drugą. Z chwilą, kiedy poczułem żądła ich wbijające się w moje ciało, wysuwałem szybko palec i z rozkoszą rozgniatałem pluskwę, chociaż maż, jaka z niej wypływała, wydawała obrzydliwy smród.

Wreszcie po upiornej nocy życie w celi zaczęło powoli się budzić. Nałożywszy więc pospiesznie ubranie na moje rozpalone ciało, poszedłem do celi, która służyła za umywalnię. Umyłem się kawałkiem mydła do szorowania i wytarłem się w skrawek brudnej szmaty, służącej do obcierania, a wiszącej na sznurku. Umywszy się, zgłosiłem się w następnej celi po śniadanie. Opowiedziałem też strażnikowi o robactwie.

— Wiem, wiem, pełno tutaj tego paskudztwa, ale nic na to nie możemy poradzić — odpowiedział. — Napełnię rozpylacz o godzinie dziesiątej i tobie najpierw go oddam. Widzisz, Buddy, tutaj każdy sam musi o sobie pamiętać.

Potem przynieśli nam śniadanie i gdy zajadałem moje dwie kromki cienkiego chleba, zamaczanego w margarynie, przygryzając je zimnymi, w nieświeżym tłuszczu smażonymi ziemniakami i zapijając to zimną kawą, opowiadałem moje nocne przy-

gody. Ale oni tylko wyśmiali się ze mnie i powiedzieli:

— Przyzwyczaisz się do nich, bracie, i za parę dni nic nie będziesz czuł. Najgorsze są pierwsze miesiące.

— No, myślę, że zeszłej nocy taką im dałem szkołę, że nie zapomną mnie nawet i za sześć lat!

— Cie — rzekł jeden z nich — bestie lubią świeże mięso. Nas tam nie kasały, a tobie dadzą spokój dopiero, aż przyprowadzą kogoś nowego. Też muszą mieć swoją odmianę.

Potem wstaliśmy od stołu i każdy z nas usiadł sobie na pryczy albo na szmacie, paląc i rozmawiając.

Ale takie beczynne siedzenie znudziło mnie, więc wstałem po chwili, żeby zwiedzić dokładnie dziurę, w której siedzieliśmy. Spacerując wzdłuż ścian zdziwiłem się jej rozmiarom. Była może 50 jardów długa i 25 jardów szeroka. Dookoła niej ciągnął się długi korytarz, szeroki na 5 jardów. Po drugiej jego stronie ciągnęły się cele, z których każda miała po dwie prycze. Cele zrobione były ze stalowych prętów, grubych na dwa cale. Dobytek więźniów przechowywano w celach, my zaś zliczając ich ubrania, walizki i inne drobiazgi, orientowaliśmy się o stopniu ich zamożności. W naszej dziurze nikt nie zwracał uwagi na ubranie, tak że niektórzy więźniowie spacerowali boso, chcąc zaoszczędzić obuwie. Stali lokatorzy spacerowali dookoła klatki, śmiejąc się i rozmawiając, podczas gdy inni, mniej towarzyscy, siedzieli w swoich celach i czytali. Jedni grali w karty, drudzy próbowali prac

swoje ubranie inni wreszcie szukali robactwa albo szorowali podłogi w swoich celach.

Tutaj nie było żadnej pracy przymusowej, każdy mógł robić, co mu się podobało, ale widać było, że wszyscy dbają o czystość. Tak na przykład ciągle widziało się kogoś, szorującego swą celę. Kiedy zapytałem któregoś z tych ludzi, dlaczego wkłada tyle pracy w utrzymanie porządku, odpowiedział, że robi to dlatego, aby zająć czymś swoje myśli i zapomnieć, że jest więźniem.

Życie stawało się coraz bardziej jednostajne, ciągle widziało się tylko jedne i te same twarze, rzadko bowiem przybywał nam ktoś nowy. Nie mieliśmy zresztą nic do roboty, jak tylko kręcić się dokoła celi, ciągle w nadziei, że może jutro nareszcie wypuszczą nas na wolność. Przez pierwsze parę dni rozmawiałem z moimi towarzyszami, starając się dowiedzieć coś o ich życiu, ale kiedy wszystkiego już nauczyłem się na pamięć, życie stało się wprost nieznośne. Dnie przechodziły w tygodnie, tygodnie w miesiące, a ciągle nie było jeszcze nadziei wydostania się stąd. Codziennie zaś skarżyliśmy się na to samo strażnikowi, który o tej samej godzinie przychodził otwierać i zamykać „pakę“, ale to nic nie pomagało. Któregoś dnia wreszcie strażnik zawołał:

— Worby! Wracasz do domu!

Boże! jakże się ucieszyłem! Latałem dookoła celi tam i z powrotem, bo wiedziałem, że to już ostatni raz. Przecież siedziałem tu od trzydziestego maja do dwunastego października. Zanim opuściłem to przekłete miejsce, pożegnałem się ze wszystkimi,

ciągnąc ich za nos, klepiąc po plecach, targając ich za włosy i szczypiąc w policzki; a kiedy stosownie do zwyczaju, jakim się żegnało więźniów, których się lubiło, moi współtowarzysze niedoli zaczęli wiwatować na moją cześć, potknąłem się i zleciałem ze schodów, kiedy odwróciłem się, aby ich pożegnać. Na dole czekał już detektyw, który miał przy sobie moją fotografię, odciski palców oraz wszystkie moje papiery.

— No i cóż, cieszysz się? — rzekł do mnie. — Przecież wracasz do domu.

— Czy się cieszę? — zawołałem. — Tak cholernie się cieszę, że nie mogę w to uwierzyć! Co pan może wiedzieć, co ja tu przeszedłem?

Przy tych słowach wskazałem palcem ku celi, gdzie po raz ostatni ujrzałem twarze moich towarzyszy, przylepionych do krat. Wszyscy machali rękami na pożegnanie.

## ROZDZIAŁ XIV.

### ODSTAWIANIE DO GRANICY. — Z POWROTEM W DOMU.

Detektyw wsiadł ze mną do taksówki i odpro-  
wadził mnie na stację. Był to bardzo miły człowiek.  
Dał mi kilka papierosów, a w pociągu kupił mi tro-  
chę jedzenia na drogę. Potem pojechał ze mną do  
Buffalo, gdzie przyłączyli się do nas inni deportanci,  
pobierani ze wszystkich stanów, a potem całą pacz-  
ką pojechaliśmy do Montreal. Podróż była bardzo  
podniecająca. Wszyscy byliśmy w jak najlepszych  
humorach. Siedzieliśmy wprawdzie stłoczeni, niczym  
śledzie w beczce, ale to nam było obojętne, a kiedy  
przejeżdżaliśmy granicę, zaśpiewaliśmy chórem:  
„Bądź zdrow, Broadway, witaj, Montreal!”

Wreszcie przekroczyliśmy granicę i znaleźliśmy  
się po tamtej stronie sławetnego „Kraju Wolności”.  
Większa część deportantów odetchnęła z ulgą, ja jed-  
nak mimo woli przypominałem sobie dłonie, które  
do mnie wyciągały się przyjacielsko w czasie mego  
pobytu w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy konduktor zawołał „Montreal!”, w jednej  
chwili rzuciliśmy się wszyscy do drzwi, ale ku na-  
szej złości drzwi, zamknięte od zewnątrz, nie chcia-  
ły się — ani rusz — otworzyć. Bębniliśmy więc  
w okno i kopali w drzwi, aż wreszcie dwóch ame-

rykańskich urzędników imigracyjnych otworzyło je, wtedy zapędzono nas wszystkich do baraków, gdzie mieliśmy czekać na statek. Nie spuszczano z nas przy tym oczu, aby któryś nie uciekł. Mimo tego pilnowania, dwóch i tak uciekło.

Wiedziałem z góry, że ci dwaj uciekną, bo jeszcze w pociągu namawiali mnie, abym się do nich przyłączył. Odmówiłem, ponieważ nie chciałem stracić dobrej sposobności powrócenia do domu za darmo. Uciekli zaś w ten sposób, że naprzód przewrócili jednego z urzędników, co spowodowało wielkie zamieszanie, a gdy inni urzędnicy usiłowali opanować tłum, tamci dwaj jednym susem wskoczyli do wody i tyle ich widziałem.

Wkrótce po tym wydarzeniu przepędzono nas na statek, gdzie urzędnik zapowiedział nam, że gdybyśmy jeszcze raz do Ameryki wrócili, dostalibyśmy dwa lata więzienia, po czym odstawią nas z powrotem. Roześmiałem się tylko i rzekłem do urzędnika:

— Jeszcze się zobaczymy, Buddy, bo wrócę tutaj, jak zdobędę forszę w Londynie.

— Drogo cię ta podróż będzie kosztować, Buddy — odparł urzędnik. — No, spieszcie się, prędzej!

Wreszcie załadowano nas wszystkich w charakterze sterników na pokład amerykańskiego parowca „Mont-Calm“.

Podróż nasza była bardzo przyjemna, i nikt spośród pasażerów nie wiedział, że byliśmy deportantami. Cóż to za cudowna rzecz czuć się wolnym i wiedzieć, że nad nami nie ma murów ani krat, ani robactwa, i że już nie trzeba czekać na godzinę wyzwolenia! Chcąc zaś nadrobić stracony czas, zja-

dałem zawsze po dwa posiłki, ku wielkiej irytacji stewarda.

— Przecież pan już zjadł jeden obiad — mówił.

— Tak, ale chcę zjeść jeszcze drugi — rozkazywałem. — Wasze jedzenie tak mi smakuje, że ledwie skończę jeden posiłek, już mam apetyt na drugi.

— Dziękuję panu za uznanie — mówił steward i odchodził.

Tańczyłem ze wszystkimi dziewczętami na statku i szczególnie przypadłem do gustu jakiejś Polce, która dlatego tak mnie polubiła, że byłem jedynym chłopcem na statku, który potrafił zatańczyć „polkę“. Nie było to zresztą wcale moją zasługą, bo nie wiedziałem wcale, że to jest „polka“, a nauczyłem się jej tańczyć w Kanadzie, na wiejskich zabawach. Grywałem również na harmonijce w saloniku trzeciej klasy i widziałem, jak różne damulki, podnosząc spódnice wysoko nad kolana, zaczęły wywijać nogami jakiegoś szaleńczego dziga.

Niestety, podróż trwała bardzo krótko, a gdy wreszcie z daleka ujrzeliśmy brzegi Anglii, serce moje o mało nie wyskoczyło z radości. A kiedy przyszła ostatnia noc i czekaliśmy na wjazd, nie położyłem się, jak i reszta moich towarzyszy. Kiedy zaś przechylałem się przez poręcz okrętu, byłem świadkiem czulej sceny miłosnej. Jeden ze stewardów całował ładną, młodą deportantkę, przysięgając jej miłość dożywotnią oraz obiecując małżeństwo, gdy księżyc srebrzył rozkołysane fale, a światła Southamptonu migotały w oddali.

Następnego poranku po wylądowaniu otrzymałem bezpłatny bilet do Sawbridgeworth, dokąd mia-

łem się udać na zaproszenie moich opiekunów, którzy cały czas korespondowali ze mną, gdy czekałem na odstawienie. Kiedy wyglądając z okna pociągu zobaczyłem małą lokomotywę oraz jeszcze mniejsze wagony, śmiać mi się chciało na ten widok. Zobaczywszy zaś jadący gościńcem maleńki wóz modelu „Baby Austin“, roześmiałem się na głos, zdawało mi się bowiem, że jest to kosztowna zabawka zamoznego dzieciaka. Kiedy przyjechaliśmy na dworzec Waterloo, w jednej chwili stałem się pośmiewiskiem wszystkich dziewcząt, ubrany bowiem byłem w sposób nieco niezwykły, przynajmniej jak na angielską modę: Na głowie miałem grubą czarną czapę z ogromnym daszkiem, nasuniętym na lewe oko, gruby czarny pullover, z białą wypustką przy wycięciu szyi, oraz spodnie w biało-czarny wzór, zwany „rybią ością“, skrojone według najnowszego amerykańskiego fasonu, a które otrzymałem w podarunku przed samym wyjazdem. Stroju mojego dopełniała para białych zamszowych butów, obłożonych czarnym lakierem, w ręce zaś niosłem małą paczkę, zawiniętą w gruby brązowy papier, zawierającą brudną, potarganą koszulę, która stanowiła cały mój majątek.

Kiedy zapytałem policjanta o drogę do dworca przy ulicy Liverpool, zapytał mnie, czy jestem Jankesem.

— Nie, Buddy — odparłem — jestem prawdziwym londyńskim „Cockneyem“.<sup>1</sup> Czy nie poznał pan tego po mojej wymowie?

---

<sup>1</sup>. Andrus.



Wtedy zaczął mnie wypytywać, skąd wracam i dokąd jadę, a kiedy mu powiedziałem, że wracam z Ameryki, zaczął mnie wypytywać o różne szczegóły oraz o to, jak mi się tam podobało, na co odpowiedziałem, że podobało mi się tam bardzo. Porozmawialiśmy sobie przez dłuższy czas, w końcu jednak rad byłem, kiedy mogłem pożegnać tego niewiernego Tomasza. Ponieważ nie miałem pieniędzy na autobus, musiałem iść pieszo wśród rojnych ulic, gdzie co chwila podejrzenie wyglądające dziewczyny zaczepiały mnie wołaniem:

— Hallo, bracie! Skąd to wytrzasnąłeś taki kapelusz?

Wreszcie znalazłem się na dworcu przy ulicy Liverpool.

Kiedy dojechałem do Sawbridgeworth, odnalazłem bez trudu drogę, wiodącą do domu mych lat dziecinnych, gdzie opiekunowie moi serdecznie mnie powitali po tak długim czasie. Dali mi się najeść do syta.

— Przede wszystkim musimy pójść kupić nowe ubranie. Nie możesz przecież pokazywać się tutaj w tym przebraniu! — oświadczyła moja przybrana matka.

Poszliśmy więc kupić ubranie. Nie mogłem w żaden sposób przyzwyczać się do angielskich garniturów, toteż zapakowałem moje amerykańskie ubranie i włożyłem do skrzyni w szopie na węgle, ale od czasu do czasu ubierałem je z powrotem i wychodziłem na spacer, ku wielkiej radości chłopców z okolicy, którzy na mój widok z daleka wołali: „Hej tam, Jack“! I tak, stając wieczorami na rogu ulicy,

potrafiłem zawsze zgromadzić wkoło siebie całe rzesze słuchaczy, którzy słuchali z zapartym oddechem opowiadań o moich przygodach i tak zapłoneli żądzą zakosztowania tego życia, że większość z nich postanowiła odtąd odkładać każdy grosz, aby opłacić sobie przejazd do Ameryki. Jeszcze większe powodzenie miałem u dziewcząt wiejskich, które żyć mi nie dały, bręcząc mi nad uchem niby utrapione pszczoły. Wyobrażały sobie, że każdy powracający z Ameryki musi być milionerem. Kiedy jednak chciały, żebym im fundował: kino, cukierki, żebym je brał na wycieczki, a ja nie miałem za co — spuszczały nosy na kwintę.

W kieszeniach moich bowiem nie brzęczał nawet złamany szeląg.

Toteż ucieszyłem się bardzo, kiedy któregoś dnia dostałem pracę na sąsiednim folwarku, i aczkolwiek praca folwarczna w Anglii różniła się wielce od pracy na fermach kanadyjskich, chociaż także i zarobki były mniejsze, byłem rad, że w ogóle znalazłem pracę. Zgodziłem się na trzydzieści szylingów tygodniowo, z czego płaciłem dwadzieścia moim opiekunom za utrzymanie. Już o siódmej godzinie musiałem iść do pracy, a ponieważ w ciągu ostatniego roku bardzo się rozpróżniaczyłem, więc ciężko mi było w to wszystko się włożyć.

Kiedy zaś po kilku miesiącach wypowiedzieli mi posadę, ponieważ sezon buraków cukrowych się skończył, bez żalu opuściłem to miejsce, tym bardziej, że prawie natychmiast dostałem nowe zajęcie, mianowicie miałem wozić towary samochodem ciężarowym. Okazało się jednak, że zarabiałem więcej,

niż było w programie. Kiedy stary mnie wynajmował, powiedział, że będzie mi płacił dwa funty dziesięć szylingów stałej pensji, oraz dwa i pół szylinga dodatkowo za każdą tonę załadowanego lub wyładowanego towaru. Ponieważ jednak pracowałem do późnych godzin, w pierwszym tygodniu zarobiłem od razu cztery funty, a już drugiego przeszło sześć funtów, ale wtedy stary podziękował mi uprzejmie i wypowiedział służbę. Później dostałem posadę u jarzyniarza, któremu miałem rozwozić towar wozem. Pierwszego dnia wszakże zarobiłem tylko piętnaście szylingów, co tak rozindyczyło jarzyniarza, że wreszcie po paru minutach piekielnej awantury powiedziałem mu dobitnie, gdzie ma sobie wsadzić swój wóz, a zapewniam państwa, że nie miałem na myśli garażu.

## ROZDZIAŁ XV.

### GOŚCIEM ARMII ZBAWIENIA. — GRAJEK ULICZNY.

Znudzony tymi niepowodzeniami postanowiłem znowu wrócić na ulicę i włącząc się z miejsca na miejsce, zwiedzić wyspy brytyjskie. Kupiłem stary rower i pożegnawszy się z moimi przyjaciółmi, wyjechałem w świat. Miałem bardzo mało pieniędzy przy duszy, wyjeżdżając z Sawbridgeworth. Jadąc w stronę Londynu postanowiłem sprzedać swój rower, a resztę drogi przebyć pieszo. Dojechawszy do Epping, sprzedałem rower za pięć szylingów i ruszyłem dalej pieszo. W krótki czas potem podniosłem rękę i wsiadłem do nadjeżdżającego samochodu ciężarowego, który zawiózł mnie do Londynu. Przyjechałem tam o godzinie szóstej wieczór, w zimną noc lutową. Przede wszystkim musiałem się rozglądnać za noclegiem, a nie wiedząc, dokąd się zwrócić, zapytałem pierwszego lepszego policjanta o tani nocleg. Policjant odpowiedział:

— Dla takich jak ty, bracie, nie ma nic lepszego nad dom robotników przy Armii Zbawienia. Tam za parę pensów dostaniesz łóżko i strawę.

Dał mi więc adres tego domu, a ja podziękowałem mu i udałem się na poszukiwanie. Musiałem się kilka razy pytać o drogę, zanim go znalazłem.

Obejrzałem dokładnie dom i przeczytałem jadłospis, wypisany na tabliczce, która wisiała w oknie, po czym wszedłem. Przeszedłszy pierwsze drzwi wlałem prosto w drugie, oddzielone od pierwszych przestronią zaledwie na jard szeroką, a tam z miejsca zatrzymał mnie jakiś gburowaty cham, wyglądający na odźwiernego. Zapytał mnie, czego chcę, na co odpowiedziałem, że szukam łóżka na noc. Spojrzał na mnie ironicznie i rzekł gburowato:

— Czyś tu spał zeszłej nocy?

— Nie.

— W takim razie musisz poczekać do godziny ósmej, a potem dopiero możesz dostać łóżko.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Dlatego, żeby stałym lokatorom tego domu dać pierwszeństwo.

— Zgoda — rzekłem — czy mogę wejść?

— Możesz, ale tylko do pokoju dla służby.

— Nie szkodzi — odparłem uroczyście. — Myślę, że nic na tym nie stracę.

Przepuścił mnie więc przez drugie drzwi. Kiedy znalazłem się w środku, rozejrzałem się dokoła. Był to duży pokój pomalowany na czerwono i żółto. Jedną część pokoju odgradzona była od reszty drewnianym przepierzeniem, a na drzwiach wymalowany był napis: „Wstęp wzbroniony“. Na prawo od tych drzwi stała wysoka paka, podobna do klatki, która prawdopodobnie służyła za nocną wachtę, nie mogłem jednak zobaczyć, w jaki sposób tam się wchodzi. Na lewo zaś prowadziły schody prowadzące w głąb domu.

Ta część zaś, w której się znajdowałem, wyda-

wała mi się najobszerniejszą. Z jednej strony stał rząd krzeseł, na których siedzieli mężczyźni różnego rodzaju i rozmaicie ubrani. Jedni z nich mieli nowiusieńkie szykowne garnitury i eleganckie obuwie, inni zaś podarte marynarki i wydeptane buciska. Niektórzy byli całkiem ogoleni, inni zaś robili wrażenie dzikoludów, ociekających brudem. Po drugiej stronie pokoju, w pobliżu szerokiego okna, które bieгло wzdłuż całej ściany stał szereg stołów zesuniętych razem. Od razu zmiarkowałem, że w sali tej muszą się odbywać jakieś zebrania i że dlatego pozsuwano stoły. W głębi pokoju wznosiło się coś w kształcie podium, na którym stały organy oraz pulpity z biblią.

Szukając krzesła, aby usiąść, odczułem na sobie wzrok wszystkich obecnych. Zebranie miało się właśnie rozpocząć. Drzwiami, na których widniał napis „Wstęp wzbroniony“ — wszedł człowiek w czerwonym swetrze ze złotą lamówką koło szyi, a na piersiach miał wyhaftowane jakieś herby. Poza tym miał na sobie granatową marynarkę i także spodnie, wtedy poznałem, że to był mundur Armii Zbawienia. Za nim weszło kilka kobiet w dużych, śmiesznych, staroświeckich kapotach oraz paru mężczyzn. Wszyscy weszli na podium i pochylając głowy, modlili się przez parę chwil w skupieniu, organista zaś, który sam wyglądał jak oberwaniec, przewracał kartki nut rozłożonych na organach.

Po chwili przewodniczący wstał i przemówił uroczystym głosem:

— Rozpocznijmy nasze zebranie od zaśpiewania hymnu numer ten a ten, — który odpowiadał hym-

nowi, zaczynającemu się od słów: „Prowadź nas, Światłości Niebiańska“...

Odczytał więc pierwszą zwrotkę głosem mocnym i namiętym, przy akompaniamencie organów, które huczały i ryczały, jakby im tehu brakło, a przy których organista kiwał się stylowo na siedzeniu. Boże! jakżeż ci ludzie śpiewali! Pomyślałem, że na podwieczorek musieli chyba dostać kanarkowe siemię zamiast herbaty i że zapomnieli odsypać piasek. Kobiety na podium grały na swoich tamburynach, mężczyźni wtórowali im na harmonii, a inni po prostu klaskali w dłonie.

Ostatnia zwrotka była pantomina. Wszyscy klaskali w ręce. Ja zaś, patrząc na nich, jak podrygali i klaskali w ręce, podrzucając tamburynami i dmąc w piszczałki, odniosłem wrażenie, że mam przed sobą ludzi naprawdę szczęśliwych. Tylko ich śpiew nie bardzo mnie zachwycił: zdawało mi się, że z ładnego hymnu zrobili coś w rodzaju dżiga.

Potem znów się modlili, przerywając co chwilę nabożeństwo okrzykami w rodzaju „Chwalcie Pana“ — „Dzięki Ci, Boże“, „Amen“ oraz „Alleluja“.

Całe to dziwne nabożeństwo trwało jeszcze przez dłuższy czas, wreszcie po odśpiewaniu kilku dalszych hymnów, klaskaniu w ręce oraz przytupywaniu nogami, musieliśmy wysłuchać dłuższego ustępu z biblij, po czym przewodniczący zażądał „dowodów“, a ci wszyscy, którzy stali na podwyższeniu, jednogłośnie złożyli wyznanie wiary, mówiąc od jak dawna żyli w duchu bożym i jak się cieszyli, że byli zbawieni.

Jeden z członków Armii opowiedział nam, że nie

tak dawno jeszcze był pijakiem i karciarzem, że ze wszystkimi szukał zaczepki i że w ogóle wiódł bardzo rozpustne życie. Któregoś wieczoru, idąc ulicą, zobaczył nagle małą grupę mężczyzn i kobiet, stojących na rogu, śpiewających psalmy i chwających Boga. Przystanął, aby się z nich natrząsać, ale w tej chwili Duch Boży oświecił go Swoją łaską, i wreszcie, po długim szamotaniu się z sobą postanowił porzucić życie grzechu i odwrócić się od szatana. W namiętnych słowach zaczął wychwalać dobroć Boga, namawiając nas, abysmy również skorzystali z tej sposobności, albowiem bez miłości Bożej nie poznamy nigdy prawdziwej urody życia, a życie nasze dalej toczyć się będzie w ciemności grzechu.

Słuchając tego wyznania wiary poczułem się trochę nieswojo, chociaż starałem się przekonać siebie, że przecież sam jestem sędzią swego życia. Nie czułem także, żebym był popełniał zbyt ciężkie grzechy, lecz że po prostu żyłem tak, jak okoliczności na to pozwalały. Potem przewodniczący, zwracając się do zebranych, prosił o dalsze „dowody“, a wtedy paru obwiesiów, siedzących na samym przedzie wstało, opowiadając także, ile łaska Boska dla nich działała. Wyglądali oni jednak tak strasznie, byli tacy brudni, zarośnięci i rozczochrani, że mimo woli przyszło mi na myśl, iż wizyta u fryzjera i ucziwa kąpiel bardziej by im się przydała, niż takie świądectwa „oczyszczające“ duszę.

A kiedy ci ludzie skończyli swe opowiadanie, przewodniczący powiedział nam o naszym życiu, cośmy robili w przeszłości i jaka przyszłość nas czeka, wreszcie zaczął się modlić. Potem rzekł:



— Gdy śpiewamy, chciałbym, abyście wszyscy podeszli do „Miejsca Miłosierdzia“, bo chcę was wykapać we Krwi Jagnięcia, abyście byli zbawieni. Chodźcie, bracia — kto przyjdzie pierwszy? — I gdyśmy zaczęli śpiewać:

Tak, jak tu stoje bez żadnej zmyy.

Pragnąc od dzisiaj czystego życia,

Zawsze na twoje spieszę rozkazy —

Baranku Boży — zbaw mnie...

człowiek jakiś wyszedł na środek pokoju, a wtedy pomyślałem sobie, że ci poczciwi „zbawiciele“ na podium po prostu oszaleli: podskakiwali do góry, klaszcząc w dłonie, wykrzykując: „Chwalcie Pana, Alleluja!“, a przewodniczący, miotając się po scenie jak opętany, krzyczał i nawoływał nas, abyśmy wszyscy podeszli do Miejsca Zbawienia, za przykładem naszego skruszonego brata.

— Pójdźcie, o bracia! — wołał — bo gdy odśpiewamy jeszcze raz ten werset, możecie wszyscy dostąpić zbawienia. — Nagle w czasie ogólnego śpiewania usłyszałem, jak sąsiad klęczący obok mnie śpiewał:

Tak, jak tu stoje, bez jednej pchły,

Czy może mam stać do rana?

Za łóżko, strawę, herbaty krzty,

Chętnie się pomodłę do Pana. —

Uśmiechnąłem się w duchu do siebie, widząc jego skupioną minę, kiedy śpiewał tę zwrotkę, kołysząc się przy tym uroczyście. Zauważyłem też, że w tyle za nami więcej było takich, którzy z całego tego nabożeństwa po prostu kpiny stroili.

— No, idźże, cholerny idioto — rzekł do mnie mój sąsiad. — Idź tam do nich i zbaw się, a za

to dostaniesz darmo łóżko na noc, a rano ciepłą kawusię. Co ci to szkodzi? Ja bo tam idę!

Poszli więc jeden za drugim i klękali przed Miejscem Zbawienia, a wtedy przewodniczący oświadczył nam, że czuje, jak Duch Boży zstępuje na nas dzisiejszego wieczoru. Towarzystwo zebrane na podium, krzyczało w dalszym ciągu: „Alleluja“ i „Chwalcie Pana“, wreszcie przewodniczący rzekł:

— Słuchajcie, bracia, nie chciałbym zakończyć tego zebrania, nie upewniwszy się, czy nie ma pośród was jeszcze kogoś, kto pragnąłby zostać zbawionym. Jeśli tak, to niech wystąpi, a wtedy odśpiewamy ostatni werset.

Ponieważ jednak nikt już nie miał ochoty składać dalszych świadectw, zakończono zebranie.

Z chwilą ukończenia zebrania, zrobił się wielki rwetes, wszyscy zerwali się z miejsc, odsuwając hałaśliwie krzesła, zapalając fajki i papierosy. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na „nawróconych“, którzy ciągle jeszcze klęczeli, odbierając błogosławieństwa z rąk przewodniczącego.

Za chwilę szerokie okno po prawej stronie uniosło się w górę i w jednej chwili ustawiono krzesła wzdłuż stołów. Okazało się, że to, co uważałem za okno, było w rzeczywistości rodzajem baru, gdzie wydawano ludziom jedzenie. Podeszedłem też do okna i poprosiłem o filiżankę herbaty, kromkę chleba z masłem oraz kielbasę, za które miałem zapłacić pięć pensów. Kiedy jednak położyłem pieniądze na ladzie, człowiek stojący za barem rzekł:

— Rozmień pieniądze w biurze, a tam wydadzą ci bloczki żywnościowe.

Wobec tego poszedłem do biura, gdzie wpłaciłem pięć pensów, za które otrzymałem pięć małych okrągłych bloczków, z których każdy miał wartość jednego pensa, na każdym zaś był napis: „Praca społecznej Armii Zbawienia“. Będąc w biurze zamówiłem sobie łóżko, za które kazali mi zapłacić osiem pensów oraz dali mi różowy bilet z numerem mojego łóżka. Wróciwszy do baru wpłaciłem moje pięć bloczków, za które otrzymałem zamówiony posiłek. Herbata smakowała jak letnia woda lekko zabarwiona, kiełbasa podobna była do kawałka rzemienia, zaś obie cieniutkie kromeczki chleba posmarowane były skąpo nieświeżą margaryną.

Zabrałem więc swoje jedzenie i usiadłem przy stoliku koło drzwi. Podczas jedzenia podszedł do mnie jakiś nieznany osobnik, który z miejsca zaczął mnie pouczać, co mam robić. Powiedział, że chce mi dać parę zbawiennych rad, ponieważ widzi, że jestem tu pierwszy raz. Powiedział mi, żebym nie zostawiał pieniędzy w kieszeniach, żebym złożył swoje ubranie i wsunął je pod poduszkę. Radził mi również i buty włożyć pod poduszkę, a do spania zdjąć nawet koszulę, żeby wszy się do niej nie dostały. Poradził mi również niczego nie zmieniać ani nie sprzedawać, bo kiedy przyszedł tutaj po raz pierwszy, trzy miesiące temu, obudziwszy się rano spostrzegł, że w nocy ktoś buchnął mu jego ubranie.

Podziękowałem mu za jego rady, on zaś zaczął narzekać, że bardzo z nim jest źle i że ma tylko na zapłacenie łóżka, a na jedzenie już nie wystarczy. Kazałem mu więc podać kolację, za którą zapłaciłem, chociaż odradzał mi, abym nikogo niczym nie często-

wał. Podziękował mi serdecznie, mówiąc, że w przyszłości mi się odwdzięczy.

Po tym mizernym posiłku powiedziałem mojemu towarzyszkowi dobranoc i poszedłem spać. Idąc po schodach do sypialni, musiałem pokazać mą kartkę noclegową, którą urzędnik Armii przedał na połowę, zatrzymując jedną dla siebie, a drugą wręczając mi i potem dopiero pozwolił mi pójść dalej. Doszedłszy na czwarte piętro znalazłem się w sypialni.

Przeszedłem przez ciężkie stalowe drzwi i znalazłem się w ogromnym pokoju mieszczącym około stu łóżek. Łóżka robiły bardzo schludne wrażenie, jedno od drugiego zaś odgradzone było krzesłem, stojącym w nogach łóżka. Każde łóżko oznaczone było dużym numerem, tak że bez trudu znalazłem swoje. Było bardzo wąskie. Różowa kołdra miała w poprzek wydrukowany napis: „Praca społeczna nad mężczyznami Armii Zbawienia“. Poza tym na kołdrze leżały jeszcze dwa kocyki oraz dwa prześcierała, noszące ten sam napis, który uwidocznił się na czerwonym pasie, biegnącym wzdłuż prześcierała.

Zauważyłem, że w łóżku moim już ktoś musiał spać przedtem, ponieważ na prześcieradle znalazłem grudki brudu, a nawet kawałek złamanego paznokcia. Wobec tego zerwałem prześcieradła i kołdrę i posłałem na nowo. Nie widziałem wprawdzie robactwa, mimo to jednak pamiętny przestrogi rozebrałem się do naga, tym bardziej że zauważyłem, iż inni robią to samo. Złożywszy ubranie, włożyłem je do dużej torby papierowej, którą następnie wsuną-

łem pod poduszkę. Potem położyłem się. Łóżko było bardzo wygodne, chociaż nieco wąskie.

Po chwili wszystkie lampy pogasły, a w pokoju świeciły się tylko małe czerwone lampki nad drzwiami. Leżąc w łóżku słyszałem, jak moi towarzysze rozmawiali, kleli, charkali i pluli. W miarę jak pokój się zapełniał coraz to nowymi przybyszami, przekonałem się, że nie bardzo liczyli się z drugimi. Jeden z nich przyszedł całkiem pijany i bez najmniejszego wstydu wyrzygał się przed drzwiami. Inni rozmawiali na głos, przeważnie o kobietach.

Przewracając się w łóżku słyszałem chrapanie, chrząkanie i stękanie moich przygodnych towarzyszy. Wreszcie zasnąłem otumaniony ostrym zapachem potu, jaki wydzielają ich brudne ciała oraz przepocone skarpetki wśród nieprzyjemnych odgłosów, spowodowanych złym trawieniem, co nie obeszło się bez ordynarnych uwag tej wstrętnej zgrai.

Kiedy ranek nadszedł, obudziłem się i myślałem, że znajduję się w chlewie. Cały pokój śmierdzał tak, że nie można było wytrzymać. Kiedy siadłem na łóżku, zdziwiony byłem, że wszystkie łóżka są zajęte. Ubierając się przyglądałem się jednemu oberwańcowi; który stojąc nago obok swojego łóżka obydwoma rękami nacierał swoje ciało. Sądząc po jego ciele miałem wrażenie, że ma koło sześćdziesięciu lat. Skóra jego była pomarszczona, sucha i łuszcząca się, pełna czerwonych krost i ranek. Miał zapadniętą klatkę piersiową, zgarbione plecy, a poprzez skórę sterczały zębra. Miał długą brodę i włosy, które dawno już nie widziały grzebienia, twarz skurczoną,

oczy małe i nabiegłe krwią, i palce długie i chude jak patyki.

Widziałem, jak naciera swoje niedożywione ciało, a potem podniósł nocnik. Charcząc i kaszląc w obrzydliwy sposób, zaczął odpluwać flegmę. Potem naciskając wielkim palcem jedną stronę nosa, smarknął energicznie, co po prostu przyprawiło mnie o mdłości. Potem usiadł na łóżku, chwycił róg prześcieradła i zaczął wycierać nos, wreszcie zajął się wydlubywaniem brudu spomiędzy palców u nóg. Z kolei wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Najpierw nałożył brudną podartą koszulę, następnie urwał kawałek prześcieradła i tymi skrawkami owinął sobie nogi, potem nałożył obrzydliwe dziwaczne kalesony, żółte od brudu i starości, które przywiązał sobie w pasie kawałkiem postronka, potem włożył parę starych ciemnopopielatych spodni, które umocował w ten sam sposób, potem wyciągnął spod łóżka parę starych bucisków, które można było wyrzucić na śmietnik, i zapchawszy dziury papierem, włożył je na nogi. Potem włożył na to starą wyswiechtaną kamizelkę, brudną i cuchnącą marynarkę, której kieszenie wypchane były jakimiś papierami. Na głowę nadział stary wykrzywiony kapelusz, bez wstążki. Wreszcie na to wszystko nałożył nieokreślonego koloru płaszcz deszczowy, z którego kieszeni wyglądała czarna blaszana puszka. W końcu zabrał się do wyjścia. Poszedłem za nim.

Schodząc na dół zobaczyłem, że umywalnia znajdowała się pod schodami, co już zauważyłem idąc na górę. Zeszedłszy na dół zastałem tam już kilkunastu mężczyzn przy rannej tualecie. Obnażone do

pasa ciała tych ludzi wydzielaty smród nie do opisan-  
 nia. Nalałem sobie trochę wody cieplej z dzbanka  
 przymocowanego łańcuchem do ściany. Ponieważ  
 w miednicach nie było zatyczek, więc zrobiłem ją  
 sobie z kawałka papieru, a że nie miałem mydła, więc  
 musiałem sobie kawałek pożyczyć, ponieważ zakład  
 mydła nie dostarczał. Umywszy się poszedłem do  
 miejsca, gdzie wisiało około dwunastu brudnych, mo-  
 krych i oślizgłych ręczników. Po długim szukaniu  
 znalazłem wreszcie suchy skrawek, którym wytarłem  
 ręce. Zdjąwszy koszulę, otarłem twarz w rękaw. Za-  
 łatwiwszy się w ten sposób z myciem zeszedłem na  
 dół do biura, gdzie zamieniłem sześć pensów na bony.  
 Zamówiłem śniadanie w barze i wziąłem sobie je-  
 dzenie do stołu. Gdy paliłem papierosa, przystąpił  
 do mnie jakiś zezujący obwieś, bardzo niechlujnie  
 ubrany.

— Słuchaj, kochasiu — rzekł do mnie — nie  
 mógłbyś mi tak dać co do gęby?

— Chętnie — odrzekłem, częstując go papierosem.  
 Usiadł przy mnie i zapalił papierosa.

— Szczepisz? — zapytał.

— Co to znaczy?

— No — czy pracujesz? — odparł.

— Nie ja — zaśmiałem się.

— No, to do jakiej bandy należysz?

— Nie należę do żadnej bandy. — Czego py-  
 tasz?

— Cie — widzę przecież, żeś obcy, więc jeżeli  
 nie szczepisz i nie należysz do bandy, to musisz chy-  
 ba dostawać zasiłek?

— Nie dostaję żadnego zasiłku — odparłem —

dopiero przyjechałem do Londynu. Zresztą powiem ci: jestem włóczęgą.

— No a z czego będziesz żył? — zdziwił się nieznajomy. — Czy chcesz szukać pracy?

— Jeszcze nie teraz, chciałbym najpierw poznać życie.

— No, to tutaj dobrą będziesz miał szkołę, możesz mi wierzyć!

— A ty z czego żyjesz? — zapytałem.

— Ach, ja tylko jestem grajkiem ulicznym, raz śpiewam, raz gram, jak się zdarzy. Dawniej to nawet nieźle zarabiałem, ale teraz to wszystko się urwało. A czyś ty nie próbował nigdy na czymś rzempolić?

— Nie, ale myślę, że może bym i potrafił robić jakiś hałas.

— To może pójdziesz ze mną? Ty mógłbyś co zaśpiewać, a ja będę udawać, że gram.

— Klawo, nie zawadzi raz spróbować.

Ruszyliśmy więc w drogę. Zaproponowałem, żebyśmy pojechali tramwajem, na co mój towarzysz się zgodził.

— A dokąd pojedziemy? — zapytałem.

— Pojedźmy do „Anioła” — odparł.

Wzięliśmy więc tramwaj, jadący do „Anioła” w Inslington, a stamtąd poszliśmy pieszo do placu targowego koło kościoła, ponieważ Charlie powiedział, że to jest najlepsze miejsce do zarobienia paru grosików. Dodał:

— Zaraz ci pokażę, jak się to robi.

Po tych słowach wpakował się na sam śro-



dek rojącego się od różnej gawiedzi placu i zaczął śpiewać.

Piosnka, którą zaintonował, była „Danny Boy“. Śpiewał grubym ordynarnym głosem usiłując przekrzyć hałas uliczny, krzyki przekupniów oraz dzwonki tramwajów i autobusów. Stojąc przy nim czułem się bardzo głupio, bo wszyscy przechodnie gapili się na nas. Właśnie miałem już ochotę drapnąć, kiedy jakaś staruszka wsunęła mi do ręki dwa pen-sy. To dodało mi odwagi; podziękowałem jej za dobre serce. Potem Charlie zwrócił się do mnie:

— No, a teraz kolej na ciebie.

Zdobywszy się więc na odwagę zacząłem śpiewać znany szlagier „W tej wąskiej uliczce wczoraj ją spotkałem“. Z początku śpiewałem nieśmiało, po pewnym czasie jednak odzyskałem rezon i zacząłem się głośno wydzierać, szczególnie kiedy zobaczyłem, jak Charlie, trzymając mój kapelusz w ręce, rozpoczął zbiórkę wśród przechodniów. Idąc wzdłuż ulicy śpiewałem dalej, a kiedy doszliśmy do końca, zliczyliśmy pieniądze. Mieliśmy ponad siedem szylingów!

— Udało nam się — rzekł Charlie. Podzieliliśmy się pieniędzmi, stanęliśmy przy kiosku i zamówiliśmy herbatę. Stojąc przy kiosku i pijąc naszą herbatę powiedziałem mojemu towarzyszowi, że ponieważ zarobki są za małe dla nas obu, wolę pójść na własną rękę. Rozstawszy się z nim poszedłem kupić organki, za które zapłaciłem szylinga. Wyobrażałem sobie, że w ten sposób więcej potrafię zarobić. Stałem więc przed wejściem do domu towarowego Woolwortha, kładąc obok siebie na ziemi swój kapelusz. Potem zacząłem grać. Nie byłem bynajmniej speszo-

ny, ponieważ ranne doświadczenie dodawało mi odwagi. W miarę jak śpiewałem, widziałem, jak do mojego kapelusza wpadały miedziaki. Grałem w ten sposób do późnego popołudnia, a kiedy wreszcie usta zaczęły mnie boleć, spakowałem manatki i zacząłem zliczać swój zarobek. W ciągu tych kilku godzin uzbierałem trzydzieści szylingów i siedem pensów, ponieważ jednak miedziaki ciążyły mi w kieszeniach, wszedłem do najbliższej trafiki wymieniając je na srebrne. Następnie wróciłem do domu noclegowego przy Armii Zbawienia, zapłaciłem za łóżko, a potem poszedłem zjeść kolację, gdzie znów znalazłem się w towarzystwie rozmaitych wyrzutków. Wkrótce przekonałem się, że istnieje mnóstwo sposobów zarobkowania i postanowiłem po kolei wypróbować wszystkie.

Tego samego wieczoru wyszedłem jeszcze raz na ulicę i grałem na harmonijce u wejścia do rozmaitych knajp. Potem wchodziłem do środka i sporo uzbierałem. Kiedy późną nocą wróciłem do domu, przekonałem się, że zarobiłem jedenaście szylingów, a poza tym cały szereg osób „postawiło“ mi piwo. Kiedy wróciłem do domu Armii Zbawienia, opowiedziałem moim towarzyszom, jak mi się powiodło, ale oni powiedzieli, że to tylko pierwszy raz tak się udaje. Pokłóciwszy się z nimi poszedłem spać i wkrótce już przyzwyczałem się do mojego nowego środowiska. Na drugi dzień rano wstałem dość wcześnie i wyszedłem na ulicę, w poszukiwaniu nowych przygód.

## ROZDZIAŁ XVI.

### „KRÓLOWA“<sup>1</sup> — NOC Z IWĄ.

Ponieważ miałem dość pieniędzy, postanowiłem tego dnia odpocząć i oglądnąć sobie Londyn. Łazikując tak przez kilka godzin znalazłem się na Trafalgar Square i tam dopiero napatrzyłem się na rozmaite dziwy życia najgorszych wyrzutków społeczeństwa. Przysłuchiłem się niesamowitym przygodom rozmaitych trampów i innych niebieskich ptaków, od których roiło się na tym placu. Wreszcie, zaciekawiony do najwyższego stopnia, postanowiłem wyruszyć w dalszą drogę, chcąc przede wszystkim sprawdzić, czy to wszystko jest prawdą.

W chwili, kiedy się zastanawiałem, co by na-przód zrobić, zjawił się przed nami „bobby“<sup>2</sup> i krzyknął:

— Wynocha stąd! I to raz — dwa, bo inaczej do paki! — To mówiąc wyszturchał tego i owego, co stali najbliżej, tak że w jednej chwili cała ta zgraja rozbiegła się w różnych kierunkach, ja zaś poszedłem sobie spokojnie StranDEM i zaszedłem

---

<sup>1</sup> „Królowa“ w języku łazików londyńskich oznacza homo-seksualistę.

<sup>2</sup> Londyński policjant.

do knajpy, zwanej „Winne Grono“, gdzie kazałem sobie podać gorzkie piwo.

Siedząc przy barze zauważyłem człowieka w brązowym ubraniu, z białą koszulą i czerwoną krawatką. Miał brązowe zamszowe buty i miękki pilśniowy kapelusz ciemnozielonego koloru. Rysy miał sflaczałe, usta mocno czerwone. Nie spuszczał ze mnie oka, a kiedy spojrzałem na niego, uśmiechnął się.

— Halo — powiedziałem sobie — zdaje mi się, że z tym jegomościem kława będzie zabawa!

Uśmiechnąłem się więc również uprzejmie, on zaś podszedł do mnie lekkim, tanecznym krokiem i rzekł cienkim panieńskim głosem:

— Śliczna pogoda — prawda?

— Owszem — odparłem — nienajgorsza. Nadaje się na jakąś przygodę...

Zapytał mnie, czy może mi co „postawić“, więc oczywiście się zgodziłem. Potem zaczęliśmy rozmawiać. Zapytał mnie, czy pracuję, a ja mu na to mówię, że jestem na ulicy i że zarabiam na życie grając na harmonijce i śpiewając u wejścia do knajp.

— Skandal! — zawołał — że też taki chłopak jak ty nie może sobie znaleźć lepszego zajęcia!

— Może bym tam i znalazł, gdybym bardzo chciał — odpowiedziałem — ale na razie nie chce mi się. Muszę wpierw poznać życie.

— Doprawdy — zawołał — a to ciekawe! A gdzieś będziesz spał tej nocy?

— Gdzie się da — odparłem — nigdy z góry o to się nie martwię.

— No to może byś przespał się u mnie? Mam mieszkancko w Chelsea. Przyjdiesz?

Przez chwilę udawałem, że się namyślam, potem rzekłem grając w otwarte karty:

— Chętnie — tylko nie bardzo mam odwagę pokazać się u pana w tym ubraniu.

— Jak będziesz grzeczny, to może ci w czymś pomogę. — To mówiąc wyjął z portfela dziesięć szylingów i dał mi je wraz ze swoją wizytówką.

— Przyjdź do mnie o szóstej — dodał.

Podaliśmy sobie ręce i pożegnaliśmy się. Na pożegnanie rzekł:

— Uważaj na siebie, kochanie.

Kiedy odszedł, pomyślałem sobie, że w tym Londynie dziwni jacyś ludzie chodzą po ulicach. Zaczynałem powoli zdawać sobie sprawę, że to, co mi chłopcy na Trafalgar Square mówili, było prawdą. Powiedziałem sobie, że jeżeli ten człowiek jest na tyle głupi, że mi dał dziesięć szylingów za nic, to cóż mi szkodzi zgodzić się na jego zachcianki — oczywiście tylko do pewnych granic.

Wyszedłszy spod „Winnego Grona“ rozglądałem się po placu, szukając tego faceta, z którym już przed chwilą rozmawiałem. Opowiedziałem mu moją przygodę, on zaś rzekł:

— Masz cholerne szczęście. Dużo bym dał za to, żeby znaleźć takiego łaskawcę.

Potem dał mi jeszcze parę rad, w jaki sposób wpaść w jego ton.

Dałem więc oberwańcowi dwa szylingi i obiecałem mu, że go później odszukam i opowiem mu, jak mi się poszczęściło. Potem wstąpiłem do kina, a po

godzinie, wyszedłem stamtąd, wszedłem do kawiarni napić się kawy i zjeść bułkę, wreszcie wyruszyłem w stronę Chelsea.

Była punkt szósta, kiedy stanąłem przed adresem uwidocznionym na wizytówce, a kiedy zadzwoniłem, on sam mi otworzył. Miał na sobie wspaniały szlafrok jedwabny, a na nogach miał różowe pantofle obłożone białym futrem. Poznałem od razu, że się mocno wymalował, ponieważ wyglądał teraz całkiem inaczej niż rano.

— O! — zawołał z udanym zdziwieniem. — Więc rzeczywiście przyszedłeś? A już myślałem, że mnie wykiwasz. Mnóstwo chłopców w ten sposób mnie zawiodło.

— Ale ja nie jestem takim jak tamci — odpowiedziałem. — Kiedy coś obiecuję, to i dotrzymam. Nigdy nie łamię przyrzeczenia.

Nieznajomy wprowadził mnie więc do swojego mieszkania, które było bardzo luksusowo urządzone: na podłodze leżały piękne grube dywany, wzdłuż ścian stały miękkie stomany, zasypane poduszkami, a na ścianach wisiało mnóstwo obrazów. Na stoliku stało radio. Całe urządzenie wydawało mi się bardzo kosztowne.

Rozparłem się wygodnie w fotelu, on zaś zapytał mnie, czy nie miałbym ochoty na cocktail. Powiedziałem, że z przyjemnością się napiję. Wtedy przysunął mi mały stoliczek na kółkach i biorąc do ręki metalowy shaker, zaczął go potrząsać przez jakie pięć minut, a następnie nalał mi kieliszek. Potem otworzył srebrną papierośnicę i poczęstował papierosem. Gdy paliłem tureckiego papierosa, czu-

łem, jak ów cocktail pali mi wewnątrz żołądka. Po chwili poczęstował mnie drugim kieliszkiem, a potem zaczął rozplýwać się nade mną, ja zaś nabijałem go w butelkę, jak mogłem, pamiętny rad mojego znajomego z Trafalgar Square. Przy tej sposobności wymyśliłem na poczekaniu jakąś niesamowitą historię, co go tak podnieciło, że zaczął mnie obsypywać pieścótami, na co musiałem się zgodzić, nie pozwalając mu wszakże posunąć się zbyt daleko. Ku mojemu zdziwieniu człowiek ten uległ w tej chwili moim kawałom, a wtedy go zapytałem, czy przyjmował też dawniej u siebie takich chłopców jak ja, odpowiedział, że tak, ale że ja najbardziej mu się podobam, i zapytał, czy chciałbym się z nim ożenić, dodając, że jest przekonany, że byłby ze mnie bardzo dobry mąż, on zaś sam będzie mi wierną i kochającą żoną.

— Zgoda — odparłem — ale skąd mam pewność, że mnie naprawdę kochasz?

— Przecież jakbym cię nie kochał naprawdę, nie prosiłbym cię, żebyś się ze mną ożenił.

W ten nedorzeczny sposób rozmawialiśmy jeszcze dłuższy czas, wreszcie po różnych zaklęciach i przysięgach dał mi cztery funty i kazał mi pójść kupić sobie ubranie, bo — dodał — „chciałbym być dumny z ciebie, jak z tobą wyjdę“. Poprosił mnie, abym go wołał „Fillis“, i chociaż zastosowałem się do jego życzenia, przecież w duchu przezwalałem go całkiem innym, zgoła nieprzystojnym, imieniem. Bierąc od niego te cztery funty powiedziałem sobie — „jesteś skończony drań“. Niemniej jednak nie miałem dosyć siły, aby te pieniądze mu zwrócić.

Po chwili rzekł:

— Więc teraz wierzysz, że cię naprawdę kocham, prawda? Zatrzymam cię przy sobie, jak długo będziesz chciał, i dam ci wszystko, czego zapragniesz, jeśli mi obiecasz, że będziesz wiernym mężem.

Obiecałem mu więc, że będę dobrym i wiernym mężem, ale kiedy chciał mnie pocałować, rzekłem:

— Najdrozsza, proszę cię, nie całuj mnie teraz, mam bowiem straszny katar, a nie chciałbym za nic ciebie narazić na zarażenie.

Te czułe słowa uderzyły mu widać do głowy — bo twarz jego przybrała zaraz rozanielony wyraz.

Pogłaskałem go więc po głowie i rzekłem:

— A teraz, kochanie, muszę pojechać na stację, odebrać moje walizki, musisz więc mnie zwolnić na chwilę, ja zaś postaram się wrócić jak najszybciej, gnany tęsknotą na skrzydłach miłości.

Za chwilę byłem już na ulicy, śmiejąc się w duchu z tego błazna, do którego już nigdy nie miałem wrócić. Wskoczyłem do taksówki i wróciłem na Trafalgar Square, gdzie bez trudu odnalazłem swojego draba, któremu przedtem dałem dwa szylingi za jego dobre rady.

Opowiedziałem mu całą moją przygodę, a on rzekł, że widać więcej miałem szczęścia niż rozumu, ponieważ w dzisiejszych ciężkich czasach nie tak łatwo jest nabrać kogoś na cztery funty. Potem pozbierałem wszystkich chłopców, jakich znalazłem na placu, i wszystkich zaprosiłem do kawiarni „Pod Czaplą“, koło teatru Colosseum. Nakarmiłem ich do syta, ale chociaż było ich przeszło dwudziestu, zapła-



ciem tylko osiem szylingów. Od tej chwili stałem się bohaterem tej całej zgrai, która nadała mi przezwisko „Bonzo“.

Mając kieszenie pełne pieniędzy zacząłem się włóczyć od knajpy do knajpy w centrum Londynu, gdzie zaznajomiłem się z rozmaitymi grajkami, alfonсами, oszustami i innymi draniami. Wszyscy pomogli mi setnie do przepicia moich pieniędzy. Toteż w krótkim czasie znów byłem goły jak święty turecki, ale czułem się nieopisanie szczęśliwy. Późną nocą, odzyskując powoli przytomność po nadmiernym użyciu alkoholu w towarzystwie moich nowych przyjaciół, ocknąłem się w bramie jakiegoś domu, siedząc na kamiennych schodach. Pozbierałem się więc i niepewnym krokiem, jeszcze na wpół pijany, poszedłem w głąb miasta w poszukiwaniu dalszych przygód. W ten sposób doszedłem do Leicester Square, gdzie podeszła do mnie jakaś damulka.

— Hallo, kochasiu — odezwała się, uśmiechając się czarująco. — Czy masz ochotę na małą swawolną dziewczynkę?

— Pewnie — odparłem — taka dziewczynka jak ty, przydałaby mi się w sam raz na jedną noc. Cóż, kiedy nie mogę sobie pozwolić nawet na paczkę naj-marniejszych papierosów. Nie śmierdę groszem i diabli wiedzą, gdzie spędzę dzisiejszą noc.

— Hm — rzekła — to szkoda. Coś mi się zdaje, że masz trochę w czubie.

— Cie — odparłem — fundowałem moim chłopcom.

— Zdaje mi się, żeś sobie też nie poskąpił.

Zmierzyła mnie od stóp do głów i dodała:

— Może byś jednak się zgodził zostać moim kochaneckiem na dzisiejszą noc?

— Podobasz mi się, moja panienczko, i taka noc mogłaby być wcale przyjemna, ale widzisz, taki łazik jak ja, który całe życie spędza na ulicy, nigdy nie ma grosza przy duszy. Zresztą byłoby nawet i niebezpiecznie brzęczeć srebnikami. Wiesz co, wybij to sobie z głowy. Zresztą taki już ze mnie cygan, co to nigdzie nie chce miejsca zagrać.

— Nie bój się, ze mną nie byłoby ci źle — rzekła — ja dobrze zarabiam. Dzisiejszej nocy, na przykład, zarobiłam całe pięć funtów. No, nie grymas, chodź ze mną.

— Klawo — odrzekłem — idę.

— Idziemy! — zawołała biorąc mnie pod rękę.

Poszliśmy więc w stronę ulicy Charing Cross, tam zawołała taksówkę i pojechaliśmy do jej domu. Kiedyśmy przyjechali, zapłaciła szoferowi i zaprowadziła mnie na trzecie piętro. Otworzyła drzwi do obszernego pokoju, którego główne urządzenie składało się z dużej otomany zarzuconej barwnymi poduszkami. Koło otomany stał mały stoliczek na trzech nóżkach, na nim flaszka whisky, a obok dwa kieliszki. W rogu pokoju stała wysoka lampa pokryta czerwonym abażurem, od której padało tajemnicze światło.

Usiadłem natychmiast na otomanie. Iwa zaś zrzuciła kapelusz, podeszła do flaszki z whisky i napełniła dwa kieliszki, na które z niecierpliwością czekałem, ponieważ w międzyczasie skutki pijaństwa zaczęły powoli przechodzić i czułem się dość

oklapnięty. Pod wpływem whisky wszakże czułem, jak humor mi wraca. Byłem znów sobą.

Iwa wychyliła duszkiem kieliszek whisky, a potem zrzuciła futro. Stając, zaś przede mną zawołała:

— Co ci jest? Nie pocałowałeś mnie nawet!

Zerwałem się więc na równe nogi i przycisnąłem ją do siebie. Zauważyłem, że jest ładną, dobrze zbudowaną dziewczyną lat około dwudziestu.

— Nareszcie — roześmiała się. — Widzę, że nie jesteś lodowcem. Chodź do łóżka.

Wyszła z pokoju, ja zaś skorzystałem ze sposobności, aby wśliznąć się pod kołdrę. Za chwilę Iwa wróciła i zaczęła się rozbierać. Zdjęła naprzód niebieską suknię, potem jasnoniebieską jedwabną kombinację, potem powoli zaczęła ściągać buty, pończochy, majtki i biustnik. Wreszcie stanęła przede mną całkiem naga. Wsunęła się do łóżka i przytuliła do mnie, potem przekręciła kontakt i zgasiła światło...

Noc minęła spokojnie, bez żadnych wstrząsów.

Obudziliśmy się dopiero o drugiej po południu. Po skończonej toalecie Iwa otworzyła torebkę i podała mi funta.

— Masz na śniadanie — rzekła, — bo przecież ty musisz płacić. Chodźmy do kawiarni.

Wyszliśmy więc na ulicę i trzymając się za ręce weszliśmy do najbliższej kawiarni. Najedliśmy się do syta, a potem Iwa powiedziała mi, że czas nam się rozstać, bo musi wyjść na ulicę zarobić trochę więcej pieniędzy. Dała mi klucz od swojego mieszkania i powiedziała, żebym sobie zatrzymał resztę pieniędzy. Ostrzegła mnie też, żebym nigdy nie

wszedł do jej pokoju, jeślibym zobaczył w oknie czerwone światło: będzie to znak, że ma u siebie „klienta“.

Pozegnałem się więc z nią i wróciłem do jej mieszkania. Wsuwając klucz do skrzynki na listy rzekłem: „Bądź zdrowa, Iwo“. Teraz dopiero, kiedy już zupełnie otrzeźwiałem, zrozumiałem jasno, że nie byłbym w stanie żyć na dłuższą metę z dziewczyną, która swój zarobek czerpała z ulicy.

## ROZDZIAŁ XVII.

### NIEZWYKŁE AUTO. — BANDA GANGSTERÓW PLANUJE „ROBOTĘ“.

Wróciłem więc na Trafalgar Square, gdzie znów musiałem fundować chłopcom, wydając resztę pieniędzy, jakie mi zostały od Iwy. Londyn obrzydł mi zupełnie. Postanowiłem więc pójść do Covent Garden i złapać jakąś ciężarówkę wyjeżdżającą za miasto. Miałem szczęście, bo kiedy skręcałem koło rogu Tavistock Street, zobaczyłem duży pusty samochód ciężarowy, gotowy do odjazdu. Niepostrzeżony przez nikogo wskoczyłem od tyłu i ukryłem się pod jakąś płachtą. Nie miałem pojęcia, dokąd wóz ten jedzie, zauważyłem tylko kartkę z napisem: Biggles Wade.

Nie wiedziałem wprawdzie, gdzie leży ów Biggles Wade, ale było mi to obojętne, gdyż za wszelką cenę chciałem wydostać się z Londynu.

Za chwilę samochód ruszył, skacząc przez szyny tramwajowe oraz wyboje wąskich ulic. Spod mojej płachty słyszałem dzwonki tramwajów i ryki syren. Po długiej jeździe, która wydawała mi się wiecznością, wystawiłem głowę spod płachty i ku mojej złości przekonałem się, że wciąż jeszcze byłem w Londynie. Wóz jechał ciągle naprzód, wreszcie zmęczony zasnąłem. Kiedy się obudziłem, spostrzegłem, że wóz

zatrzymał się koło jakiejś nocnej kawiarni przy gościńcu. Zeskoczyłem więc z wozu i wszedłem do kawiarni. Podszedłem do lady i rzekłem do kelnera:

— Przepraszam pana, czy mógłbym panu pomóc w pracy w zamian za filiżankę herbaty i kawałek chleba?

— Dzisiaj nie potrzeba nam pomocy — dziękuję.

— W takim razie może zechciałby mi pan ofiarować filiżankę herbaty, ponieważ nie mam przy sobie pieniędzy i jestem na ulicy.

Kelner nic nie odpowiedział, kiedy jednak wyciągnął rękę po filiżankę, człowiek jakiś podszedł do mnie i rzekł:

— Zdaje mi się, że powiedziałaś, że jesteś głodny?

— Tak.

— No, więc na co miałbyś ochotę?

— Wszystko mi jedno, byle co.

Nieznajomy zwrócił się do kelnera i rzekł:

— Podajcie mu filiżankę herbaty oraz szynkę z jajami.

Potem zwrócił się do mnie i zapytał, czy pałę.

— Owszem, pałę wtedy, jak mam.

Nieznajomy kazał **po**dać paczkę papierosów. **Po**tem zaprosił mnie do swojego stołu, bo chciał ze **mną** porozmawiać.

Przyjąłem jego propozycję i siedząc koło niego przy stole, zacząłem mu się bacznie przyglądać. Był to porządnie ubrany człowiek lat może trzydziestu. Ubranie jego, z lepszego materiału, było dobrze skrojone, sam zaś robił wrażenie handlowca lub komiwojażera, tylko oczy jego latały niespokojnie

i rozmawiając ze mną, był silnie zdenerwowany. Bezustannie też wyglądał przez okno, jakby się bał, że mu ktoś ukradnie wóz stojący na gościńcu.

Właśnie zabierałem się do mojej szynki, kiedy mnie zapytał, dokąd jadę. Powiedziałem mu, że nie mam żadnych zdecydowanych planów, że po prostu włączę się z miejsca na miejsce, szukając pracy.

— Zdaje mi się, że mógłbyś mi się na coś przydać — rzekł. — Czy potrafiłbyś prowadzić wóz?

Kiedy mu objaśniłem, że dam sobie radę z każdym wozem, oświadczył:

— No to chodź ze mną do samochodu, tam będziemy mogli spokojnie rozmawiać. Nigdy nie można wiedzieć, czy ściany nie mają uszu.

To powiedziawszy obrzucił nieufnym spojrzeniem grupę szoferów, którzy przyjechali tutaj samochodami ciężarowymi i siedzieli w rogu, pijąc herbatę.

Zapłacił rachunek i wyszedł na ulicę. Wyszedłem za nim i zobaczyłem, że jest on właścicielem nowusieńkiego Forda. Usiedliśmy w wozie i ruszyliśmy z miejsca. Jechaliśmy szybko gościńcem wśród pól i tylko światła samochodów, jadących z przeciwnej strony, migały w ciemności. Ujechaliśmy spory kawałek, kiedy towarzysz mój zapytał mnie nagle, czy należę do „bandy“. Odpowiedziałem szybko, że nie.

Z kolei zapytał mnie, czy kiedy w życiu pracowałem, na co również odpowiedziałem, że nie. Wtedy zapytał:

— No, a z czego żyjesz?

— Ot, tak sobie, psim śwędem — odparłem.

— Tak też sobie myślałem — zawołał. — Słuchaj,

chłopcze, czy nie miałbyś ochoty zarobić grubszej forsy?

Odpowiedziałem mu, że chętnie bym sobie zarobił, ale, że nie lubię „mokrej roboty“.

— Nie obawiaj się tego — odparł. — Moje zajęcie nie przewiduje morderstw, musisz tylko na tyle znać się na jeździe, aby móc umknąć w razie potrzeby.

— Co do tego, może pan być spokojny — zapewniłem go.

Nieznajomy zatrzymał gwałtownie wóz i rzekł:

— Zaraz się przekonam, czy mnie nie bujasz. Siadaj do kierownicy i pokaż, co umiesz.

— Więc pan myśli, że bujam, co?

— Może i nie bujasz — odpowiedział — ale zanim cię wtajemniczę w moje interesy, muszę się przekonać, co umiesz.

— No, jeżeli wóz pański wysoko jest ubezpieczony, to mogę panu z miejsca dowieść, że znam się na rzeczy.

Usiadłem więc przy kierownicy i z miejsca po kawalersku ruszyłem, przyspieszając biegu i przechodząc od razu na trzeci bieg. Zdziwiłem się, czując, że wóz jakoś odskakuje. Wóz bowiem był i nowy i drogi i łatwo nim można było kierować. Przyszło mi na myśl, że wóz ten był czymś więcej niż zwykłym Fordzikiem, zaś warkot motoru przypominał mi warkot zamaskowanego samolotu.

Naciskałem pedał do samej deski, a kiedy samochód gnał naprzód, szybko wyminąłem wszystkie auta, jadące przede mną, i nie zmniejszając biegu, skręciłem w bok. Zależało mi bardzo na zadziwieniu



mojego towarzysza i dlatego skręcałem po kawalersku w bok, biorąc każdy skręt pod kątem ostrym. Kilka razy czułem, jak tył wozu zarzucał, i wtedy zwalniałem biegu, kiedy jednak znalazłem się na równej drodze, znów jechałem jak diabeł.

Wreszcie zauważyłem, że mój towarzysz zaczyna się niepokoić, a w pewnym momencie położył mi rękę na ramieniu i rzekł:

— Zatrzymaj wóz.

Chcąc więc dostarczyć mu na ostatek większych emocji, skręciłem nieoczekiwanie w jakąś boczną drogę, przy czym o mały włos nie wpadłem do rowu.

Mój towarzysz przeraził się na dobre.

— Na miłość Boską ostrożnie! — zawołał.

Zahamowałem gwałtownie, tak że wóz aż podskoczył. Potem zwróciłem się do niego i zapytałem:

— No i cóż, myśli pan jeszcze, że bujam?

— Zwracam ci honor, znasz się na rzeczy, ale przyznam ci się, że nie chciałbym z tobą jeździć! Niemniej jednak nadajesz się doskonale do mojego interesu.

Po chwili dodał:

— Wtajemniczę cię więc w moje sprawy, ryzykując następstwa. Wóz, w którym siedzisz, należy do mnie i do moich chłopców. Planujemy większą „robotę“ w mieście, na której porządnie się obłowimy. Potrzeba nam tylko doskonałego kierowcy, kogoś, kto potrafi wjechać i wyjechać z tłumu, nie dając się złapać.

— Jakiego rodzaju ma to być „robota“? — zapytałem.

— Napadamy kogo się da, i w nocy i w dzień,

wszystko jednak musi być zrobione na czas — odpowiedział. — Ja jestem hersztem całej bandy i idziemy się rzetelnie każdym łupem. Może byś miał ochotę spróbować?

— Zgoda — rzekłem.

— Klawo — odpowiedział. — Będiesz więc kierowcą wozem przy następnym raidzie. Czy zauważyłeś może w wozie tym coś osobliwego?

— Cie — odparłem — nie trudno zgadnąć, że pod tą pokrywą nie siedzi motor Forda.

— Patrzcie, jaki morowiec! — zauważył ironicznie — a jak to spostrzegłeś?

Pouczył mnie, że pod siedzeniem znajdę dwie sprężyny, które, jeśli się je pociągnie, zakryją momentalnie tabliczkę rejestracyjną, tak że niesposób jest odczytać numer. Potem wskazał na pedał obok hamulca i kazał go pocisnąć, z chwilą kiedy zaś to zrobiłem, wszystkie cztery drzwiczki wozu otworzyły się automatycznie.

— A teraz, kiedy pociągniesz rączkę, to drzwi się zamkną.

Potem wtajemniczył mnie w różne inne ukryte urządzenia wozu. Tak na przykład, przez naciśnięcie guzika, rolety na oknach opadały automatycznie. Wewnątrz wozu była ruchoma podłoga, którą wprawiało się w ruch naciskając inny guzik.

Przypatrywałem się temu wszystkiemu ze zdziwieniem, bo czegoś podobnego w życiu nie widziałem. Moje zdumienie zaś doszło do zenitu, kiedy nagle podnosząc siedzenie, pokazał mi może z tuzin najrozmaitszych blaszek rejestracyjnych z różnymi numerami, które zmieniano w czasie pościgu. Kie-

rowca musiał mieć na tyle sprytu, aby w pewnym momencie zmylić ścigających i niespostrzeżenie zmienić numery.

Wtajemniczywszy mnie w te wszystkie cudowości, mój towarzysz znów puścił w ruch wóz, mówiąc:

— O północy mam się spotkać z moimi chłopcami. Zapoznam cię z nimi, a reszty już od nich się nauczysz.

Wjechaliśmy do wschodniej dzielnicy Londynu. Samochód nagle zatrzymał się w wąskiej uliczce, w bardzo nędznej dzielnicy. Zatrąbiwszy w umówiony sposób poczekał chwilę, wreszcie człowiek jakiś wysunął się z ciemności i stanął obok wozu. Mój towarzysz mruknął jakiś rozkaz, ja zaś tylko dosłyszałem ostatnie słowo: „łazik“. Potem zwróciwszy się do mnie, rzekł:

— Chodźmy.

Zaprowadził mnie do budynku, który wydawał mi się zupełnie za opuszczony. W ciemności drapaliśmy się po drewnianych schodach, które mam wrażenie, bardzo były brudne, lecz zupełnie nie skrzypiały. Mój towarzysz zagwizdał cichutko, a wtedy z górnego piętra przyszła również cicha odpowiedź. Doszliśmy w ten sposób na czwarte piętro, w upiornej niemal ciszy i ciemności. Wreszcie zobaczyłem słabą smugę światła przeciskającą się przez szczelinę w drzwiach, a jednocześnie usłyszałem rozmowę prowadzoną przy stłumionych głosach. Towarzysz mój w umówiony widać sposób zapukał do tych drzwi. Było to coś w rodzaju sygnału Morsego,

i otrzymał podobną odpowiedź. Potem dopiero zapukał w zwyczajny sposób i drzwi się otwały.

Weszliśmy więc do pokoju, a wtedy oczy kilku nastu drabów skierowały się na mnie.

— Wszystko w porządku, chłopcy — rzekł mój towarzysz. — Mamy nowego członka.

Tamci mruknęli coś w odpowiedzi, zapytując, skąd przychodzę.

Towarzysz mój, przezwany „Mózgiem“, odpowiedział szorstko:

— Nic wam do tego, skąd on pochodzi, wystarczy, że jest tutaj. Zresztą i tak aż za dobry jest dla was.

Wskazując zaś palcem na stół zapytał:

— Co tam macie?

Ktoś odpowiedział:

— E, to tylko parę „kamyczków“, któreśmy „znaleźli“.

Na to „Mózg“ zapytał, kiedy je „znaleziono“.

Któryś z nich odpowiedział:

— Jakie pięć godzin temu.

— Mam na nie kupca — odparł „Mózg“, biorąc brylanty i przyglądając się im z bliska. — Który z was je „znalazł“ i co zrobiliście ze złotem?

— Przed chwilą stopiliśmy je i właśnie się chłodzi — brzmiała odpowiedź.

Podczas tej rozmowy rozglądałem się po pokoju. Okna były zasłonięte grubymi workami, duża drewniana paka, taka, jakiej używają do przewozu cukru, służyła za stół i pokryta była jakąś brudną płachtą. Na środku stołu leżał duży kawał irchy, na której migotały „kamyczki“ w chwiejącym się płomieniu świe-

cy. Po pokoju rozrzucone były zniszczone i połamane maszynki do robienia papierosów, kasy ogniotrwałe, gazomierze, srebrne pucharki, futra, obrazy olejne, bale wełny i jedwabiu oraz cały szereg innych kradzionych rzeczy. Wszystko to sprawiało niesamowite wrażenie w świetle świec, które pozatykane w szyjki flaszek, stały w różnych punktach pokoju. Zaduch panował nie do opisania, spowodowany dymem z papierosów i fajek oraz brakiem wietrzenia. Usiadłem na pace i zacząłem się przysłuchiwać planom następnego włamania, którego ofiarą miał tym razem paść jakiś lombardnik. „Mózg“ oświadczył obecnym, że ponieważ znakomicie kieruję samochodem, więc oddam im wielkie przysługi. Napad miał nastąpić we wczesnych godzinach porannych. Człowiek jakiś odczytał godziny, w których policjanci odbywają rundę koło domu, gdzie napad miał się odbyć. Mieliśmy zaledwie pięć minut czasu na wszystko, ale banda oświadczyła, że to aż nadto wystarczy.

Podczas tych przygotowań uważałem pilnie na wszystko, co się dokoła mówi i dzieje. Zauważyłem na przykład, że w środku ogniotrwałej kasy stał mały tygielek, w którym leżała mała grudka wytopionego złota oraz duży kawał srebra. W czasie mego przyglądania się temu wszystkiemu, ktoś podniósł rękę do góry i rzekł:

— Szal

W jednej chwili cisza grobowa zaległa izbę, tak że można było usłyszeć nawet brzęczenie muchy.

— Zdaje mi się, że to baby idą — rzekł ktoś.

— Wyjrzyj no, Gerry!

Wobec tego Gerry podszedł do okna. Zanim jednak podniósł worek zasłaniający okno, pogaszono wszystkie światła. Wystawiwszy głowę za okno, zagwizdał cicho, potem odwrócił się i rzekł:

— W porządku. Zaświecić!

Za chwilę już wszystkie świeczki paliły się z powrotem, a jednocześnie ktoś cichutko zapukał do drzwi. Gerry odpukał w umówiony sposób, potem znów ktoś zapukał od zewnątrz, wreszcie otworzył drzwi.

Weszły dwie kobiety jaskrawo i ekscentrycznie ubrane. Suknie leżały na nich jak ulepione. Miały na sobie bogate futra oraz małe kapelusiki, z fantazją zsunięte na jeden bok. Pokręciły się po pokoju, uśmiechając się do zebranych, nikt jednak nie przywitał się z nimi. Potem bez słowa poszły na sam koniec pokoju i usiadły cichutko na pace. Mężczyźni prowadzili dalej rozmowę, jakby kobiet wcale nie było. Wreszcie „Mózg“ zapytał:

— Czy mamy teraz się dzielić czy dopiero jutro?

Nikt nie odpowiedział. Widać nikt nie potrzebował pieniędzy.

— Będzie lepiej — dodał — jak teraz się podzielimy. — To mówiąc wyjął z kieszeni plikę banknotów i rozdzielił je między obecnych. Mnie zaś dał tylko jednego funta i rzekł:

— Dostaniesz więcej drugim razem.

Mężczyźni wszczełi ze sobą jakąś kłótnię, a „Mózg“ zwrócił się do mnie:

— My będziemy pilnować roboty.

Potem skinął głową obydwom kobietom, siedzącym w głębi, i we czwórkę wyszliśmy z pokoju, zo-

stawiając resztę bandy zbitą w jedną masę i rozmawiającą półszepem. Kiedy wyszliśmy na ulicę, zauważyłem, że wóz gdzieś się podział. To mnie zaniepokoiło, ale ani „Mózg“ ani kobiety nie zdawały się tym przejmować. Poszliśmy więc pieszo wzdłuż ulicy, na której zresztą psa z kulawą nogą nie było. „Mózg“ skreślił w bok, potem wiódł nas jakimiś krętymi uliczkami, aż wreszcie doszliśmy do dużej jasno oświetlonej ulicy, gdzie ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem samochód. Przy kierownicy siedział człowiek w liberii szofera, co mnie mocno zdziwiło, ale nic nie powiedziałem. Kiedyśmy podeszli, człowiek w liberii otworzył nam drzwiczki. Obie dziewczyny zajęły tylne siedzenie, człowiek w liberii zaś mrugnawszy pod nosem coś, czego nie dosłyszałem, zniknął w ciemności.

Teraz „Mózg“ usiadł przy kierownicy, a ja siadłem obok niego i ruszyliśmy. Dziwiło mnie, że obie te kobiety nie pisnęły ani słówka od czasu, kiedy się pojawiły. Uśmiechały się tylko bezustannie, tak że w końcu myślałem, że są nieme. Kiedyśmy jednak wjechali w zamożniejszą dzielnicę Londynu, gdzie piękne wystawy sklepów jasno były oświetlone mimo nocy, „Mózg“ zwrócił się do jednej z nich:

— Widzisz, Nell, tu muszę kiedyś ciebie przyprowadzić.

— Klawo — rzekła grubym głosem.

Po chwili zaś „Mózg“ rzekł do mnie:

— No, jesteśmy na miejscu. — Mówiąc to, wskazał na jakiś sklep należący do lombardnika - lichwiarza. — Zajedziesz przed bramę, a chłopcy dokonają reszty. Z chwilą zaś, jak będziesz miał towar w środku,

musisz zmykać co prędzej i pojedziesz tam, gdzie ci chłopcy wskażą, a reszta już pójdzie jak po maśle.

Pojechaliśmy jeszcze kawałek, on zaś zwrócił się do drugiej dziewczyny i rzekł:

— Tutaj twoja robota, Mono.

— Klawo.

Pojechaliśmy jeszcze kawałek:

— No, mam nadzieję, że wszyscy teraz wiecie, co do was należy. Wsiadajcie, baby, i nie zapomnijcie narkotyku! — zakomenderował „Mózg“.

Kobiety wstały posłusznie i wróciły do miejsca, gdzieśmy przed chwilą stali. „Mózg“ zaś rzekł do mnie:

— No, a teraz chłopcy powinni tu być lada chwila.

Ponieważ zmiarkowałem, że coraz bardziej wciągam się mimo woli w tę całą sprawę, postanowiłem jakoś się wycofać. Zaproponowałem więc:

— Zajedźmy raczej przed jakiś ustęp, to będzie bezpieczniej.

— Masz rację. Tym bardziej że sam czuję potrzebę.

Kiedy znaleźliśmy już ustęp, „Mózg“ rzekł:

— Idź pierwszy, a ja tu poczekam.

Zeszedłem więc pierwszy, a kiedy wróciłem, zająłem miejsce w wozie, zaś „Mózg“ poszedł ze swoją potrzebą. Z chwilą jednak jak zauważyłem, że znika w podziemiach, wyskoczyłem z wozu i pędem puściłem się w boczną ulicę. Tam wskoczyłem do pierwszej lepszej taksówki, i byłem tak podniecony, że kiedy szofer zapytał mnie, dokąd ma jechać — rzuciłem: „gdzie bądź“!



Popatrzył na mnie ze zdziwieniem, ja zaś nie chcąc, aby tracił czas, zawołałem:

— Na stację Charing Cross, ale szybko, mam złapać pociąg!

Ruszył więc w drogę, ale ponieważ źle czułem się w taksówce, zatrzymałem szofera, zanim jeszcze taksometr wskazał szylinga, i poleciłem, by stanął, bo jedzie za powoli.

Wysiadłem więc i zapłaciłem takse, ponieważ jednak szofer spojrział na mnie jak na człowieka, który ma na sumieniu jakąś sprawkę, dodałem mu drugiego szylinga napiwku, co w jednej chwili zmieniło jego oblicze. Poszedłem dalej pustymi ulicami, zaczepiany od czasu do czasu przez prostytutki. Porozmawiałem z nim, w końcu oświadczyłem im, że nie śmierdę groszem. Szedłem dalej. Nie wiedząc, co z sobą począć wszedłem do jednej z kawiarni, przy Charing Cross Road i tam siedząc nad filiżanką kawy i kawałkiem ciastka, rozmyślałem nad wszystkim, co tej nocy widziałem, a jednocześnie rad byłem, że udało mi się drapnąć w odpowiedniej chwili, unikając w ten sposób nieprzyjemnych następstw niebezpiecznej przygody.

## ROZDZIAŁ XVIII.

### TYMCZASOWY PRZYTUŁEK W YORKSHIRE. — ZATARG Z DOZORCĄ.

Znowu postanowiłem wrócić na ulicę, ale po kilkudniowym łązikowaniu zobaczyłem, że ubranie moje bardzo się podniszczyło, byłem głodny i nie miałem grosza przy duszy. Pukałem wprawdzie do rozmaitych domów, prosząc o coś do zjedzenia, ale prawie zawsze spotykałem się z odmową. Wreszcie któregoś dnia, przemoczony do nitki, zziębnięty i głodny, byłem już bliski rozpacz i postanowiłem zapukać do tymczasowego przytułku w Yorkshire. Kiedy przestąpiłem próg tej zacnej instytucji, zapytano mnie od razu, skąd przychodzę, gdzie spędziłem ubiegłą noc, dokąd idę, czym się zajmuję i czy otrzymywałem jaki zasiłek. Powiedziałem więc, ile mam lat, gdzie się urodziłem, podałem następnie imiona ojca i matki, a ponieważ byłem bezdomny, więc napisali: „bez stałego miejsca pobytu“.

Następnie zaprowadzono mnie do dużego budynku. Portier podszedł do mnie i zapytał:

— Pokaż, co masz w kieszeniach?

Posłusznie pozwoliłem zrewidować moje kieszenie, które zawierały kawałek sznurka, pudełko zapalek, kilka papierosów, grzebień, scyzoryk, brzyt-

wę, szczotkę i mydło, kawałek połamanego lustra i tym podobne głupstwa. Potem kazał mi się rozebrać. Skoro tylko zrzuciłem marynarkę, porwał ją i począł na nowo przeglądać wszystkie kieszenie. To samo zrobił z moimi spodniami i nawet wywrócił skarpetki na drugą stronę, oraz wsadził rękę do butów macając, czy nie ma czego w palcach. Zapytałem go, dlaczego to robi, on zaś powiedział, że szuka zapalek i tytoniu. Podczas tej rewizji musiałem cały czas stać nago. Następnie kazał mi związać swoje ubranie w tobołek, a potem dał mi kartkę, na której wypisane było moje nazwisko oraz numer. Tę kartkę kazał mi przyczepić do mojego tobołka. Potem zaprowadził mnie do łazienki i dał mi grubą koszulę. Po kąpieli zaprowadził mnie do obszernego pokoju, gdzie już było paru takich jak ja włóczęgów różnego wieku i wyglądu, ogolonych i obrośniętych, starych i młodych. W tym pokoju otrzymałem dwie kromki chleba, które ważyły osiem uncji, stosownie do przepisu, jaki uwidoczniiony był na kartce wiszącej na ścianie. Dostałem również jedną uncję margaryny oraz garnuszek kakao bez cukru. Ponieważ nie dali nam noża do posmarowania chleba margaryną, patrzyłem, co zrobią moi towarzysze. Jedni posmarowali sobie chleb skórką od chleba, inni posmarowali je palcem, ja zaś położyłem kawałek margaryny na środek kromki, a drugą kromką posmarowałem ją. Po tej wspaniałej uczcie zaprowadzono nas do naszych cel. Zauważyłem, że numer celi odpowiadał numerowi uwidoczniionemu na mojej koszuli oraz kartki, którą przylepiono na moim tobołku. Cella miała około pięciu

stóp szerokości i ośmiu stóp długości. W głębi były małe drzwiczki prowadzące do innej, jeszcze mniejszej celi. W tej maleńkiej celce była krata żelazna, przez którą w dawnych czasach więźniowie wyrzucali kamienie.

W mojej celi znalazłem się pod kluczem. Materac wypchany był trawą i pokryty ceratą, poduszka była tak samo wypchana trawą, a wysp ceratowy. Nie było żadnych prześcieradeł, tylko dwa grube koce. Rozciągnąłem się więc na zimnym i śliskim sienniku i nakryłem się kocami. Po chwili zasnąłem.

Około szóstej godziny rano zbudziłem się słysząc, jak ktoś odryglowuje drzwi.

— Wstawaj i wychodź! — warknął gburowaty głos.

Zerwałem się na równe nogi i znalazłem mój tobołek złożony przed drzwiami celi. Wniosłem go więc do celi, ale kiedy zacząłem się ubierać, zauważyłem, że oczy zaczynają mnie boleć i nie mogłem przez chwilę złapać tchu. Jak się później okazało, ubranie moje, widocznie dla dezynfekcji, wisiało całą noc w pokoju, przeznaczonym do tego celu, i parowane było siarką. Włożywszy je na siebie, przestraszyłem się swego wyglądu: ubranie bowiem tak było zmięte, że wyglądałem jak strach na wróble. Dozorca kazał mi posłać łóżko, umyć się, a następnie kazał przypiąć do koszuli kartkę, która wisiała na moim tobołku. Koszulę miałem oddać przed pójściem na śniadanie.

Wykonawszy posłusznie wszystkie te polecenia, zeszedłem do jadalni, gdzie już czekało na mnie

śniadanie. Śniadanie zaś składało się z ośmiu uncji chleba, jednej uncji margaryny oraz filiżanki herbaty, która raczej była tylko zabarwioną wodą. Po śniadaniu wszyscy mężczyźni zostali zaszeregowani do pracy. Przełożony rozdał nam wszystkim zajęcia, stosownie do naszych sił oraz wieku. Jedni mieli pracować w ogrodzie, inni rąbać drzewo, ja zaś wraz z kilku innymi miałem szorować podłogi oraz czyścić klamki. Pracowałem całe rano, aż do chwili, kiedy dzwon oznajmił nam, że mamy iść na obiad, który składał się z dwóch ziemniaków w łupinach, kawałka zimnej wołowiny oraz maleńkiej porcji kapusty. Poza tym każdy z nas dostał jeszcze dwie uncje suchego chleba. Na środku stołu stał ogromny dzban wody i trzy szklanki, które miały wystarczyć dla trzydziestu osób. Po obiedzie wróciliśmy do pracy, a koło godziny czwartej dozorca przyszedł powiedzieć nam, że możemy teraz naprawiać sobie nasze ubrania lub zrobić coś koło własnej osoby. Miałem się golić wspólną brzytwą. Ponieważ brzytwa była tępa, skaleczyłem się w kilku miejscach, a kiedy poprosiłem o nową żyłkę, dozorca rzekł:

— Jeszcze czego! Przecież zaledwie dziesięć osób nią się goliło! My mamy wyznaczoną ilość żyłek na dzień!

Potem poszedłem do ławki, koło której wisiały przymocowane łańcuchami szczotki do czyszczenia butów. W czasie czyszczenia swego obuwia zauważyłem, że inni prali sobie bieliznę i skarpetki.

Około szóstej podano nam herbatę, to znaczy to samo, co poprzedniego dnia, a potem dostaliśmy

znów koszule i kazano nam iść spać. Bez trudu znalazłem swoją celę, włożyłem pożyczoną koszulę i położyłem się. Ledwie się położyłem, kiedy wszedł dozorca i zapytał mnie, gdzie podziałem swoje ubranie. Odpowiedziałem mu, że złożyłem je w nogach łóżka.

— Zwiń je w tobołek i złóż przed drzwiami — rozkazał. — Niańki wam potrzeba, żeby was doglądała, czy co?

Posłuchałem rozkazu i wróciłem do łóżka, dozorca zaś zatrzaskał drzwi i zamknął je na klucz.

Następnego ranka, po uczcie składającej się, jak zwykle, z ośmiu uncji chleba, jednej uncji margaryny oraz garnuszka herbaty, wypuszczono mnie na wolność, zaopatrzwszy mnie w cztery uncje chleba oraz dwie uncje sera, zapakowane w kawałek gazety. Z chwilą jednak kiedy znalazłem się za bramą, wyrzuciłem te wspaniałości za płot i poszedłem swoją drogą, rad, że znów jestem wolny.

Kilka godzin później, spotkawszy po drodze jakiegoś zacnego człowieka, poprosiłem go, aby mnie podwiózł kawałek, on zaś nie tylko, że wziął mnie do swego samochodu, ale poczęstował jeszcze kawałkiem befsztyka, smażonymi ziemniakami oraz świeżą cebulą. Spędziłem tak cały dzień na gościńcu i postanowiłem przespać się pod stertą siana. Nie chciało mi się bowiem za marny nocleg poświęcić cały dzień wolności. Kiedy więc noc nadeszła, zrobiłem sobie przytulne gniazdko w stogu siana, a ponieważ noc była ciepła, czułem się bardzo dobrze, tylko zdziebelka siana łaskotały mi twarz oraz plecy. Mimo to, jednak czułem się znacznie lepiej w tym

stogu siana, niż jako dobrowolny więzień wśród czterech ścian, gdzie miałem wrażenie, że obrabowano mnie z wszystkiej godności ludzkiej i gdzie dawano mi do zrozumienia, że robi mi się łaskę, chociaż w gruncie rzeczy radzi byli, że za psie pożywienie, tacy oberwańcy jak ja, za darmo na nich pracują. Byłem przekonany, że praca moja znacznie więcej wartała od strawy, jaką mi dano. Wtedy dopiero po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że dziewięć dziesiątych kwoty, dostarczanej przez społeczeństwo, nie szło na pożytek dla tych, dla których było przeznaczone, lecz dla tych draniów, którzy niby to nami się opiekowali.

Właśnie zasypiałem, kiedy posłyszałem szelest siana. Wysunąwszy głowę, zobaczyłem w cieniu jakąś ludzką postać. Wstrzymałem oddech, ponieważ nie wiedziałem, kto to może być. Wreszcie głos jakiś odezwał się:

— Co ty tu robisz?

Zirytowany tą niewczesną wizytą rzekłem:

— Jak to — co robię?

W odpowiedzi na to ów ktoś uderzył mnie laską. Tego mnie było za wiele. Zerwałem się i krzyknąłem:

— A ty, kto jesteś, do ciężkiej cholery? I jakim prawem mnie bijesz?! Zrobiłem ci co złego czy co?

— Jestem dozorcą tego pola — odparł człowiek warczącym głosem. — Albo pójdiesz ze mną, albo też zbiję cię jak psa.

— Cie — zadrwiłem — a kto ci pomoże?

Ledwo to powiedziałem, kiedy nieznajomy podniósł kij, ja jednak uprzedziłem go, rzuciłem się na niego i całą siłą wyrzuciłem głowę w jego żołądek.

Szanowny pan przewrócił się jak długi, a wtedy stojąc nad nim, powiedziałem mu dosadnie, co myślę o nim, o jego sianie i o policji. Powiedziałem mu, że odkąd żyję, nie skrzywdziłem jeszcze ani człowieka ani zwierzęcia i że ta ziemia do Boga tylko należy i do nikogo więcej. Pouczyłem go także, aby na drugi raz, gdy będzie chciał powiedzieć coś jakiemuś trampowi, zachował lepsze formy.

Widząc zaś, że powoli wraca do przytomności, zacząłem uciekać przez pola, wiedząc dobrze, że jeśli bym szedł gościńcem, znalazłbym się wkrótce w areszcie, bo taki typek nie omieszkałby zrobić z tego grandy.

Biegłem tak dłuższy czas, przekradając się przez płoty i przeskakując rowy, wciskając się między szczeliny parkanów oraz depcząc przez zaorane pola, aż wreszcie po dwóch godzinach doszedłem do jakiegoś folwarku. Wtedy zakradłem się do stodoły i usnąłem na słomie w rogu stajni.



## ROZDZIAŁ XIX.

PRZYJAŹŃ Z RODZINĄ FERMERA. — NOWE ŻYCIE. — DORIS.

Na drugi dzień rano obudziłem się słysząc skrzypnięcie drzwi, a kiedy zerwałem się z mego słomianego łóża, wesóły głos dziewczęcy zawołał:

— Dzień dobry!

Jednocześnie zobaczyłem przed sobą śliczną wiejską dziewczynę o ciemnobrązowych oczach, ciemnych, lekko falujących się włosach i przyjaznym uśmiechu. Nie wiedząc, co odpowiedzieć na to nieoczekiwane pozdrowienie, wytrzeszczyłem oczy, uśmiechając się przy tym głupawo, ona zaś śmiejąc się zapytała:

— Dobrze ci się spało tej nocy?

— Dziękuję panience — odpowiedziałem zawstydzony, że tak ładna dziewczyna znalazła mnie w takiej sytuacji. Wy tłumaczyłem jej, że ponieważ byłem bardzo zmęczony, postanowiłem przespać się w przydrożnej stodole, ale że ją za to przepraszam, bo czuję, że nie powinienem był tego zrobić.

— Głupstwo — rzekła dziewczyna — nic nie szkodzi. A może chciałbyś coś zjeść? Jestem pewna, że musisz być głodny?

— Jestem głodny i chętnie bym zjadł śniada-

nie, panienko. Nie mam jednak odwagi o cokolwiek prosić.

— Wiem, że tatuś nie pozwoli ci odejść bez śniadania. U nas każdy zawsze coś dostanie.

Widząc zaś, że się waham, dodała:

— Wpierw chciałabym tylko nakarmić konie i krowy, a potem zaprowadzę cię do domu.

Tyle było uroku w tej dziewczynie, że przez chwilę zapomniałem języka w gębie, wreszcie zdobywszy się na odwagę rzekłem:

— Czy pozwoli mi panienka pomóc sobie w karmieniu bydła?

— Przywykłam do tej roboty, ale jeśli koniecznie chcesz mi pomóc, to proszę.

Poszedłem więc za nią i pomogłem jej nakarmić krowy i konie. Chodząc od jednego do drugiego, mówiła do tych bydłał jak do ludzi, wołając je po imieniu, a kiedy już wszystkie dostały swoje siano, rzekła do mnie:

— Tak, teraz sami możemy pójść na śniadanie.

Pobiegła przede mną, skacząc i śpiewając, podczas gdy czarne jej włosy tańczyły swobodnie na jej ramionach. Kiedy zbliżaliśmy się do domu, psy wybiegły na nasze spotkanie, kiedy mnie jednak zobaczyły, zaczęły szczekać wymachując ogonami. Dziewczyna jednak przywołała je do siebie i weszła do domu, a psy za nią.

Na progu domu stał człowiek, lat około czterdziestu, tęgi i rudawy, typowy John Bull. Uśmiechnął się przyjaźnie na mój widok i rzekł:

— Dzień dobry. — Zaprowadził mnie do mieszkania i wskazał miednicę. Umyłem się więc i wycze-

sałem słomę z moich włosów. Zapytałem się też, czy mogę się ogolić, i powiedziałem mu, że mam własną zyletkę.

Skoro się trochę oczyściłem, zaproszono mnie do kuchni, gdzie już stał stół nakryty do śniadania. Posadzono mnie naprzeciw córki fermera, z jednej strony stołu usiadł fermer a po drugiej — jego żona. Postawiono przede mną miskę dymiącej kaszki, a ponieważ byłem piekielnie głodny, zapomniałem o dobrych manierach, i tak się częstowałem cukrem i śmietaną, że wreszcie zauważyłem, że moi gospodarze spuścili na ten widok głowy. Opamiętałem się w jednej chwili. Rzeczywiście, tak się zawstydziłem mego łakomstwa, że nie wiedziałem, gdzie spojrzeć. Oni wszakże, zauważywszy to, natychmiast wznowili rozmowę, jak gdyby nigdy nic. Byłem szczerze wzruszony ich dobrocią i gościnnością, tym bardziej że przez delikatność nie pytali mnie o nic i nie żądali żadnych wyjaśnień.

Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, o pogodzie, o zbiorach, o pięknie przyrody, a cała ich rozmowa tchnęła dziwną czystością i prostotą. Kiedy zjadłem moją kaszkę, dostałem dwa ugotowane jajka, chleb, masło oraz szklanekę mleka. Zajadając te pyszności, zauważyłem zdanie, wypisane srebrnymi literami na czerwonej ścianie: „Chrystus jest Panem tego domu, jest Niewidzialnym Gościem przy każdym posiłku i Milczącym Świadkiem każdej rozmowy“.

Zobaczyłem też ogromną biblię rodzinną rozłożoną na stoliku i z prawdziwą ulgą wdychałem w siebie tę atmosferę szczególnej czystości, jaka panowała w tym domu. Nie miałem odwagi patrzeć

w oczy dziewczyny, mimo woli jednak wzrok mój spotkał się z jej wzrokiem; przypatrywała mi się bowiem z całą niewinnością. A kiedy uśmiechnęła się do mnie swym jasnym uśmiechem, miałem przez chwilę wrażenie, że jestem kupką gnoju na klombie lili. Wreszcie po śniadaniu wszyscy troje pochylili głowy, a tym razem poszedłem i ja za ich przykładem. Po pewnej chwili dopiero zauważyłem, że ciągle jeszcze siedzę z pochyloną głową, podczas gdy tamci wstali i patrzyli na mnie. Gospodarz rzekł:

— Cieszę się, synu, widząc, że dziękujesz Bogu za dary Jego. Jesteś pierwszym obcym przybyszem, który się modli.

— To nie to — odparłem, nieco zawstydzony — przecież to mnie nic nie kosztuje pomodlić się i okazać moją wdzięczność. Proszę nie myśleć, że często się modłę, ale dziś jakoś przyszło to tak samo od siebie. Widząc was modlących się, poczułem się wielkim grzesznikiem.

— Bóg z tobą, synu — odpowiedział gospodarz.

Po chwili gospodyni powstała od stołu, a za jej przykładem poszła córka. Podczas gdy gospodarz rozmawiał ze mną, obie kobiety sprzątnęły naczynie ze stołu. Po krótkiej rozmowie gospodarz zapytał mnie, czy nie szukam pracy. Powiedział, że nie jest wprawdzie bogatym, ale płaciłby mi tyle, że miałbym za co sobie kupić ubranie, a poza tym dałby mi jeszcze utrzymanie. Odpowiedziałem mu na to, że chętnie bym został, ale że nie czuję się godnym tej dobroci.

— Wszyscy jesteśmy pełni grzechu i ułomności — odpowiedział i jął mi tłumaczyć, że tylko przez trzymanie się prawd Bożych możemy wieść

chrześcijańskie życie i że wszystkie sprawy nasze są w rękach Boga. Dodał jeszcze, że Pan Bóg nie odmawia nigdy Swej łaski tym, którzy chcą słuchać Jego przykazań i którzy zawsze mają Go w pamięci.

Kiedy tak do mnie mówił, zrozumiałem, że oto znajduję się w otoczeniu, tak odmiennym od środowisk, w jakich dotychczas się obracałem, że postanowiłem zostać i dla niego pracować.

W tym moim nowym życiu czułem się nieopisanie szczęśliwym. Gospodarz nigdy mnie nie krytykował, lecz zawsze chwalił, co tylko robiłem. Miałem ładny, porządnie urządzone pokój z wygodnym łóżkiem. Po kilku tygodniach tego życia zmieniłem się nie do poznania. Czułem się zdrowszy, silniejszy i szczęśliwszy. Tak lekko mi było na sercu jak nigdy przedtem. A moja przyjaźń z Doris — tak było na imię córce farmera — napełniała mnie uczuciem, jakiego nigdy jeszcze nie zaznałem. Często pracowaliśmy razem i zauważyłem ze zdziwieniem, że robię rzeczy, których przedtem nie robiłem. Przestałem palić, oduczyłem się kłać i starałem się ciągle oddawać drobne posługi jej i jej rodzicom. Nie było rzeczy, która by mnie nie zajmowała. W niedzielę chodziłem z nimi do kościoła i odbywałem często dalekie przechadzki z Doris, która tak była nieświadomą zła, jakie panuje w świecie, że wstydzilem się po prostu siebie, kiedy z nią rozmawiałem.

Którejś soboty Doris poszła na kilka dni do swoich znajomych. W czasie jej nieobecności dziwiłem się zmianie, jaka we mnie zaszła. Czułem się nagle dziwnie samotny i opuszczony. Nie byłem

w stanie pracować, bo ciągle tylko o niej myślałem; było to dziwne uczucie. Nie była to niska namietność, bo mój szacunek był dla niej tak wielki, że nie śmiałem nawet myśleć o niej w sposób niktowski. Po prostu nie rozumiałem, co się stało. Przecież z niejednego pieca jadłem już chleb, żyłem z różnymi kobietami, znałem życie na wylot, a tu nagle nie mogłem oderwać swych myśli od Doris.

Po kilku dniach tęsknoty i żalu, ucieszyłem się szczerze widząc, jak z daleka idzie przez pola swym lekkim, tanecznym krokiem. Wybiegłem więc naprzeciw niej i spotkaliśmy się przy furtce ogrodu. Zdziwiłem się zaś, kiedy na mój widok wyciągnęła obie ręce i serdecznie uściśnęła moje wyciągnięte dłonie. To mnie tak onieśmieliło, że nie miałem odwagi na nią spojrzeć. Kiedy zaś spojrzałem w jej duże piwne oczy, miałem wrażenie, że usta jej rozchylają się jak do pocałunku. Momentalnie opuściłem jej ręce. Zaczzerwieniła się.

— Tak mi jakoś głupio, że cię znowu widzę — rzekła.

Wróciliśmy do domu, gdzie przywitała się z rodzicami. Kiedy jednak siedliśmy do wieczerzy, nie miałem odwagi patrzeć na nią ani z nią rozmawiać, a jednocześnie zauważyłem, że i ona unika mego wzroku.

W pewnym momencie ojciec jej rzekł:

— Jack podczas twojej nieobecności był jak odmieniony.

Doris podniosła oczy i rzekła:

— Nie dokuczaj, tatusiu.

Rozmowa zesłała na inne tory, ale mimo to ciągle

czułem się nieswój, a kiedy po południu pracowałem w polu, myślałem ciągle o naszym spotkaniu przy furgonce.

Czyżby ona naprawdę chciała mnie pocałować? — pytałem się bezustannie. Ale na to odpowiadałem sobie: nie bądź głupi, idioto! Gdzieżby też taka dziewczyna jak Doris mogła mieć ochotę pocałować takiego jak ty draba!

Nie mogłem zapomnieć, że byłem bezdomnym włóczęgą i że zadawałem się z najróżnorodniejszą hołotą.

Po herbacie poszedłem do pokoju przebrać się, chciałem bowiem iść na przechadzkę. Przebierając się, zastanawiałem się, co ojciec jej miał na myśli mówiąc, że w czasie jej nieobecności byłem jak odmieniony. Czy chciał przez to powiedzieć, że gorzej pracowałem? Przypomniałem sobie jednak, że przecież nie dawniej jak wczoraj powiedział mi, że nie miał nigdy lepszego ode mnie robotnika. Wreszcie przestałem się głowić nad znaczeniem jego słów. Schodząc na dół, przyszło mi na myśl, że może chciał mi dać do zrozumienia, że za dużo zajmuję się jego córką. Ale już po chwili odsunąłem od siebie tę myśl, a przechodząc koło kuchni, zobaczyłem Doris, wkładającą kapelusz.

— Wybierasz się na spacer? — zapytałem.

— Tak — odparła. — Tatuś i mamusia idą do babci w odwiedziny, więc powiedziałam im, że pójdę z tobą na spacer.

Powiedziała to tak naturalnie, że w żaden sposób nie mogłem jej powiedzieć, że chciałbym dziś pójść sam. Wyszliśmy więc z domu razem, zabiera-

jąc psy. W czasie przechadzki wszakże zauważyłem, że rozmowa jakoś się nie klei. Spotkawszy zaś po drodze naszych sąsiadów spostrzegłem, że uśmiechają się znacząco oraz przyglądają nam się baczniej, niż to dawniej bywało. Szliśmy jeszcze dłuższy czas w milczeniu, wreszcie w drodze powrotnej rzekłem:

— Powiedz mi, Doris, co to miało znaczyć, gdy ojciec twój powiedział, że w czasie twojej nieobecności byłem jak odmieniony? — Doris jednak za całą odpowiedź uśmiechnęła się słodko.

Zbliżając się ku domowi spostrzegłem, że mimo woli przysuwamy się do siebie coraz bardziej, a wreszcie ramiona nasze zetknęły się. I nie wiem, jak to się stało, że w pewnej chwili chwyciłem ją w ramiona i zacząłem ją całować, zaś ona oddawała mi pocałunki, zarzuciwszy mi ramiona na szyję. I gdy tak tuliła się do mnie przymykając oczy, rzekłem:

— Doris, kocham cię szczerze, prawdziwie!

— Ja także cię kocham — odparła odwracając oczy.

Puściłem ją i wróciliśmy do domu. Nie powiedzieliśmy już sobie ani jednego słowa, tylko szliśmy tak przez pola, trzymając się za ręce, z oczami utkwionymi w ziemię.

Tej nocy leżąc w moim łóżku, miałem wrażenie, że popełniłem najcięższą zbrodnię przez to, że zbezcześciłem dom ludzi, którzy byli dla mnie wszystkim. W rozpacz mojej płakałem i krzyczałem ze wstydu na myśl, że ośmieliłem się — ja, łazik, bezdomny przybłąda — zawrócić głowę dziewczynie



tak czystej i niewinnej jak Doris. Kiedy jednak przypomniałem sobie jej wyznanie miłosne oraz jej pocałunek, myślałem, że serce mi pęknie. Co miałem zrobić? Wreszcie pewna myśl przysłała mi do głowy, i chociaż z ciężkim sercem, postanowiłem ją wykonać.

Napisałem dwa listy, jeden do Doris, a drugi do jej ojca, w których starałem się wytłumaczyć, że chociaż to był tylko jeden pocałunek, nie mógłbym dłużej zostać i obecnością swoją zakłócać spokój ludziom, którzy tyle okazali mi serca. Napisawszy te listy spakowałem swoje manatki i wyszedłem w ciemną noc, czując się tak nieszczęśliwy jak nigdy jeszcze. Nie zapomnę nigdy strasznej rozpacz, jaka targała moje serce tego wieczoru, i długo jeszcze nie mogłem się uspokoić na myśl o tym, co zrobiłem.

## ROZDZIAŁ XX.

W GÓRACH SZKOCJI. — ŻYCIE W LASACH. — ŚPIEWAM  
W THURSO.

Wędrowałem tak dniami i nocami wzdłuż gościńców i polnych dróg, aż wreszcie przemołem swoje zmartwienie. Po kilku miesiącach koczowniczego życia, w czasie którego utrzymywałem się z żebraniny lub śpiewaniem na ulicach i sprzedażem koronek i lawendy na placach targowych, śpiąc raz pod płotami, to znów w domach noclegowych czy nawet w tymczasowych przytułkach, stodołach i stogach siana, doszedłem wreszcie w górzyste pustkowia Szkocji. Idąc z Dundreggan do Invershiel postanowiłem skrócić sobie drogę i poprzez okoliczne wzgórza pójść dalej na północ. Miałem ze sobą kilka map, kompas oraz nóż do polowania, zaś w mojej torbie niosłem herbatę, cukier i kociołek, puszkę kondensowanego mleka, chleb, mąkę jęczmienną, masło, nóż, widelec i łyżkę, wreszcie grzebień, żyletkę oraz większą ilość papierosów. Tak dobrze zaprowiantowany zeszedłem z gościńca koło Loch Clauning i wszedłem się w góry, w kierunku Achanalt.

Pierwszy dzień, który spędziłem wśród dzikich skał, w gąszczu olbrzymich paproci i wrzosowisk,

czułem się bardzo szczęśliwy. Przypatrywałem się sarnom, pasącym się na stokach, i płoszyłem głuszczyki ukryte w gęstwinie drzew. Powietrze było czyste i orzeźwiające, zaś głucha cisza, jaka mnie otaczała, kołała moje nerwy. Któregoś dnia wdrapałem się nawet na szczyt Scurr. Długo rozkoszowałem się cudownym widokiem, jaki roztaczał się wkoło mnie, i dumny byłem, że podziwiać mogę piękno przyrody, nie skażonej ręką ludzką. Tej nocy spałem na szczycie góry i zdawało mi się, że skoro tam w dolinie wszystko pogrążone było w ciemności, szczyt góry, na której spałem, oświetlony był całą noc. Zasnąłem na chwilę, a kiedy się obudziłem, była ciągle jeszcze noc. Leżąc na wznak patrzyłem się w gwiazdy na niebie i czułem się małym nędznym robakiem, zgubionym w ogromie wszechświata. Żaden dźwięk mnie nie dolatywał, cisza była zupełna. Tylko gwiazdy migotały wysoko na spokojnym sklepieniu nieba, zaś sam leżałem wysoko nad otaczającym mnie światem i ponownie zasnąłem. W życiu moim nie spałem tak spokojnie. Kiedy rano się obudziłem i ujrzałem nowy dzień, napelniający świat nową jasnością, zerwałem się z radosnym uczuciem szczęścia i zdziwienia. Wstałem, przeciągnąłem się i rozglądałem za miejscem, gdziebym mógł przygotować śniadanie. Pokręciłem się trochę tu i tam, aż znalazłem małe skalne źródło, które było dość duże, aby w nim się wykąpać. Ściągnąłem więc swoje ubranie i wykąpałem się. Boże! cóż to za cudowne uczucie kąpać się nago w zimnej górskiej wodzie, gdy wiatr smagał mi ciało! Przeciągałem się rozkosznie w wodzie, wiedząc, że nikt mnie

nie podgląda. Wreszcie wyskoczyłem na ziemię, ale żał mi było już się ubrać, więc gonilem na golasa po skałach sterczących dokoła i dopiero kiedy czułem, że ciało mnie pali, a płuca moje, odświeżone ostrym powietrzem, pracują jak miechy, ubrałem się i ugotowałem śniadanie, które składało się z mąki owsianej, chleba i herbaty.

Po śniadaniu postanowiłem zająć się czymś, bo nie chciało mi się jeszcze stąd ruszyć. Postanowiłem więc zatrzymać się w tym miejscu przez kilka dni i w tym celu zabrałem się do budowania skromnego szałas z kamieni, a kiedy go skończyłem, miałem wrażenie, że podobny jest do chaty Eskimosa. Zrobiłem sobie posłanie z wrzosów, zaś szczeliny i dziury wyłożyłem torfem, po czym położyłem się i wyobrażałem sobie, że jestem królem i że cały świat do mnie należy.

Tak żyłem dłuższy czas. W strumykach górskich łowiłem ryby, używając kawałka zagiętego drutu zamiast haczyka i starej skarpetki zamiast linki. Wyłowiłem kilka małych piegowatych pstrągów, które smakowały świetnie, kiedy je sobie upiekłem na kawałku skały, obłożywszy je wpierw żarzoną torfem. Kapałem się w źródłach, ukrytych między skałami, oraz w strumykach, wśród zagłębień skalnych, a kiedy było bardzo gorąco, rozbierałem się i chodziłem nago. Gonilem sarny, ciskając w nie kamieniami, a nawet udało mi się zabić głuszca, rzucając w niego ostrym ułamkiem skały, w chwili, kiedy całą gromadą przelatywały nade mną. Usmażyłem go sobie na ogniu rozpalonym z torfu, piekąc go na drucie, zamiast różna. Przez szereg dni żyłem sobie

jak król, a często w nocy, leżąc pod roziskrzoną kopułą nieba, zastanawiałem się, co by też ta hołota tam na dole — powiedziała, gdyby zobaczyła, jak teraz żyję. Mało jednak dbałem o ich sądy, bo wiedziałem, że spokojne i skromne życie, jakie wiodłem teraz, zgodnie z prawami przyrody i w całkowitym spokoju ducha, więcej było warte od wszystkich skarbów świata.

Żyjąc tak całkowicie oderwany od cywilizacji, zapuściłem włosy i brodę, ponieważ uważałem, że tego wymaga przyroda. Kiedy deszcz padał, zdejmowałem ubranie i chowając je pod skały i nakrywając wrzosem, kładłem się na ziemi pozwalając deszczowi chłostać moje plecy. Taki naturalny prysznic miał wiele uroku, a im mocniej siekł mnie deszcz, tym lepiej się czułem. Potem zaś, chcąc się obmyć z błota, jakie do mnie się przyklepiło, szedłem się wykapać w strumyku.

Mijały tygodnie, a ja ciągle żyłem samotnie wśród dzikiej skalnej przyrody. Włosy moje stawały się coraz dłuższe, aż wreszcie zaczęły mi spadać na ramiona. Po drodze spotykałem mnóstwo szkieletów sarnich, białych jak kreda. Często spotykałem też stada jeleni, a wtedy puszczałem się w pogon za nimi, mając nadzieję, że uda mi się któregoś złapać. Pewnego dnia, pędząc tak pod wiatr za stadem jeleni, uciekających przede mną, udało mi się podejść do nich bardzo blisko, bojąc się jednak, aby ich nie spłoszyć, schowałem się za skałę i poczekałem, aż wrócą, aby popaść się na stokach. Nie spuszczałem z nich oka, aż wreszcie zobaczyłem, że są tuż — tuż. Było ich może trzydzieści do czterdziestu sztuk, ale

rozprószyły się na znacznej przestrzeni. Parę kroków ode mnie przybliżył się młody jeleni, toteż jednym susem podskoczyłem do niego i schwyciłem za szyję. Przestraszone zwierzę wyrwało się z mych objęć, wtedy chwyciłem je za tylną nogę. Wyrывая się znowu, jeleni pociągnął mnie za sobą spory kawał. Tymczasem reszta stada w popłochu zaczęła uciekać. Wreszcie udało mi się uchwycić oburącz jego nogę, a potem oparłem się nogami o skałę, aby więcej mieć siły. Zwierzę wyrwało się i szamotało z wszystkich sił, kopiąc drugą wolną nogą — wreszcie zmęczone upadło. Wtedy bez namysłu rzuciłem się na nie i przygniatając je swoim ciężarem, ścisnąłem mu gardło. Chociaż jeleni ten był zaledwie wielkości kozicy, przecież niemało się namęczyłem tym szamotaniem. Wreszcie udało mi się ścisnąć go za gardło tak mocno, że bronił się jeszcze tylko krótką chwilę, aż wreszcie uspokoił się całkowicie. Stwierdziłem, że go udusiłem. Wyciągnąłem więc mój nóż myśliwski i odciąłem mu głowę. Przyznaję, że była to paskudna robota i robiłem to ze wstrętem, ale trudno — musiałem przecież z czego żyć. Powiedziałem sobie, że takie jest prawo natury.

Wypatroszyłem więc mojego jelenia i pokrajałem w kawałki, które następnie chciałem usmażyć. Najpierw położyłem mięso do wody i obłożyłem je kamieniami, tak aby go woda nie porwała. Mięso tego zwierzęcia wystarczyło mi na parę dni, a wreszcie kiedy zjadłem ostatni kęs, postanowiłem ruszyć dalej w głąb gór. W międzyczasie stałem się prawdziwym dzikoludem, żyjącym surowym, pierwotnym życiem, i chociaż nie miałem żadnego towarzystwa prócz pta-

ków, skał, gór, jeleni, ryb, wody, wrzosów, słońca, gwiazd, księżycy, deszczów i wiatrów, byłem tak szczęśliwy jak nigdy.

Któregoś dnia, wędrując wzdłuż doliny, doszedłem do małego szałasu zbudowanego z kamieni i pokrytego kawałkami powyginanej blachy. W szałasie tym mieszkał pasterz. Psy jego wybiegły z daleka na moje spotkanie, a on sam wyszedł przed drzwi, zaprosił mnie do środka i nakarmił. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach i dowiedziałem się, że raz na miesiąc zjeżdża na dół na swoim kucyku po żywność. Jego kucyk pasł się opodal nas, na zboczach góry. Pasterz ten, z długimi włosami i długą brodą, miał na sobie nędzne, bardzo połatane ubranie, tylko buty jego były grube i mocne, jak buty żołnierza. Robił na mnie wrażenie dziwnego człowieka, kiedy tak siedział, patrząc przed siebie pustym wzrokiem, ale w jego bladoniebieskich oczach było dużo łagodności i słodyczy. Kiedy zaś zaczął mi opowiadać o swoim dzieciństwie, zauważyłem, że dnie te wspomina z wielką czułością.

Powiedział mi, że urodził się i wychował w górach i że nigdy poza nie nie wyszedł. Wszystkie góry wokół znał po imieniu i objaśniał mi ich granice, i chociaż mówił dziwną angielszczyzną, mogłem go zrozumieć. Okazało się, że mówi językiem gaelickim i że w ogóle rzadko kiedy miał sposobność z kimś rozmawiać. Sam sobie wypiekał chleb i żywił się owsianką i rybami, a czasem zabił sobie po prostu owcę ze swojego stada. Owce znały go dobrze, a psy były najlepszymi jego przyjaciółmi. Zacząłem mu opowiadać o moich podróżach w róż-

nych stronach świata i różnych moich przygodach. Opowiadałem mu również o samochodach, tramwajach, autobusach i kinach, o radiu i świetle elektrycznym, a gdy mu powiedziałem, że kiedy się chce zaświecić światło, wystarczy nacisnąć guzik i że nie potrzeba do tego nawet zapalki, potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Mieszkałem u niego przez kilka dni. Ilekroć jednak chciałem odejść, zawsze prosił, abym się jeszcze zatrzymał. Z tego też powodu zostałem u niego dłużej, niż zamierzałem. Siedząc nad strumykiem i łowiąc ryby opowiadał mi różne stare legendy oraz wspominał walki, jakie w zamierzchłych czasach członkowie jego klanu staczali z innymi klanami. W ten sposób spędziliśmy szereg szczęśliwych dni, tak że z wielkim żalem musiałem się z nim rozstać. Pasterz wskazał mi najbliższą drogę do Achanalt, i wreszcie po kilku dniach wędrówki wśród gór, znalazłem się na równinie.

Wyobrażam sobie, że musiałem wyglądać dość dziwnie, bo różni turyści zatrzymywali się, aby porozmawiać ze mną, fotografowali mnie nawet i dawali papierosy i pieniądze. Po kilkudniowej wędrówce znudziło mi się takie łązenie gościńcem, postanowiłem więc ruszyć w góry. Po drodze trochę kupiłem, trochę uzbierałem sobie zapasów żywności i postanowiłem dotrzeć do Kinbrace. Znowu zaszyłem się we wrzosowiska, wspinając się na strome pagórki, łowiąc ryby, kąpiąc się w źródłach i strumykach, polując ptactwo, aż wreszcie dotarłem do Kinbrace. Tutaj uzbierałem sobie nowe prowianty, po czym szedłem gościńcem do Forsinat, skąd dotarłem



do toru kolejowego do Altnabreac. W nocy spałem w budkach strażników, rozpalając sobie ognisko z węgla, jaki znalazłem na torze. Wędrując tak trzy dni i trzy noce wzdłuż toru i żebrząc po domach dozorców kolejowych, doszedłem wreszcie do Hay Station, a stamtąd głównym gościńcem do Thurso, z długą brodą i włosami spadającymi na ramiona. Poszedłem na najbliższy posterunek policji i zapytałem o nocleg. Powiedziałem im, jak się nazywam, i wytłumaczyłem, że żyłem w górach, gdzie pasłem owce. Policjant dał mi adres domu noclegowego, lecz obliczyłem, że za dużo by mnie to kosztowało. Wobec tego zwróciłem się do jakiegoś starego rybaka, który stał oparty o balustradę pałac fajkę, i zapytałem, czy nie wie o jakimś tańszym noclegu. Na to mi odpowiedział, że zna pewnego człowieka, imieniem Jonny, który mieszka w hotelu „Kaledonia“ i który za szylinga da mi nocleg. To mnie zdziwiło, kiedy jednak zobaczyłem ów hotel, stwierdziłem, że jest to stara rudera, która chyba w zamierzchłych czasach mogła uchodzić za hotel! Kiedy wszedłem do brudnej sieni, zobaczyłem jakieś bachory bawiące się na schodach, na poręczach wisiała mokra bielizna, zaś na drugim piętrze stały dwie kobiety, plotkując zawzięcie. Zapytałem więc, czy nie mieszka tu przypadkiem niejaki Jonny, na co odpowiedziały mi, że „tak, w górnym pokoju“.

Wygramoliłem się więc na ostatnie piętro i zapukałem do drzwi. Jonny sam mi otworzył, zapytałem go, czy przyjmuje podróżnych. Zmierzył mnie od stóp do głów i rzekł:

— Owszem.

Poprosił mnie do środka i powiedział, że nocleg kosztuje sześć pensów.

Jonny był bardzo sympatycznym, dobrodusznym i zabawnym człowiekiem. Z zawodu był rybakiem i mnóstwo miał przygód. Opowiadał mi o swoich awanturach miłosnych z dziewczętami, które spotykał rokrocznie w Yarmouth, w czasie połowu śledzi. Wprawdzie musiał mieć co najmniej ze czterdzieści lat, ale widać wyobrażał sobie, że może jeszcze zdobywać z łatwością serca niewieście. Z tego, co mi opowiedział, wywnioskowałem, że rokrocznie zostawiał w porcie jakąś nieszczęśliwą ofiarę, która z utęsknieniem czekała jego powrotu na okres połowu śledzi.

Pierwsza rzecz, którą postanowiłem zrobić, było pójść do fryzjera, aby ogolić się i ostrzyć. Kiedy wszedłem do fryzjerni i poprosiłem o golenie i strzyżenie, fryzjer roześmiał się na głos, myśląc, że żartuję. Kiedy jednak usiadłem w krzesło, przekonał się, że nie żartuję. Ostrzygł mnie więc i ogolił, potem rzekł:

— Gdybym sam nie był cię ostrzygł i ogolił, nie byłbym cię poznał. Nie wyglądasz na więcej, jak na dwadzieścia trzy lat.

— A pan myślał, że mam ile? — zapytałem go.

— Kiedy zażądałeś, abym cię ostrzygł i ogolił — odparł — myślałem, że jesteś dzikoludem, który z gór tu przywędrował na jeden dzień, i że na kpiny zabląkałeś się do mojego sklepu.

Porozmawialiśmy jeszcze chwilkę, a kiedy mu powiedziałem, z czego żyję, nie chciał wziąć żadnego

wynagrodzenia. Wróciłem więc do hotelu. Kiedy jednak Jonny mnie zobaczył, rzekł:

— Bardzo mi przykro, ale nie mogę pana przyjąć. Wszystkie pokoje mam zajęte, a ostatniego gościa przyjąłem dziś po południu.

— Przecież z góry zapłaciłem za łóżko, zanim wyszedłem do miasta! — odparłem.

Jonny spojrział na mnie ze zdziwieniem i zawołał:

— Jak babcię kocham! nie byłbym cię poznał! Teraz, kiedy zgoliłeś brodę i przystrzygłeś włosy, wyglądasz i młodo i jakoś do ludzi podobny.

Śmiejąc się usiedliśmy do herbaty, za którą Jonny nie zażądał zapłaty. Opowiedział mi przy tym mnóstwo ciekawych historii. Powiedział mi również o swoich spostrzeżeniach, jakie robił na ludziach, którzy do niego zajeżdżali. Byli to przeważnie domokrażcy. Zapytałem go, czy wielu jest grajków ulicznych w tym mieście, na co odpowiedział, że niedużo. Powiedziałem mu wtedy, że chętnie zarobiłbym sobie parę grosików i że może bym tak spróbował szczęścia.

— Myślę, że ci się poszczęści w sobotę wieczór, bo wtedy wszyscy fermerzy przychodzą do miasta; ale mógłbyś zarobić jeszcze i dzisiaj. Może wyjdiesz?

— Klawo! — rzekłem — zobaczę, czy mi się uda. A jeśli sobie zarobię, to zostanę u was kilka dni.

— Myślę, że będziesz miał powodzenie — odpowiedział — tutejsza ludność lubi Anglików.

Zapytałem więc mojego gospodarza, czy nie ma

przypadkiem tektury, abym mógł sobie zrobić megafon. Rzeczywiście poszukał i znalazł spory kawał, z którego zaraz zrobiłem sobie trąbę. Wyszedłem na ulicę i zacząłem ryczeć przez megafon. Hałas, jaki robiłem, poruszył miasteczko. Po pewnym czasie zacząłem zbierać pieniądze, i po kilku godzinach takiego ryczenia ze zdziwieniem zauważyłem, że uzbierałem osiemnaście szylingów! Kiedy wróciłem do hotelu, powiedziałem Jonnemu, jak mi się powiodło, a on oświadczył:

— Będziesz musiał jutro powtórzyć to śpiewanie. Widzę, żeś szturmem zdobył miasto.

Roześmiałem się i przykładając trąbę do ust, zacząłem na nowo się wydzierać ku wielkiej radości gospodarza i lokatorów z dołu, którzy przylecieli na górę i, pukając do drzwi, zapytali, czy nie szykuje się jaka biba. Kiedy jednak Jonny oświadczył im, że nie ma whisky na poczęstunek, obrazili się i wrócili na dół, stąpając przy tym tak ciężko, że myślałem, że schody pod nimi się zawalą.

Po kolacji znowu zaczęliśmy gadać i tak gadaliśmy aż do świtu. Na drugi dzień znów poszedłem śpiewać, a ponieważ już miałem wielkie powodzenie, powiedziałem sobie, że będę śpiewał na rogu każdej ulicy miasteczka. Pieniądze sypały mi się ze wszystkich stron, tak że w końcu musiałem sobie otworzyć konto w Pocztowej Kasie Oszczędności, a przy końcu trzeciego tygodnia, miałem już na rachunku jedenaście funtów. Jonny namawiał mnie, abym jeszcze został, a kiedy wychodziłem na ulicę, wszyscy przyjaźnie kiwali mi głową, bo już wszyscy mnie znali.

Obśpiewawszy w ten sposób wszystkie ulice postanowiłem z kolei zostać domokrażcą i chodziłem od domu do domu, sprzedając najpierw mydło, potem lawendę, ale to jakoś nie szło. Poskarżyłem się więc Jonnemu.

— Może byś na nowo spróbował śpiewać. Zdaje mi się tylko, że tym razem mniej ci się powiedzie, bo ludzie tutejsi już cię znają — rzekł.

— Możebym tak spróbował grać na harmonijce? — rzekłem. — Może im się to spodoba?

Wyszedłem więc na drugi dzień na ulicę i zacząłem grać na harmonijce, śpiewając od czasu do czasu jakąś piosnkę przez megafon. Ponieważ jednak ciężka to była praca, a zarobek dzienny nie przekraczał nigdy dziesięciu szylingów, więc dałem temu spokój.

Powiedziałem sobie, że nie mam już co robić w tej dziurze, gdyż znudziłem się widać mieszkańcom. Poszedłem więc do Pocztovej Kasy Oszczędności i podjąłem pieniądze, kupując za nie ubranie i buty. Pożegnałem się z Jonnym i opuszczałem Thurso, mając w kieszeni siedem funtów. Pieniądze te wszakże szybko się rozeszły, ponieważ nie wypadało mi zebrać, kiedy byłem przyzwoicie ubrany i miałem przy sobie jakieś grosze. Zatrzymałem się więc jeszcze w John Groat's i zaglądnawszy do obydwu hotelików, jakie tam się znajdowały, skierowałem się na południe, z powrotem do Londynu.

## ROZDZIAŁ XXI.

### HANDLARKA STARZYŃNĄ. — NA GOŚCIŃCU.

Przechodziłem kolejno przez różne miasta, aż wreszcie doszedłem do miejscowości zwanej Brora. Ponieważ znów byłem bez grosza, więc sypiałem, gdzie się dało: w norach borsuczych, suszarniach lub cegielniach przydrożnych, mając za towarzyszy rozmaitych kotlarzy, Cyganów i szmaciarzy. Tego wieczoru spaliliśmy wszyscy pod jednym dachem — a za schronienie służył nam piec do wypalania, podobny w kształcie do olbrzymiej chaty Eskimosa, z mnóstwem małych drzwiczek dookoła. Ktoś rozpałił ognisko w samym środku, ponieważ jednak dym wydobywał się tylko małymi drzwiczkami, przeto powietrze stawało się coraz bardziej duszne. Całe to towarzystwo podzielone było na pięć rodzin, nie licząc dzieci i starców. Wszyscy położyli się pokodem dokoła ścian cegielni, starsze kobiety paliły gliniane fajki, a mężczyźni zuli tytoń lub palili papierosy. Klęli przy tym siarczyście, a denaturat buchał od nich na odległość stu kroków. Jakaś stara wiedźma poczęstowała mnie flaszką, lecz miałem dosyć samego zapachu, nie chcąc jej jednak obrazić, powiedziałem, że się z nią napiję trochę później, bo wpierw chciałbym coś zjeść. W jednej chwili go-

ścinnie ręce wyciągały się do mnie, częstując mnie czym kto mógł.

Ponieważ w moich dawnych wędrówkach spotykałem nieraz Cyganów, wiedziałem, w jaki sposób należy się z nimi obchodzić. Wiedziałem aż nadto dobrze, że naraziłbym się na wielkie niebezpieczeństwo, gdybym — nie daj Boże — z nimi się pokłócił. Toteż kiedy jedna z kobiet — młoda, czarnooka Cyganka, o lśniących czarnych włosach, upiętych w precle na uszach — zaczęła się do mnie przystawiać, robiłem co mogłem, aby jej nie obrazić. Zresztą nikt z obecnych mężczyzn nie zwracał na nas najmniejszej uwagi, poza tym różne pary oddawały się sobie z całym spokojem, nie kępując się obecnością drugich. Ciągłe częstowano mnie butelką, a ja ustawicznie musiałem się jakoś wymigiwać. Ponieważ miałem przy sobie papierosy, więc w krótkim czasie zdobyłem sobie sympatię tych ludzi. Moja czarnowłosa dziewczyna usiłowała na wszelkie sposoby namówić mnie do handlowania starzyzną, mówiąc, że jej na gwałt potrzeba współnika. Obiecałem jej, że będę tym współnikiem. Powiedziała również, że chciałyby koniecznie znaleźć sobie męża albo kochanka. I na to się zgodziłem. Potem pokazała mi swoje „skarby“, przechowywane w starym dużym koszu, i powiedziała mi, że jeśli jej się uda to wszystko sprzedać, to zarobi na tym dobre dziesięć funtów, ponieważ była to manchesterska tandeta, którą wszakże w tych stronach dobrze można było spieniężyć.

Ognisko powoli dogasało, tak że po pewnym czasie widać było w ciemności tylko jarzące się

ogarki oraz czerwone światła papierosów. Niektórzy usnęli już na dobre, chrapiąc głośno i przeciągle. Moja towarzyszka jednak nie miała ochoty do spania, wciąż gadając o szmatach, które chciała sprzedać, oraz o wspianiałych zarobkach, jakie nas czekały. Mówiła, że na najbliższym jarmarku kupimy sobie porządny wóz cygański i dobrego konia. Słyszając jej mowę byłby mógł kto pomyśleć, że jesteśmy małżeństwem. Istotnie, po jakimś czasie zmiarkowałem, że chciała, abym się z nią ożenił. Powiedziała mi też, że ma dziecko, które wszakże wychowywało się u innych Cyganów, gdzieś na północy. Wreszcie po różnych nieudanych próbach odczepienia się od niej, powiedziałem, że czas już spać, a ponieważ zbyt jest ciasno w miejscu, gdzie siedzimy, muszę poszukać sobie miejsca gdzie indziej. Kiedy jednak wstałem i przeszedłem na drugą stronę, dziewczyna porwała swój koszyk i poleciała za mną. Nie było więc innej rady jak położyć się koło niej. Cała ta przygoda napawała mnie nieopisanym wstretem i modliłem się w duchu, aby wreszcie usnęła. Ale gdzie tam! Usnęła dopiero, gdy ją zapewniłem, że ją kocham i że nie ma na świecie kobiety, która bardziej by mi się od niej podobała! Wiedziałem z doświadczenia, że gdybym jej otwarcie powiedział, co o niej myślę, byłbym niechybnie zakończył swój żywot w tej przydrożnej cegielni.

Spaliśmy w ubraniach, mimo to jednak ciało jej tak straszliwie cuchnęło, że przyprawiało mnie o mdłości. Nie mogłem jednak od niej się odsunąć, ponieważ chytre babsko, kładąc się przy mnie, okręciło kosmykiem swoich włosów guzik mojej mary-



narki, czego zupełnie nie spostrzegłem. Kiedy zaś zauważyłem ten jej manewr, przestraszyłem się nie na żarty. Było bowiem jasne, że przeklęte babsko zagięło sobie na mnie parol i że za wszelką cenę chciała mnie zmusić do uległości.

Byłem śmiertelnie zmęczony i długą wędrówką i nachałnością kobiet i dusznością powietrza, tak że szczęśliwy byłem, kiedy nareszcie mogłem zasnąć. Ale nocy tej nigdy nie zapomnę! Wstrętne Cyganka nie dawała mi spokoju. Ciągłe mnie pieściła, szturchała, śliniła, przezywając mnie raz pieszczotliwie, to znów mnie przeklinając, tak że w duszy ciągle sobie powtarzałem: „O Boże, cóżem takiego zrobił, żeby na to zasłużyć!“ Ale obawiając się jej zemsty musiałem w końcu zrobić to, czego ode mnie żądała.

Po tej okropnej nocy obudziłem się rano z uczuciem prawdziwej ulgi. Słońce stało już wysoko na niebie i w naszym obozie zawrzało jak w ulu. Moja czarnowłosa dręczycielka ugotowała mi śniadanie, które składało się z okrawków szynki, dwóch jaj, chleba z masłem oraz garnka herbaty. Służyła mi jak niewolnica, co jest zresztą w zwyczaju u tych ludzi. Przy śniadaniu zauważyłem, że kilka osób już wyszło, niosąc na ramieniu koszyki ze starzyzną. Toteż ledwo skończyłem śniadanie, rzekłem do mojej towarzyszki:

— Chodźmy, jak mamy iść.

Wtedy posłusznie wzięła swój koszyk i wyszliśmy na gościniec. Postanowiliśmy pójść do Golspie. Było to wprawdzie wszystko wbrew mojej woli, mimo to udawałem, że się zgadzam. Zauważyłem rów-

niez, że cała ta zgraja zaczyna się rozchodzić we wszystkich kierunkach. Przeklinałem swój los, który skazał mnie na towarzyszenie tej babie, tym bardziej że przyłączyło się do nas parę osób, które szły w tym samym kierunku. Rozmyślałem więc cały czas nad sposobem odczepienia się od tej bandy, nie chciałem jednak wywoływać awantury. Po pewnym czasie doszliśmy do dużego domu, stojącego przy drodze. Zwróciłem się więc do mojej przyszłej żony i rzekłem:

— Widzisz ten dom? — Może uda ci się tam coś zarobić?

Dziewczyna bez namysłu odebrała mi koszyk z ręki i poszła od razu pukać do oficyny tego domu. Kiedy zniknęła za węglem, skorzystałem ze sposobności. Od czasu, kiedy się z nią spotkałem, była to pierwsza możliwość ucieczki. Bez namysłu więc przeleciałem przez drogę i schowałem się za jakimś krzakami, które były w tej chwili moją jedyną deską ratunku. Patrząc poprzez gąszcz liści, widziałem dokładnie, co się dzieje na drodze. Widziałem więc, jak wyszła z domu i stanęła na gościńcu. Spojrzała najpierw na prawo, potem w lewo, wreszcie zaczęła wykrzykiwać na cały głos, oznajmiając światu, co myśli o współnikach-kochankach, oraz zapowiadając bez ogródek, co zrobi ze mną, jak mnie znów spotka. Ponieważ zaś ta perspektywa nie bardzo była ponętna, podziękowałem Bogu, że użyzył mi tego schronienia w postaci małych krzaczków. Potem widziałem, jak idzie dalej droga, pomstując i wykrzykując coś do siebie, i dopiero

kiedy głos jej zginął w oddali, odważyłem się wyjść z mojej kryjówki.

Nie uszedłem daleko, kiedy nadjechało auto, które zatrzymałem. Kierowca oświadczył mi, że jedzie do Inverness. Powiedział mi, że mogę się przysiąść. W Inverness znalazłem również kogoś, kto właśnie wyjeżdżał w południowym kierunku, i noc następną spędziłem pod gołym niebem. Na drugi dzień zaś, wędrując gościńcem, rozkoszowałem się spokojnym, pięknym krajobrazem i radowałem się ciszą i spokojem przyrody. W ten sposób doszedłem do brzegów Beaully Firth, a zauważywszy prom, poprosiłem, aby mnie przewieziono na drugi brzeg. Nieoczekiwane piękno tego krajobrazu tak mnie zachwyciło, że odczułem potrzebę wyrażenia w jakiś sposób swego zachwytu i wyjąwszy mapę, napisałem na odwrotnej stronie następujący wiersz:

#### NA POŻEGNANIE

Mieszkańcy gór dalekich,  
 Jasne wzgórza i ciche doliny,  
 Kraino jezior głębokich  
 I bystro płynących rzek:  
 Posłuchajcie mej opowieści,  
 Która może nie znudzi was:  
 O dniach radosnych i nocach cichych,  
 Jakie spędzam pośród was!  
 Me proste, nieuczzone słowa  
 Nie są w stanie powiedzieć wam,  
 Ile szczęścia, radości i słońca  
 Daliście mi! — Lecz cóż ja wam dam?  
 Na północ czy na południe,  
 Gdziekolwiek zwracam swój wzrok,  
 Nic mnie nie zwodzi obłudnie,

Więc chętnie bym tu został i rok...  
 W głębi śniegów płaty iskrzące  
 Zastaniają wierzchołki gór,  
 W strumykach przegląda się słońce,  
 A w dali szumi bór.

Na halach pasą się owce,  
 Rudą ziemię przerzyna pług,  
 Chmury schodzą gdzieś na manowce,  
 I słychać, jak trąbi róg.

Lecz choć czar wasz tak mnie omamił,  
 Żem me serce zostawił wśród was,  
 Ruszać muszę na dalszą włóczęgę —  
 Dalej w drogę! bo już nadszedł mój czas!

Następnego dnia byłem już w Dingwall i tu postanowiłem znów spróbować szczęścia, śpiewając na ulicy. Zrobiłem sobie na poczekaniu tekturową trąbę i zacząłem śpiewać na głównej ulicy. Powiodło mi się bardzo dobrze. Pod wieczór znalazłem tani dom noclegowy, gdzie zapłaciłem za łóżko. Oprócz mnie mieszkało tam jeszcze paru starych włóczęgów, spędziliśmy więc bardzo przyjemnie wieczór. Tylko łóżko moje pozostawiało dużo do życzenia, mianowicie za całe posłanie służył stary materac, żółty i poplamiony od starości, bez prześcieradeł i pościeli. Musiałem więc spać w ubraniu. Na drugi dzień zauważyłem, że wszy mnie oblaży, ale wiedziałem, że nic na to nie poradzę. Zszedłem do kuchni i razem z moimi towarzyszami zjadłem śniadanie. Potem pożegnałem się z nimi i ruszyłem dalej w stronę Londynu.

Przekonałem się, że znacznie trudniej było je-

chać z północy do Londynu, niż z Londynu na północ. Ponieważ mało ludzi jechało w tym kierunku, nie często mi się zdarzyło spotkać kogoś, kto by mnie podwiózł, a że nie zawsze miałem pieniądze na zapłacenie noclegu, więc nocowałem, gdzie się dało: w psich budach, skrzyniach na węgle, w garażach, autach ciężarowych, przybudówkach itp. wygodnych miejscach. Kiedy zaś zdarzyło mi się przemoknąć do nitki, wtedy z musu szukałem schronienia w tymczasowych przytułkach. Ponieważ jednak w takich wypadkach traciłem cały dzień następny na przymusowych pracach, korzystałem z nich tylko w razie koniecznej potrzeby. W dzień chodziłem po domach, prosząc o jedzenie. Miałem zawsze na poczekaniu jakąś wzruszającą opowieść, i zwykle dostawałem chleb z masłem, serem lub marmeladą.

Że jednak w ciągu tej mojej wędrówki niczego innego do zjedzenia nie dostawałem, znudziła mi się ta żebranina, i skoro w jakiejś mieścinie lub większej wsi natrafiłem na masarnię, nie omieszkałem wstąpić, prosząc o szynkę lub bułki. Często spotykałem się z odmową. Kiedy jednak byłem już bardzo głodny, wtedy starałem się choć raz na tydzień zdobyć porządny obiad. Któregoś dnia, kiedy właśnie gotowałem sobie odpadki mięsa na polu za miasteczkiem, nadjechał samochód, z którego wysiadł człowiek lat może sześćdziesięciu. Podeszedł do mnie.

— Co tam gotujesz, bracie? — zapytał.

— Tylko odpadki mięsa, odrobinę kapusty i ziemniaków — odparłem.

— A kiedy to będzie gotowe?

— Już jest gotowe.

— Czy mogę zostać na obiedzie?

— Proszę bardzo — odparłem — niech pan pozwoli.

Myślałem, że kpi sobie ze mnie, kiedy jednak zauważyłem, że istotnie ma ochotę zostać, dałem mu swój widelec, a sam jadłem łyżką. Jedliśmy z jednej miski.

Nie posiadałem się ze zdziwienia, patrząc na tego starego człowieka, ubranego jak lord, który jadł ze mną z jednej miski i najwidoczniej wielce ucieszony był tą sytuacją. Nie pytałem go o nic, bo nie chciałem go urazić, byłem jednak szalenie dumny, że nędznym moim obiadem mogłem poczęstować takiego gościa. Przyszło mi na myśl, że musi to być jakiś dziwak. Miał wspaniały samochód, ubrany był niesłychanie wytwornie, a jednak siedział ze mną w polu, jedząc z brudnej miski, z której nawet taki tramp jak ja, jadł z obrzydzeniem. Kiedy skończyliśmy nasz obiad, wyciągnął z kieszeni dużą cygarnicę i poczęstował mnie cygarem.

— Jest to najprzyjemniejszy posiłek, jaki miałem od dwunastu lat, to jest od czasu, kiedy sam byłem na gościńcu. Nie ma to, jak gotować w zwykłej blaszance!

— Jak to? — zawołałem ze zdziwieniem — czy to możliwe, że pan też był kiedyś włóczęgą?

— A tak — wyobraź sobie! Przez piętnaście lat włoczyłem się po gościńcach, ale wtedy byłem jeszcze młody. Któregoś dnia, idąc drogą potrącony zostałem przez samochód — ot taki, jaki tu stoi — no i zabrali mnie do szpitala. Przez tydzień byłem nieprzytomny, ale dali mój dokładny opis do gazet,

moja rodzina mnie znalazła. Kiedy wyzdrowiałem, zabrali mnie do domu i powiedzieli mi, że ktoś zapisał mi majątek. Sprawili mi ubranie i zrobili ze mnie taką lalę, jaką teraz przed sobą widzisz. Kazali mi sprawić sobie samochód, więc jeżdżę sobie po kraju, zabierając od czasu do czasu takich chłopców, jak ty. Przyznam ci się, że wcale auta nie lubię, ale nie ma co mówić, jest to duża wygoda. Powiem ci jednak, że byłem najszcześliwszy wtedy, gdy byłem wolny jak ptak. Tylko, że za moich czasów, chcąc zarobić na utrzymanie w przytułku, musieliśmy tłuc kamienie na drodze.

Rozmawialiśmy jeszcze dłuższy czas, wreszcie rzekł:

— No, a teraz chodźmy. Podwiozę cię do najbliższego miasteczka.

Zgasilem więc ogień, spakowałem manatki do worka i wsiadłem do samochodu.

Kiedy dojechaliśmy do miasteczka, dał mi funta na pożegnanie.

— Wypij za moje zdrowie.

Podziękowawszy mu grzecznie, ruszyłem w dalszą drogę.

Tej nocy przespałem się w domu noclegowym, pełnym mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy, podobnie jak ja, zatrzymali się tutaj po trudach dnia. Byli tam grajkowie uliczni, dziady, włóczęgi, domokrażcy i różna inna zbieranina, ale byli między nimi i tacy, którzy szczerze szukali pracy, wędrując z miasta do miasta. Wszyscy gotowali sobie swoją strawę dookoła dużego, rozpalonego do czerwoności pieca, ale język, jakim ludzie ci się posługiwali, był jeszcze stokroć gorętszy od ognia, przy którym gotowali.

## ROZDZIAŁ XXII.

PAN I NIEWOLNIK. — BULWAR NAD TAMIZĄ. — ARMIA  
KOŚCIOŁA. — KRYPTA ŚW. MARCINA.

Na drugi dzień rano opuściłem moje nocne schronisko i poszedłem dalej. Włóczyłem się jeszcze dobre kilka tygodni, zanim znalazłem się z powrotem w Londynie. Poszedłem najpierw na Trafalgar Square, gdzie od razu przywitani mnie dawni znajomi, wśród których zauważyłem kilka nowych twarzy. Jednym się poszczęściło, bo pokupowali sobie nowe ubrania, a nawet wynajęli sobie pokoje, na mieście, inni zaś żyli w takiej samej nędzy jak przedtem. Kiedy znalazłem się pośród nich, byłem bez grosza przy duszy. Podszedłem więc do pewnego łazika:

— Co słyhać?

— Zawsze to samo — odparł — a ty, Bonzo? Gdzieś się tyle czasu podziewał?

— Byłem na północy, chciałem zobaczyć trochę nowych miast.

— I jak ci się tam powodziło?

— Nienajgorzej.

Opowiedziałem mu różne historie z mojego pobytu w Szkocji, ale zauważyłem, że go to nie ciekawi, bo już poprzednio o tych rzeczach słyszał. Za-



pytał mnie, czy jestem głodny, na co odpowiedziałem, że tak.

— No to chodź ze mną pod „Niebieskie Ciele“, postawię ci herbatę i ciastko.

Przyjąłem zaproszenie, a on rzeczywiście poczęstował mnie nie tylko herbatą i ciastkiem, ale nawet paczką papierosów. Pożegnawszy się z nim wyszedłem na ulicę, szukając dawnych znajomych. Uszedłszy kawałek stanąłem przed drzwiami szynku na Villiers Street. Nie stałem tam długo, kiedy podszedł do mnie jakiś człowiek.

— Czy nie widziałeś przypadkiem mojego kamrata? — zapytał.

— Nie znam twojego kamrata — odparłem — jestem obcy, szukam pracy.

— Gdzie mieszkasz?

— Nigdzie. Nie mam ani domu, ani pieniędzy.

— A napiłbyś się czego?

— Pewnie — odparłem — chętnie bym się czegoś napił, ale jeszcze chętniej coś bym zjadł.

— Co — może jesteś głodny?

— Czy jestem głodny? — odparłem — cie, przecież od trzech dni nic w gębie nie miałem!

— O mój biedaku — zawołał — chodź ze mną!

Szliśmy więc kawałek ulicą, aż doszliśmy do jakiejś kawiarni. Mój nowy przyjaciel kazał mi podać porządny obiad i kupił mi paczkę papierosów. Po obiedzie rzekł:

— No, chodźmy, trzeba by się czegoś napić.

Wróciliśmy więc do szynku i kazaliśmy sobie podać piwo. Kiedy zaś lokal się opróżnił, dodał:

— Mieszkam w Kingston. Może byś chciał u mnie zamieszkać?

— Owszem — odparłem — chętnie zamieszkam u pana. Wszędzie lepiej niż na ulicy.

Pojechaliśmy zatem na dworzec Waterloo i tam kupił mi bilet. Kiedyśmy zaś przyjechali do Kingston, siedliśmy do taksówki i pojechaliśmy do jego domu. Mieszkanko było ładnie urządzone, zauważyłem tylko, że człowiek ten lubił wyłącznie modne meble. Zjedliśmy kolację, a potem mój gospodarz poszedł do swego pokoju. Zapytał mnie jeszcze, czy nie potrzeba mi ubrania. Odpowiedziałem, że owszem, a wtedy zaproponował, abym zmierzył jego marynarkę. Ponieważ zaś leżała nieźle, więc podarował mi cały garnitur. Dał mi również czystą koszulę i bieliznę.

Kiedy się ubrałem, rzekł:

— Jesteś bardzo zgrabny. Stań no tam, chciałbym ci się lepiej przypatrzeć.

Stanąłem więc posłusznie, on zaś kazał mi przybierać coraz to nowe pozy. Nie wiedziałem, o co mu właściwie idzie. Pomyślałem sobie, że widocznie ma myszki w głowie.

Po tym wszystkim zapytał mnie, czy jestem wolnomyślny. Odpowiedziałem, że owszem, ale tylko do pewnych granic.

— Widzisz, mój drogi, jestem — że tak powiem — dziwakiem. Czuję się, na przykład, bardzo szczęśliwy, jeśli mnie ktoś powiąże. I tak obiecuję ci dać dwa funty, jeśli mnie zwiążesz.

— Co takiego? — zawołałem. — Pan mi chce dać dwa funty za to tylko, żebym pana związał? Ależ

oczywiście! Z największą chęcią związę pana, jeśli to panu sprawia przyjemność!

— Poczekaj chwilkę, pójdę się rozebrać.

Wkrótce wrócił rozebrany i podszedł do jakiejś szuflady, z której wyciągnął sznury i stając w rogu łóżka, rzekł do mnie:

— Ty będziesz moim panem, a ja twoim niewolnikiem, i zrobię wszystko, czego zażadasz.

Spojrzałem na niego, myśląc, że do reszty rozum stracił. Chociaż był zupełnie nagi, nie wstydził się jakoś swojej golizny, ja zaś powiedziałem sobie, że skoro za cenę dwu funtów człowiek ten chce stroić z siebie wariata, to nie mogę mu przeszkodzić.

— Zgoda, będę twoim panem. A gdzie cię mam przywiązać?

Z chwilą, kiedy wymówiłem te słowa, człowiek ów zmienił się w jednej chwili w bledne pokurczone stworzenie i rzekł płaczącym głosem:

— Gdzie ci się podoba, panie. Może przywiążesz mnie do łóżka?

Wobec tego przywiązałem go w nogach łóżka. W miarę zaś, gdy go wiązałem, zaczął płakać jak dziecko, mówiąc:

— Przebacz mi, panie. Ściśnij mnie, jak możesz najmocniej. Zasłużyłem na to. Nigdy już tego nie popełnię.

Całe jego zachowanie zdziwiło mnie ogromnie, jak również jego płacz:

— Gzy długo mam tak pana jeszcze wiązać?

— Jak długo ci się podoba, panie mój!

Wobec tego związałem go jeszcze ciaśniej i zastanawiałem się, co będzie dalej. Potem dodałem:

— A teraz co mam zrobić?

— Jeśli taką jest wola twoja, panie mój, połącz się spać — odpowiedział.

— Chętnie to uczynię, ale kiedy mam pana odwiązać?

— Kiedy ci się spodoba, panie mój, — odparł — pozwól mi wszakże jak najdłużej cierpieć.

Położyłem się więc do łóżka, podczas gdy on jęczał i płakał. Leżąc tak w łóżku byłem ciągle niespokojny o niego i powiedziałem sobie, że to naprawdę biedny gość. Kiedy po jakimś czasie zapytałem go, czy mam go może już odwiązać, powiedział:

— Pozwól mi jeszcze cierpieć, panie mój!

Powiedziałem sobie, że w każdym razie człowiek ten mniej jest niebezpieczny wtedy, kiedy jest związany, pozwoliłem mu więc jęczeć i płakać, a sam usiłowałem zasnąć. Całą noc przewracałem się i kręciłem w moim łóżku, wreszcie o godzinie piątej rano powiedziałem sobie, że mam tego dość. Wstałem i odwiązałem go.

— O panie! — zawołał wtedy — czy raczyłeś przebaczyć twemu niewolnikowi?

— Ależ tak, tak — odpowiedziałem — wszystko ci przebaczyłem.

Z chwilą, gdy już nie czuł na sobie sznura, stał się od razu normalnym człowiekiem.

— Chciałbym, abys zawsze był moim panem — oświadczył.

Nie miałem najmniejszej ochoty wrócić do łóżka, chciałem jak najprędzej uciec z tego mieszkania, więc powiedziałem, że muszę już pójść, aby rozglądać się za jaką pracą. Ubrał się więc i przyrzadził

mi śniadanie. Potem dał mi dwa funty i powiedział mi, że za tę cenę znajdę sobie pokój. Zostawił mi swój adres i powiedział, żebym przychodził raz na tydzień. Obiecał mi też dać dwa funty za każde takie wiązanie i powiedział mi też, że jestem najlepszym panem, jakiego miał w życiu. Obiecałem mu wszystko, i że wrócę, i że go znów zwiążę, ponieważ wiedziałem, że nie ma innego sposobu, aby go uspokoić. Potem pożegnałem go i wskoczyłem do najbliższego pociągu jadącego do Londynu. Więcej się u niego nie pokazałem, ale adres jego zatrzymałem sobie na wszelki wypadek i któregoś dnia dałem go jakiemuś nędzarzowi, radząc mu, aby tam poszedł, gdyż łatwym sposobem zarobi sobie dwa funty: wystarczy, jak zwiążę tego dziwaka.

Przez szereg dni włóczyłem się po Londynie, spędzając noce w przytułkach, domach noclegowych i tym podobnych instytucjach, spotykając coraz to nowych ludzi. W jednym z przytułków poznałem młodego Irlandczyka, który nauczył mnie, w jaki sposób można się psim swędem w Londynie utrzymać. Miał przy sobie książeczkę, w której wypisał adresy wszystkich niemal dobroczynnych instytucji, jakie były w Londynie. Obok każdego adresu notował sobie uwagi, dotyczące danej instytucji, oraz to, co gdzie można było dostać. Metoda ta zaimponowała mi. Postanowiłem sam ją wypróbować. Wypisałem więc sobie wszystkie miejsca, gdzie mogłem za darmo się przespać, zjeść i dostać nowe ubranie, jak również zanotowałem sobie te instytucje, które rozdawały pieniądze. Dał mi również adresy różnych proboszczów, dobroczynnych osób oraz wskazał naj-

lepsze punkty do śpiewania. Przy każdym adresie miał też zanotowaną ilość pieniędzy, jaką tam można było dostać. Przekonałem się, że w jednym domu dawali po sześć pensów, w innym szylinga, gdzie indziej pół korony, a jeszcze gdzie indziej można było dostać dziesięć szylingów, a nawet funta. Kiedy to wszystko zliczyłem, przekonałem się, że bez wielkich zachodów można było w ciągu jednego dnia zarobić trzydzieści funtów!

Ów irlandzki wydrwigrosz zapewnił mnie, że utrzymuje się stale z takiej „rundy“, postanowiłem więc pójść za jego przykładem. Przede wszystkim poszedłem do krypty kościoła św. Marcina, aby się przespać. Kiedy schodziłem po schodach w głąb krypty, około wpół do jedenastej w nocy, spotkałem we drzwiach kobietę w stroju policjantki. Była to osoba lat średnich, o siwych włosach, łagodnej twarzy i przyjaznym uśmiechu. Zapytała mnie, czego sobie życzę, a kiedy powiedziałem jej, że proszę o nocleg, odparła:

— Bardzo mi przykro, ale nie mamy już ani jednego wolnego miejsca. Może pan jednak pójdzie do Miejskiego Biura Pomocy koło dworca Charing Cross, niedaleko bulwarów, to tam paña przyjmą.

Ruszyłem więc w stronę Charing Cross. Przedtem jednak sprawdziłem w moim notesie, czy znajduje się tam powyższy adres, i stwierdziłem, że jest. Kiedy tam zaszedłem, spotkałem w drzwiach policjanta, który dał mi mały okrągły bloczek, wielkości pensa, na którym wypisał datę oraz godzinę mego przybycia. Dokoło znaczka uwidoczniony był napis: „Nie uprawnia do zebrania“. Zaprowadził mnie do ma-

łego pokoju, wzdłuż którego pod ścianami stały ławki. W pokoju tym było już pełno ludzi. Przyglądając się im, usłyszałem nagle donośny głos dzwonka. Człowiek siedzący najbliżej drzwi wstał i wyszedł do przyległego pokoju. Dzwonek dzwonił co pięć minut, lecz chociaż ludzie kolejno wychodzili, nie widziałem, aby który z nich wrócił. Wreszcie przyszła na mnie kolej. Kiedy dzwonek zadzwonił, otworzyłem drzwi i znalazłem się w małym biurze. Przy dwóch biurkach siedzieli jacyś ludzie, obok nich leżały stopy kartotek, a na jednym biurku stał telefon.

Ledwo wszedłem do pokoju, zwrócił się do mnie człowiek, siedzący za pierwszym biurkiem:

— Jak się nazywasz? — warknął ostro.

Kiedy mu podałem swoje nazwisko, człowiek siedzący przy drugim biurku wstał natychmiast i zaczął przeglądać kartoteki.

— Czy byłeś tu już kiedy? — zapytał pierwszy, a kiedy odpowiedziałem, że nie, burknął:

— To i dobrze — a wtedy tamten drugi wrócił na swoje miejsce. Potem zapytał mnie, ile mam lat, gdzie się urodziłem, którego dnia i którego roku, czym się zajmuję, czy służyłem w wojsku, czy pobierałem zasiłek, czy mam jakąś pensję, czy jestem żonaty czy kawaler, czy mam dzieci, jak długo byłem bez pracy, oraz postawił cały szereg innych nudnych pytań. Odpowiadając na to wszystko, zobaczyłem, że tamten drugi bacznie mi się przypatruje i zapisuje coś na kartce papieru.

Potem pierwszy urzędnik zadowolony widąc z mo-

ich odpowiedzi wręczył mi kopertę zaadresowaną do Armii Kościoła i rzekł:

— Zanieś to z miejsca na ulicę Great Peter — potem wskazał na drzwi, znajdujące się naprzeciw tych, którymi wszedłem, i warknął na pożegnanie:

— Tędy wyjdź!

Kiedy wychodziłem, usłyszałem znów głos dzwonka, i wszedł następny „klient“. Poszedłem od razu do domu Armii Kościoła przy ulicy Great Peter, po drodze jednak otworzyłem kopertę, chcąc wiedzieć, co zawiera. Ku mojemu zdziwieniu znalazłem w niej dokładny opis mojej osoby oraz godzinę, w której mi ją wręczono. Zalepiłem ją z powrotem i przyszedłszy do Armii Kościoła wręczyłem ją człowiekowi, siedzącemu w szklanej budce, która była rodzajem biura przyjęć. Rozdarł kopertę, przeczytał list i kazał mi iść na górę.

Poszedłem więc na górę szerokimi schodami i przez chwilę stałem jak głupi w progu dużego pokoju, w którym były stoliki z marmurowymi płytami oraz krzesła. Przy stolikach siedziała rozmaita hołota jedząc i pijąc coś z dużych szklanek. Kazali mi usiąść koło jakiegoś młodzieńca w białym smokingu, a potem podano mi szklankę gorącej, tłustej wody, w środku której pływał kawał ugotowanej cebuli. Poza tym pływało tam jeszcze coś, czego nie mogłem rozróżnić. Może to był ziemniak, może kawałek słoniny. Dostałem również kawałek chleba, ale że nie bardzo byłem głodny, więc odstąpiłem moją porcję sąsiadowi. Gdy siedziałem przy stole, podszedł do mnie człowiek, który przyniósł mi jedzenie.



— Jak się nazywasz? — zapytał.

Po chwili wrócił, trzymając w ręce różowy tekturowy bloczek, na którym wypisane było moje nazwisko. Powiedział mi, żebym zatrzymał ten bloczek, ponieważ za niego otrzymam śniadanie. Potem zaprowadzili nas wszystkich do kaplicy, a kiedyśmy wychodzili, wręczono każdemu z nas po dwa koce. Ponieważ nie było ani łóżek, ani materaców, kazali nam spać na podłodze. Długo nie mogłem zasnąć, ponieważ robactwo bardzo mi dokuczało, a podłoga była twarda. Na drugi dzień kazali nam wstać o godzinie szóstej rano. Nie pozwoliwszy nam się umyć, powiedzieli nam, że jeżeli chcemy dostać śniadanie, musimy pójść do gmachu Armii Kościoła, znajdującego się w Mount Pleasant. Ruszyliśmy więc w drogę na wpół rozbudzeni, brudni i pogryzieni. Kiedyśmy tam przyszli, zażądano od nas bloczków, które musieliśmy oddać. Potem powiedzieli nam, że kto chce dostać śniadanie, musi wpieryw spiłować dwadzieścia osiem funtów drzewa. Może kto pomyśli, że to bagatela? Ale proszę sobie tylko wyobrazić, jak taka praca wyglądała w rzeczywistości: z pustym żołądkiem kazali nam ni mniej, ni więcej tylko piłować stare deski, najeżone gwoździami, oraz na wpół zgniłe gałęzie pełne sęków, w kawałki długie na cztery cale i do tego dali nam piłę, która od lat nie była ostrzona. Po półgodzinnej mordędze spiłowałem, co do mnie należało, i byłem bardzo rad, kiedy skończyłem. Byłem głodny jak wilk. Jeden z dozorców wziął drzewo, które przyniosłem i zważył je. Ponieważ zaś do owych przepisowych dwudziestu ośmiu funtów brakowało parę uncji, odesłali

mnie z powrotem i kazali spiłować nowy blok. Kiedy to spełniłem, zwrócono mi mój bloczek, na mocy którego przepuszczono mnie przez drzwi, wiodące przez krótki korytarz do pokoju śniadaniowego. Posadzono nas wszystkich przy długich stołach, wzdłuż których stały ławki. Kiedy zobaczyłem czyste białe obrusy oraz widelce i noże, ucieszyłem się, licząc, że dobrze sobie pojem. Ale już wkrótce miałem się przekonać, jakie znaczenie miały tutaj: „Wiara, Nadzieja i Miłość“. Dostałem bowiem kawałek zimnego mięsa w konserwie, wielkości może trzech cali, oraz dwa kawałki chleba, z których zeszkrobano przedtem margarynę. Dostałem również małą szklanekę letniej herbaty.

Po tym śniadaniu poszedłem do umywalni. Była to mała izba, w której stały cztery miednice z zimną wodą. Mydła nie dali. Na haku wisały dwa mokrusieńkie ręczniki, w które miało się wytrzeć jeszcze koło czterdziestu osób, które przyszły po mnie.

Umywszy się wyszedłem na ulicę i zacząłem wędrować po mieście. Zajrzałem do mojego notatnika, aby dowiedzieć się, gdziebym mógł dostać obiad. Znalazłem żądany adres, a kiedy tam zaszedłem, dostałem miskę gęstej zupy. W ciągu tego dnia uzbierałem sobie sporo papierosów, a kiedy nadszedł wieczór, poszedłem znowu do Armii Kościoła. Tym razem wpuszczono mnie bez trudności. Kobieta w mundurze policjantki sprowadziła mnie na dół po schodach i wkrótce znalazłem się w dużej podziemnej krypcie, słabo oświetlonej. Powietrze było zimne i wilgotne, a zapach też nie był przyjemny. Wzdłuż krypty stały ławki i krzesła, ustawione

w szeregi, a na nich leżeli ludzie, śpiąc i chrapiąc. Jedni mieli buty na nogach, inni byli bosy, niektórzy spali w skarpetkach, a jeszcze inni ściągnęli je na noc. Policjantka zasypała mnie gradem pytań, a kiedy na wszystko odpowiedziałem, poleciała:

— Weź ten oto gumowy dywanik i chodź za mną.

Wzięłem więc dywanik, który mi wskazała i poszedłem za nią. Policjantka zaś rzekła, wskazując na rząd krzesel:

— Połóż się tutaj, a rano cię zbudzę.

Przekonałem się, że obojętne było, z której strony położę głowę, ponieważ tak czy owak — musiałem położyć głowę w czyichś nogach. Zwinawszy gumowy dywanik i zrobiwszy sobie z niego poduszkę, położyłem się, nie widząc przed sobą nic tylko nogi — nogi i jeszcze raz nogi, różnej wielkości, kształtu i fasonu. A kiedy zdjąłem swoje buty, przybyła nowa para. Czy można się dziwić, że długo nie mogłem zasnąć, leżąc tak skurczony na czterech zsuniętych stołkach, w chłodzie i wilgoci, mając w uszach chrapanie moich towarzyszy, a w nosie smrodliwy zapach spoconych nóg?

## ROZDZIAŁ XXIII.

### DZIEWCZYNA ZE SKWERU.

Kiedy na drugi dzień o szóstej rano policjantka stanęła w drzwiach i zawołała donośnym głosem: „Wstawać, bo czas już wyjść!“ — spostrzegłem ku mojemu zdziwieniu, że spędziłem noc wśród nagrobków. Potem głodny, nieumyty i bez pensa w kieszeni, zmuszony byłem wyjść na ulicę. Po prostu wyrzucono nas za drzwi. Lało jak z cebra. Zanim jeszcze doszedłem do stacji kolei podziemnej koło Charing Cross, przemoczony byłem do nitki. Ale nic sobie z tego nie robiłem, wszak deszcz i słońce, głód i duże obżarstwa, łachmany i szyczkowne garnitury, te wszystkie ciągłe zmiany losu i okoliczności stanowiły właściwy urok życia włóczęgi. Zajrzałem więc do mojego notesu, chcąc wyszukać jakieś miejsce, gdziebym mógł coś śpiewaniem zarobić. Skierowałem się przede wszystkim w stronę mostu Waterloo i tam stanąłem pod sklepieniem na dole. Głodny, zziębnięty, brudny i przemoczony do nitki stałem tam od wpół do siódmej do wpół do ósmej, czekając, aż ludzie zaczną wychodzić do pracy. Z początku zjawiali się pojedynczo lub we dwoje, w miarę jednak jak dochodziła godzina dziewiąta, nadbiegali tysięcznymi rzeszami,

popychając się w pośpiechu, śmiejąc się i rozmawiając, tak że w tym hałasie głos mój całkiem ginał. Wyobrażam sobie, że musiałem wyglądać jak obraz nędzy i rozpaczy, a że do tego jeszcze wydzieriałem się wniebogłosy, więc nie miałem zbyt wielkiego powodzenia. Po godzinie dziewiątej zabrałem się do odejścia, ponieważ od tego czasu wszyscy ludzie już byli przy pracy. Zliczyłem pieniądze i przekonałem się, że mam przeszło pięć szylingów. Ruszyłem więc w drogę wielce uradowany, choć przemoczony do nitki. Przede wszystkim rozglądałem się za ubikacją, gdziebym mógł umyć się i oczyścić, za co zapłaciłem trzy pensy, a potem wstąpiłem do kawiarni, gdzie zamówiłem sobie porcję gorącej kawy oraz jajka z szynką i paczkę papierosów. Kiedy sobie pojadłem, wyszedłem z powrotem na ulicę, pętając się bez celu. Wkrótce spotkawszy znajomka, puściłem ostatnie pensy, jakie mi zostały z rannego zarobku.

Wieczorem zaś poszedłem ponownie do Miejskiego Biura Pomocy. Kiedy więc podałem im swoje nazwisko, odrzekli:

— Byłeś tu już przedtem.

— Owszem, byłem tu przedwczoraj.

— To czego znowu się tu kręcisz?

— Nie mam grosza przy duszy i nie mam się gdzie podzić.

— No — niech cię tam, bierz to i zmykaj.

Wręczył mi przy tym kopertę, na której widniał adres: „Do Tymczasowego Przytułku w Southwark“. Wziąłem list i odszedłem. Idąc przez most otworzyłem kopertę i z obrzydzeniem przeczytałem treść

listu. Zawierał dokładny opis mojej osoby oraz datę. Zmiałem list ze złością i wrzuciłem do Tamizy. „Dajcie się wypchać z waszymi przytułkami“! — mruknąłem. Potem wróciłem na Trafalgar Square, gdzie w towarzystwie innych włóczęgów przegadałem noc do białego rana.

Około drugiej nad ranem pusty plac zaczął powoli zaludniać się różnymi podejrzanymi typami, dlatego też postanowiłem przejść na tak zwany „Kapuściany skwerek“, to znaczy na ów mały kawałek trawnika, urozmaiconego paroma drzewkami, jaki ciągnie się od Gmachu Admiralicji do parku Św. Jakuba. Ku mojemu zdziwieniu zauważyłem, że nie ja jeden szukałem tam schronienia. Na trawniku bowiem leżeli w różnych grupach mężczyźni i kobiety, i tutaj też spotkałem pewną dziewczynę, która poprzedniego dnia przybyła do Londynu i zmęczona szukała schronienia. Żal mi jej się zrobiło, bo poznałem od razu, że nie była to dziewczyna typu awanturnicy. Zapytałem ją, czy ma jakie pieniądze. Na to odpowiedziała, że nie ma ani grosza i że w ogóle jeszcze nic nie jadła. Skarżyła mi się, że parę razy zaczepili ją mężczyźni, ofiarując jej pieniądze, a jednocześnie namawiając ją, aby poszła z nimi. Ona jednak wolałaby raczej umrzeć, niż tak się upodlić. Opowieść ta tak mnie wzruszyła, że postanowiłem jej pomóc. Kazałem jej poczekać na siebie dwie do trzech godzin, przykazując jej nie ruszać się z miejsca, aż przyjdę. Obiecała, że się nie ruszy. Wobec tego skierowałem się ku zachodniej dzielnicy Londynu. O tej porze bywalcy nocnych lokali zaczęli powracać do domów, więc za-

czepiałem ich wszystkich, opowiadając każdemu z osobna, że z żoną przywędrowałem aż z Manchesteru, że umieramy z głodu i nie mamy czym zapłacić noclegu. Dodawałem jeszcze, że nadaremnie szukam pracy, a chcąc ich jeszcze bardziej wzruszyć, wtrącałem, że moja żona wkrótce oczekuje dziecka.

Opowiadałem wszystkim jedną i tę samą historię i w życiu jeszcze tak mi się nie poszczęściło. Zaczepiwszy trzy zaledwie osoby miałem już w kieszeni dwadzieścia pięć szylingów, byłem więc ciekaw zobaczyć, ile jeszcze potrafię zarobić. Zaczepiłem więc jakąś wytworną parę w wieczorowych strojach, którzy właśnie wychodzili z lokalu, i opowiedziałem im moją żalną opowieść, a kobieta zawołała:

— Och, Archibaldzie, pomóż mi! — I Archibald dał mi funta. Byłem bardzo dumny i szczęśliwy, widząc jednak z daleka stróża porządku publicznego, który podejrziwym okiem mnie się przyglądał, dałem nura. W drodze powrotnej zaczepiałem nawet prostytutkę, prosząc je o jałmużnę. Powodzenie tak mnie upoiło, że nie bacząc na niebezpieczeństwo, podszedłem do dwóch młodych ludzi w nieprzemakalnych płaszczach, którzy stali na ulicy, i opowiedziałem swoją historię.

— Czy wiesz, kto my jesteśmy? — zapytał jeden z nich.

— Nie.

— Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś się nie dowiedział — odparł jeden z nich.

— Cie — odparłem — przecież nie żądam od życia niczego, oprócz łóżka i trzech posiłków dzien-

nie. Dlatego całkiem śmiało mogę do tego się przyznać, nawet choćbyście panowie byli detektywami.

— Zaczekaj — rzekł pierwszy, sięgając ręką do kieszeni — wart jesteś szylinga! — Mówiąc to dał mi szylinga. Towarzysz jego dał mi drugiego szylinga i rzekł:

— Żebyś nie myślał, że każdy detektyw to świnia! — Co powiedziawszy, poszli dalej.

Po tej przygodzie powiedziałem sobie, że bezpieczniej będzie wrócić na „Kapuściany skwerek“ i odszukać moją nieznajomą. Po drodze zliczyłem pieniądze. W życiu moim jeszcze nie uzbierałem tyle w tak krótkim czasie! Miałem całe siedem funtów. Wierzyć mi się nie chciało, że mogłem tyle zarobić i to w niespełna godzinę. Prawie pędem wróciłem na skwer.

Kiedy tam zaszedłem, zobaczyłem, jak moja nowa przyjaciółka szamotała się na trawie z jakimś alfonssem.

— Odczep się — wołała — przestań, diable jakiś!

Słyszając to podszedłem bliżej, aby się przekonać, czy to rzeczywiście ona. Kiedy się przekonałem, że to jest ona we własnej osobie i że ów opryszek chce ją zgwałcić, rzekłem do dziewczyny:

— Czy to twój znajomy?

— Owszem — odpowiedziała — kiedy odszedłeś, dał mi szylinga i obiecał, że wystara mi się o pracę. Ale potem chciał, abym z nim poszła do domu, na cò nie chciałam się zgodzić. Powiedziałam mu, że się tu prześpię i że jutro znów z nim pogadam. Położyłam się potem pod drzewem, ale on zaraz położył się przy mnie, więc ja mu mówię, żeby się wy-



nosił, bo inaczej wstanę i pójdę precz. Ale wtedy rzucił się na mnie i chciał mnie zniewolić.

Zwróciłem się więc do łotrzyka:

— O co ci się właściwie rozchodzi, białuchu?

— Cie, nie trudno się chyba domyślić, Bonzo — odparł. — Po prostu o tę przybłądę.

— Aha — rzekłem. — Tylko widzisz, ta przybłąda należy do mnie. Rozumiesz?

Od razu rzuciłem się na niego, żeby mu dać porządną nauczkę. Nasze porachunki skończyły się czarnymi sińcami pod oczami oraz na ramionach, a że ja ciągle miałem przewagę, więc zostawiłem go w stanie nieprzytomnym na trawiastym skwerku. Rozglądałem się dokoła, szukając mojej dziewczyny. Ponieważ jej nie zobaczyłem, zaniepokoiłem się jej nieobecnością. Po chwili dopiero dostrzegłem ją stojącą na uboczu, więc podszedłem do niej. Powiedziała, że źle zrobiłem, bijąc się o nią.

— Popatrz tylko, jak ty wyglądasz — rzekła — potrzebne to było?

Potem zrobiła coś, co mnie bardziej wzruszyło niż wszystko inne: wyciągnęła chustkę do nosa i zaczęła nią wycierać moją twarz tak, jak tkliwa matka wyciera umorusaną twarz u dziecka. Litość mnie chwyciła, a w sercu uczułem głęboką wdzięczność za jej troskliwość.

— Cóż, sestro — rzekłem — czy jeszcze jesteś głodna?

— Pewnie — odparła — ale mam szylinga, którego dał mi tamten.

— Gdzie go masz? — zapytałem.

Zacząła więc grzebać w swojej portmonetce i po chwili go wyciągnęła.

— Dawaj — rzekłem, i wrywając jej z ręki srebrny pieniądz, rzuciłem go daleko za siebie. — Wiesz, tak się robi! Obejdiesz się bez jego parszywego szylinga!

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Chodź ze mną, siostrzyczko, dam ci jeść.

Wziąłem ją pod rękę i zaprowadziłem do nocnej kawiarni przy Strandzie, gdzie obydwójce najedliśmy się do syta. Wtedy zaczęła zwierzać mi się z różnych rzeczy. Dowiedziałem się więc, że była ona po prostu nierozważną dziewczyną, która przyszła do Londynu w poszukiwaniu pracy, ponieważ przedtem była w służbie na wsi i zdawało jej się, że za mało zarabia. Powiedziała mi jeszcze, że nie ma nikogo prócz matki, która jest w biedzie, i dlatego chciała dostać lepszą posadę, aby matce pomagać. Otworzyłem jej oczy na wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie narażać się będzie żyjąc w Londynie, i dodałem, że jej matka na pewno o nią się zamartwi. Powiedziałem jej, że sam straciłem matkę, kiedy miałem zaledwie cztery lata, i że gdyby ona żyła, z pewnością nie byłbym dziś tym, czym jestem.

Wyszliśmy z kawiarni, a ja robiłem, co mogłem, aby zniechęcić ją i odwieść od chęci szukania pracy w Londynie. Poradziłem jej, żeby wróciła do swojej matki, i nie czekając, aż się rozmyśli, zawiozłem ją na stację, kupiłem jej bilet do Sheffield i dałem jej pięć funtów. Była tak wzruszona, że zaczęła płakać. A kiedy nie chciałem powiedzieć jej

swego nazwiska, rozbeczała się na dobre. Kiedy stała w oknie wagonu czekając, aż pociąg ruszy, odezwała się nagle:

— Tak bym chciała pocałować cię na pożegnanie. Tylko w ten sposób potrafię wyrazić ci moją wdzięczność.

Uściskaliśmy się więc serdecznie, a kiedy pociąg ruszył, stała długi czas jeszcze w oknie, powiewając chusteczką. Nie zapomnę też nigdy wyrazu, jaki miały jej oczy, kiedyśmy się całowali.

Wyszedłem ze stacji. Ulice powoli zaczęły się zaludniać, budził się nowy dzień. Skierowałem się w stronę Hyde Parku i przespałem tam cały dzień. Wczesnym wieczorem dopiero przebudziłem się i powędrowałem sobie w stronę ulicy Oxfordzkiej. Ponieważ zaś ludzie przypatrywali mi się z zaciekawieniem, uprzytomniłem sobie, że to moje podbite oczy tak zwracają uwagę. Przez chwilę poczułem się nieswojo, przypomniałem sobie jednak ową dziewczynę i to dodało mi odwagi: wszak spełniłem dobry uczynek, mogłem więc gwizdać na to, co ludzie o mnie myślą.

## ROZDZIAŁ XXIV.

LUKSUSOWE ŻYCIE W MAY FAIR. — AVRIL. — „PAN DO TOWARZYSTWA“.

Znowu włóczyłem się tygodniami po ulicach Londynu, żyjąc jak się dało, aż wreszcie któregoś dnia, kiedy szedłem wzdłuż Park Lane, przystąpiła do mnie młoda elegancka kobieta.

— Przepraszam pana — rzekła — czy pan pracuje?

— Nie. A dlaczego pani pyta?

— Po prostu widziałam pana przechodzącego tędy parę razy i zastanawiałam się właśnie, czy pan w tych stronach może ma zajęcie.

— Jeśli pani chce wiedzieć prawdę, — odparłem — to kręcę się tutaj tam i z powrotem w nadziei, że uda mi się wyżebrać parę szylingów.

— Ach tak, rozumiem, pan jest po prostu na ulicy.

— Tak, jestem na ulicy.

— A czy nie szuka pan posady?

— I tak i nie. Nie mam żadnych świadectw ani poleceń, dlatego może się pani jeszcze rozmyśli.

— To drobnostka — odparła.

Ponieważ zaś mówiąc do mnie szła dalej, poszedłem za nią.

— Może by pan przyszedł do mnie, dam panu coś do zjedzenia — rzekła.

— Bardzo pani dziękuję, chętnie skorzystam — odparłem.

Skreśliśmy więc w boczną ulicę od Park Lane i weszliśmy do olbrzymiego gmachu, podzielonego na szereg mieszkań. Wsiadliśmy do windy i pojechaliśmy na górę. Wychodząc z windy nieznajoma zadzwoniła do drzwi mieszkania. Szykowna pokojówka otworzyła nam drzwi.

— Dwie herbaty, Mary — rzekła nieznajoma.

— Dobrze proszę pani — odpowiedziała służąca, zamykając drzwi za nami.

Mieszkanie, w którym się znalazłem, było bardzo kosztownie urządzone. Na drzwiach wisiały ciężkie, jedwabne kotary, a kiedy stanąłem w moich ciężkich buciskach na miękkim puszystym dywanie, miałem wrażenie, że stąпам po poduszkach. Pokojówka wzięła kapelusz swojej pani, a kiedy wyciągnęła rękę po moją brudną, pomiętą czapkę, widziałem, że bierze ją w same końce palców, zaś wzrok jej, pełen obrzydzenia, zdawał się biec wzdłuż jej krótkiego, perkatego noska i z powrotem. Niezdecydowanym ruchem złożyła w końcu moją nieszczęsną czapkę na środku srebrnej tacy, stojącej na dużej drewnianej skrzyni. Z przedpokoju weszliśmy do obszernego frontowego pokoju o ogromnych francuskich oknach. Oszklone drzwi prowadziły na balkon. Towarzystwo tej młodej eleganckiej kobiety onieśmiało mnie, tym bardziej że nie wiedziałem, do czego to wszystko prowadzi. Może to była tylko pułapka? Bo nie mogłem zrozumieć, jak tego ro-

dzaju kobieta może zaprosić do swego wytwornego mieszkania takiego oberwańca jak ja.

Przedem wszystkim stwierdziłem, że nie mogła mieć więcej ponad dwadzieścia kilka lat. Była wysoka, dobrze zbudowana i raczej szczupła. Miała długie migdałowe oczy i prześliczne blond włosy, cerę tylko miała nieświeżą i raczej chrostowatą. Miała wstawione zęby i bardzo wąskie wargi, pomalowane na jasnoczerwony kolor. I chociaż czarna jedwabna suknia z białymi wypustkami bardzo uwydatniała jej kształty, zastanowiłem się chwilę, czy aby piersi jej były prawdziwe, ponieważ nie zdradzały żadnego ruchu, gdy krzątała się po pokoju. Ta nieruchomości jej piersi zadziwiła mnie. Zastanawiałem się też, czy pani ta odgadła moje myśli, widziałem bowiem, że była speszona czując mój wzrok na sobie.

Siedząc w wygodnym fotelu naprzeciw ogromnego okna, na tle którego rysowała się jej postać, starałem się odgadnąć, kim właściwie była owa nieznajoma. Kiedy z nią rozmawiałem, odniosłem początkowo wrażenie, że jest to dziewczyna, która pozuje na gorszą, niż jest w rzeczywistości. Później jednak powiedziałem sobie, że jest to kobieta, która pragnie ukryć lepsze, delikatniejsze strony swego charakteru. Powiedziałem też sobie, że ten typ kobiety potrafi być bardzo niedobry w pewnych sytuacjach, lecz że w jej wypadku, moralna strona jej charakteru potrafi zawsze wziąć górę.

Ponieważ zaś w czasie całej naszej rozmowy kobieta odnosiła się do mnie z większym szacunkiem, niż na to zasługiwałem, czułem się bardzo nieswój. Po pewnym czasie weszła pokojówka, popychając

przed sobą mały stolik na kółkach, na którym stały ślicznie na talerzykach ułożone różne ciastka i kanapki, jakie podaje się do herbaty. Z chwilą gdy pokojówka postawiła przed swą panią stolik z herbatą, nieznajoma rzekła:

— Zwalniam cię na resztę wieczoru, Mary.

— Dobrze, proszę pani — odparła pokojówka. Wychodząc z pokoju nie omieszkała rzucić mi znaczącego spojrzenia.

Pijąc herbatę podziwiałem w duchu wykwintne maniery mojej towarzyszki, jak również wdzięk, z jakim nalewała herbatę ze srebrnego imbryka. Usługiwała mi przy tym, tak jakbym był przynajmniej lordem. Po herbacie nastawiła radio, i z wielką przyjemnością słuchałem ładnego koncertu. Przez dłuższy czas garowaliśmy się w ten sposób, słuchając muzyki. Po chwili moja towarzyszka odezwała się:

— Mam wrażenie, że uważa mnie pan za bardzo dziwną kobietę, prawda? Ale chciałabym bardzo panu pomóc. Początkowo miałam inny plan, teraz jednak widzę, że nie jest pan tym, czym myślałam. Może się to wydawać panu dziwnym, ale powiem panu, że obserwując pana dłuższy czas, nabrałam innej o panu opinii.

— Cieszę się, że znalazłem łaskę w oczach pani — odparłem. — Mam dość tego łażikowania i życia z żebraniny.

— A wie pan — rzekła — ponieważ znam pana z widzenia od dłuższego czasu, dawno już chciałam do pana przystąpić. Nie miałam odwagi, bo nie wiedziałam, czy pan pracuje, czy nie. A teraz niech mi

pan coś o sobie opowie. Chciałabym wiedzieć coś o pańskim życiu.

Wobec tego pokrótce powiedziałem jej, kim właściwie jestem. Powiedziałem jej, że kiedy byłem bardzo młodym chłopcem, powzięłem szaloną myśl zerwania wszystkich pęt i spróbowania wolnego życia włóczęgi, ale że dziś, kiedy już tyle widziałem, zacząłem nabierać do siebie obrzydzenia. Powiedziałem jej, że życie włóczęgi ma swój urok tylko wtedy, jak słońce świeci i jak można coś zarobić, kiedy jednak nadchodzi zima i przed oczami staje widmo głodu, chłodu i różnych niewygód, postanawiałem sobie za każdym razem zabrać się do jakiejś uczciwej pracy, by nareszcie się ustatkować. Powiedziałem jej również, że często już obiecywałem sobie, że się ustatkuję, ale że do tej pory jakoś mi się to nie udało.

— Więc pan rzeczywiście ma zamiar ustatkować się?

— Tak, lecz ideały, to zupełnie tak jak droga do piekła: są wybrukowane dobrymi intencjami.

— A czy nie miałby pan ochoty zamieszkać tu ze mną?

— Nie zdaje mi się, żeby to wypadło — odparłem. — Proszę mnie źle nie rozumieć, miałbym wielką ochotę zostać, tylko nie rozumiem, w jakim charakterze. Przyznaję, że jestem drań i nicpoń, ale mimo to zostały mi jeszcze pewne zasady moralne.

— Co pan przez to rozumie? — rzekła ostro.

— Widzi pani — odparłem — gdybym zamieszkał z panią, nie mając zajęcia, tym samym byłbym na pani utrzymaniu, to zaś w moim przekonaniu



upodobniłoby mnie do alfonsa. Nie chcę bynajmniej przez to powiedzieć, że posądzam panią o niemoralne zarobki, mimo to jednak żyłbym z pani.

— Podoba mi się to, co pan mówi — rzekła — ale może znajdziemy jakieś wyjście. Potrzeba mi lokaja. Czy myśli pan, że w ten sposób łatwiej by było panu zostać?

— Pewnie — odparłem — pod warunkiem, że zachowamy wzajemnie należyty dystans.

— Doskonale — rzekła — od tej chwili jest pan moim lokajem.

Ta propozycja tak mnie podnieciła, że zadygotałem, a przez głowę przeleciała mi myśl, że nieraz w życiu dziwne zdarzają się sytuacje.

Po chwili rzekła:

— Dlaczego pan do tej pory nie zapytał mnie o nic?

— To całkiem proste — odrzekłem — po prostu dlatego, że moja sytuacja na to nie pozwala.

Pani musiała zauważyć moje zakłopotanie, rzekła bowiem:

— Nazywam się Avril X...

Następnie opowiedziała mi koleje swego życia, domyśliłem się wszakże, że rzuciła mi zaledwie okruchy wspomnień, ponieważ to wszystko razem nie trzymało się kupy.

— Widzisz, Jacku — rzekła — musiałeś wysłuchać historii, która nie bardzo cię może zajęła, ale mam nadzieję, że z czasem lepiej mnie poznasz.

Nie zawarliśmy wszakże żadnej umowy co do wynagrodzenia, jakie miałem otrzymywać, jak również nie było mowy o meldunkach ubezpieczeniowych.

Po chwili Avril zapytała mnie, czy nie napiłbym się czegoś. Ponieważ nie miałem na to ochoty, odparłem:

— Dziękuję, nie będę pił.

— Jakiś ty dziwny! — zawołała.

Rozmawialiśmy jeszcze dobre parę godzin, aż zrobiło się całkiem późno. Wreszcie rzekła:

— Mam wrażenie, że miałbyś ochotę położyć się.

Zaprowadziła mnie do łazienki, a potem do mojej sypialni i powiedziała, żebym się rozgościł. Potem powiedziała mi:

— Dobranoc.

Siedząc w wannie nasypałem sobie sporą garść soli kąpielowych, które pachniały różą. Potem zacząłem się wycierać i kiedy tak stałem cały rozpalony, usłyszałem lekkie pukanie do drzwi.

— Hallo! — rzekłem.

— Przepraszam cię — rzekła Avril — chciałam ci tylko powiedzieć, że przed drzwiami łazienki zostawiłam ci mój szlafrok, a na łóżku położyłam moją pyjamę.

— Dziękuję pani — odpowiedziałem, ponownie życząc dobrej nocy.

Po paru minutach otworzyłem drzwi, wziąłem szlafrok, a ponieważ nie mogłem zmieścić się w rękawy, zarzuciłem go sobie na ramiona. Potem pozbiierałem swoje manatki i przesmyknąłem się do przeznaczanego dla mnie pokoju. Urządzenie było śliczne i łóżko bardzo wygodne, nie mogłem tylko zasnąć w tej pyjamie, bo była za ciasna. Wreszcie zmęczony zasnąłem głęboko i obudziłem się dopiero rano, gdy ktoś zapukał do moich drzwi.

— Herbata, proszę pana — rzekł głos za drzwiami, w którym poznałem głos pokojówki — czy mogę wejść?

Byłem tak zaskoczony, że nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Po chwili dopiero, naciągnąwszy koldrę na ramiona, rzekłem:

— Proszę.

Weszła więc pokojówka, zgrabna i zwinna, i na szafce nocnej postawiła tacę z herbatą. Powiedziała „dzień dobry“, i spojrzawszy wyniośle na koniec swego zadartego noska, podreptała w stronę drzwi.

Wypiłem herbatę i zjadłem kilka cienkich biszkoptów. Potem położyłem się z powrotem do łóżka, zastanawiając się, co właściwie wypada zrobić, ponieważ Avril nie wytłumaczyła mi dokładnie czynności związanych z moim zajęciem. Wreszcie po chwili zdecydowałem się wstać i ubrać. Poszedłem do łazienki, aby ponownie rozkoszować się kąpielą. Potem ubrałem się i wyszedłem na korytarz, gdzie od razu wpadłem na Avril.

— Dzień dobry, Jacku — rzekła uśmiechając się — czy dobrze spałeś?

— Doskonale, dziękuję — odparłem. — Tylko niestety, nie mogłem zasnąć w pani pyjama, bo była na mnie za ciasna.

Roześmiała się i rzekła:

— Rzeczywiście, później dopiero przyszło mi to na myśl.

Za schodów zeszła pokojówka, mówiąc:

— Śniadanie jest podane, proszę pani.

— Doskonale — odparła Avril — za chwilę zejdziemy

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, potem Avril poszła do łazienki, ja zaś poszedłem do pokoju, w którym przygotowane było śniadanie. Stół był już nakryty i śniadanie podane, ale ja nie wiedziałem, czy usiąść czy też stać i czekać. Dla zabicia czasu więc oglądałem obrazy, wiszące na ścianach. Po chwili weszła Avril, a wtedy siedliśmy do stołu i zaczęliśmy śniadanie od grape-fruita, potem zjedliśmy smażone nereczki, jajka z szynką, grzanki, marmeladę i kawę. Przez cały czas zaś rozmawialiśmy z ożywieniem. Po śniadaniu przeszliśmy do salonu, usiedliśmy w wygodnych fotelach i Avril odezwała się pierwsza:

— Wiesz, Jacku, całą noc myślałam nad naszą umową i doszłam do przekonania, że trzeba coś innego wymyślić. Nie chciałabym, abyś został moim lokajem, ponieważ wtedy musiałabym ci dawać rozkazy, jeślibyś jednak chciał zostać moim „panem do towarzystwa“, wtedy stosunki nasze stałyby się bardziej przyjacielskie. Pokojówce mojej wytłumaczyłam, że jesteś jednym z moich dawno niewidzianych przyjaciół. Tak, — mam nadzieję, że teraz mnie zrozumiałeś.

— Jeśli posada „pana do towarzystwa“ jest posadą płatną, wtedy chętnie ją przyjmę, ale przyznam pani, że nigdy do tej pory nie słyszałem o posadzie „pana do towarzystwa“ u młodej kobiety. Słyszałem zawsze, że tylko taki mężczyzna stale towarzyszy kobiecie, który jest albo jej mężem, albo jej kochankiem.

— Mylisz się — rzekła — mnóstwo młodych pa-

nien z lepszego towarzystwa ma przy sobie takich towarzyszy.

— W takim razie — odparłem — z wielką przyjemnością posadę tę przyjmuję.

— Jacku — ciągnęła dalej Avril — nie chciałybym przede wszystkim, żebyś myślał, że tylko przez współczucie tobą się zajęłam. Wprawdzie zdaję sobie dokładnie sprawę z twojej sytuacji i wiem, że nie masz żadnych środków do życia, przypuszczam jednak, że życie pod jednym dachem da nam obojgu dużo zadowolenia. Dlatego też mam nadzieję, że mnie zrozumiesz, jeśli się przyznam, że dziś rano zatelefonowałam do krawca i kazałam mu przyjść tutaj, aby wziął twoją miarę.

— Jestem wzruszony pani troskliwością — odparłem — obawiam się tylko, że przecenia pani moje zdolności.

— Zobaczymy, zobaczymy — odparła.

Ku mojemu zdziwieniu weszła służąca, mówiąc:

— Przyszedł krojczy i czeka na pani rozkazy.

— Poproś go do salonu, Mary — rzekła Avril i zwracając się do mnie dodała:

— No widzisz, Jacku, już przyszedł.

Spojrzałem na nią ze zdziwieniem i rzekłem:

— Ponieważ nigdy w życiu nie dawałem sobie robić ubrań na miarę, byłbym pani wdzięczny, gdyby pani była przy zamówieniu obecną.

Niepotrzebnie jednak martwiłem się, Avril bowiem rzekła po prostu:

— Ten pan pragnie sprawić sobie kompletną garderobę z wyjątkiem ubrań, przeznaczonych pod zwrotnik. Proszę wziąć jego miarę.

Nie tracąc czasu krojczy zabrał się do roboty i przez pół godziny stałem jak lala, a on, drepcząc i skacząc koło mnie, brał moją miarę.

Pytał mnie o szczegóły dotyczące klap, fałdów, kieszeni, wypchania oraz podszewki, a ponieważ nie wiedziałem, co na to wszystko odpowiedzieć, Avril wybawiła mnie z kłopotu, odpowiadając za mnie. Zastanawiałem się cały czas, co też taki krawiec może o mnie myśleć, czułem się bowiem jak ryba, wyciągnięta z wody.

Kiedy nareszcie przestał mnie nudzić tymi pytaniami, przyszła kolej na wyciąganie rąk, zginania łokcia oraz przesuwania centymetra wzdłuż całego mego ciała, a potem rzekł, zwracając się do Avril:

— Czy to wszystko, proszę pani?

— Tak — odparła — byłabym jednak panu zobowiązana gdyby pan przysłał jak najszybciej odpowiednie garnitury koszul, bielizny, pyjam, szlafrok, skarpetki, krawaty oraz garnitur na codzień. Im prędzej, tym lepiej.

— Jak pani rozkaże — odparł — czy wystarczy przysłać to wszystko o czwartej?

— Owszem — odparła — ale wolałabym jeszcze wcześniej.

— Do usług pani.

Potem zwracając się do mnie rzekł:

— Czy zechciałby mi pan podać numer swoich butów?

— Osiem i pół — odparłem.

Na tym ranne przedstawienie się skończyło i krawiec wyszedł.

Byłem szczerze rad, kiedy już było po wszystkim.

— Nie chciałbym przez te bzdury przejść drugi raz — rzekłem do Avril.

— Dlaczego? — zapytała.

— Wyobrażam sobie dlatego, że nigdy w życiu czegoś podobnego ze mną nie wyprawiano — odparłem.

Potem rozmawialiśmy bardzo przyjemnie przez dłuższą chwilę, a Avril stawała mi się coraz bliższą. Po chwili jednak powiedziała mi, że musi wyjść na miasto, ale że wróci na obiad. Przykazała mi pozostać w domu przez cały ten czas i powiedziała, że krawiec z pewnością przyśle kogoś do przymierrzenia butów. Jeśliby zaś ów ktoś przyszedł podczas jej nieobecności, poleciła mi zamówić buty do tańca, do jazdy konnej, spacerowe i tenisowe, i miałem również kazać przysłać je do domu w jak najkrótszym czasie.

Gdy Avril wyszła, usiadłem w salonie, rozmyślając nad ostatnimi wydarzeniami, i chociaż wszystko to wydawało mi się niejasne i pogmatwane, nie łamałem sobie głowy nad tym, co dalej będzie. Ponieważ zaś ta przygoda spadła na mnie jak sen, powiedziałem sobie, że jest zbyt piękna, aby była prawdziwa i dlatego niedługo potrwa.

Weszła pokojówka i rzekła:

— Czy życzy pan sobie kawy?

Usiłując więc udawać „pana“ odparłem po chwili namysłu:

— Owszem, proszę.

Zauważyłem, że dziewczyna była teraz dużo uprzejmiejszą, i domyśliłem się, że Avril dała jej odpowiednie polecenie.

Po niedługim czasie wróciła Avril, więc posiedzieliśmy razem jeszcze przez jakiś czas w salonie, a potem poszliśmy na obiad. Powiedziałem jej, że był szewc i że zamówiłem buty tak, jak mi kazała, i widziałem, że się tym ucieszyła. Po obiedzie wróciliśmy znów do salonu słuchając radia i gawędząc swobodnie.

Avril rzekła:

— Nie wiem, czy lubisz tureckie „Abdulla“. Na wszelki wypadek przyniosłam ci paczkę.

To mówiąc wyciągnęła z torebki duże pudełko papierosów. Siedzieliśmy więc paląc i gawędząc dalej. Około czwartej po południu przyniesiono ubranie na codzień, pyjamy i inne drobiazgi. Młody człowiek, który przyniósł ubranie, poprosił mnie, abym je zmierzył. Spełniłem jego życzenie i powiedziałem mu, że jest doskonale i że bardzo mi się podoba. Nie miałem pojęcia, czy leży dobrze czy źle, uważałem tylko, że jest aż za dobre dla mnie. Kiedy poszedł, Avril rzekła:

— Tak, a teraz włóż swoje nowe ubranie i przyjdź mi się pokazać.

Poszedłem do swojego pokoju i włożyłem nowe ubranie, wybrawszy spośród całej kolekcji, jaką mi przysłano, odpowiednią koszulę i krawat. Kiedy wszedłem do salonu, czułem się już innym człowiekiem. Nigdy nie zapomnę, jak mimo woli cofnąłem ramiona i wyprężyłem pierś, kiedy pijany szczęściem wszedłem do pokoju. Avril spojrzała na mnie i nieopisana radość malowała się na jej twarzy, kiedy wyciągając ręce zawołała:

— Wyglądasz wspaniale!



Myślałem nawet przez chwilę, że rzuci się na mnie i uściska. Kazała mi się obracać na wszystkie strony, aby mogła dokładniej mnie obejrzeć, ja zaś czułem się niesłychanie dumny, że taka kobieta, jak ona, mnie podziwia.

Wreszcie zmęczony tym długim staniem i kręceniem się usiadłem w fotelu. Oswoiłem się już całkowicie z moją nową sytuacją i byłem tak dumny jak chłopak, który dostał pierwszego szylinga i musi koniecznie nim się pochwalić. Siedząc w fotelu czułem, że Avril nie spuszcza ze mnie oczu.

— Chodź tu do mnie i usiądź bliżej na kanapie — rzekła z uśmiechem.

Wstałem więc i podchodząc do niej, usiadłem na kanapie. Przez chwilę patrzyła na mnie w milczeniu, wreszcie zarzuciła mi ramiona na szyję i pocałowała mnie.

— Kocham cię, Jacku — rzekła.

Byłem tak zaskoczony jej nieoczekiwanym wybuchem, że dłuższy czas nie mogłem się uspokoić. Po chwili dopiero pomyślałem sobie, że jeśli do funkcji „pana do towarzystwa“ należy romansowanie ze swoją chlebodawczynią, mogę to robić bez przykrości. Toteż, nie czekając dalszej zachęty, zabrałem się do roboty.

Już po naszych pierwszych pieszczotach Avril przechyliła się w tył i rzekła:

— Nie w mówisz we mnie, żeś nigdy do tej pory nie był „panem do towarzystwa“!

Powiedziałem jej, że istotnie nieraz już miałem do czynienia z kobietami, nigdy jednak w otoczeniu zbytku. Potem Avril rzekła:

— Wyjdźmy dziś wieczór na kolację. Poczekaj na mnie, chcę tylko zarzucić płaszcz.

Gdy Avril zarzucała płaszcz, poszedłem do łazienki przyczesać włosy.

Avril, która ubrała się pierwsza, czekała już na mnie w hallu. Wychodząc z mieszkania rzekła do Mary, która otwierała drzwi:

— Zwalniam cię na resztę dnia.

## ROZDZIAŁ XXV

### WIECZÓR W PRZYDROŻNEJ GOSPODZIE.

Byłem bardzo dumny z mej posady „pana do towarzystwa“, kiedy Avril wzięła mnie pod ramię, wychodząc z windy. Portier ukłonił nam się, a komisjoner zapytał, czy ma sprowadzić taksówkę.

— Ach, nie — odparła — proszę zadzwonić do garażu i powiedzieć im, aby przysłali jak zwykle wóz dla panny X...

Komisjoner wydał polecenie portierowi i już za chwilę zajechał wóz z szoferem w liberii. Był to Daimler.

Avril dała jakieś polecenie komisjonerowi, który z kolei powtórzył je szoferowi, ja zaś wiedząc z całej etykiety tylko jedno, mianowicie, że panie powinny „iść pierwsze“, z wielką dumą wprowadziłem to w czyn. Komisjoner zamknął za nami drzwiczki i ruszyliśmy cicho z miejsca. Kiedy zajechaliśmy na miejsce, było już zupełnie ciemno. Nie zwracałem najmniejszej uwagi na to, dokąd jechaliśmy. Jako „pan do towarzystwa“ bowiem musiałem dbać tylko o sumienne spełnianie swojej roli. Wiedziałem, sądząc po ciemności, jaka panowała dokoła, że byliśmy za miastem. Zanim jeszcze dojechaliśmy, Avril otworzyła portmonetkę i rzekła:

— Pamiętaj, że to ty musisz płacić. — To mówiąc wyjęła dwa nowiusieńkie banknoty dziesięciofuntowe i podała mi je. W chwili, kiedy wręczała mi tę forszę, zdawało mi się, że to już mój koniec i że nigdy nie potrafię zastosować się do nowych okoliczności. Miałem ochotę drapnąć i wrócić na ulicę. Byłbym się czuł daleko szczęśliwszy pod stogiem siana. Powiedziałem więc Avril, że czuję się nieswojo, ona jednak rzekła:

— Nie myśl o tym. To miejsce nie jest bynajmniej szykkowne. Zresztą wkrótce się oswoisz, a w gruncie rzeczy, co ci zależy? Twoje pieniądze są równie dobre jak innych, a my także nie jesteśmy gorsi. Zresztą jesteś w moim towarzystwie, więc już ja się pomartwię za ciebie.

Po chwili samochód zatrzymał się cicho i zauważyłem, że zjechaliśmy z gościńca. Rzeczywiście, stanęliśmy przed wielką kępą drzew, szofer otworzył drzwiczki i wyszliśmy. Byłem zdziwiony, że nie widziałem nigdzie żadnego budynku, dopiero po chwili, rozglądając się dokoła, zauważyłem małe światełka przedzierające się przez gęstwinę drzew i usłyszałem dźwięki jakby dalekiej muzyki. Avril wzięła mnie pod ramię i rzekła:

— Chodźmy.

Weszliśmy w jakiś długi pasaż, obrośnięty pnącymi różami, ponieważ zaś pasaż ten był całkiem ciemny, powiedziałem sobie, że w tym jest coś tajemniczego. A kiedy doszliśmy do samego domu, wydawał mi się jeszcze bardziej tajemniczy. Wchodząc na górę po schodach spotkaliśmy w progu jakąś postać, która wyłaniając się z ciemności zaczęła nas.

Avril powiedziała swoje nazwisko oraz podała jakiś numer, a tajemniczy człowiek otworzył natychmiast drzwi. Jasne światło oślepiło nas na wstępie, posłyszeliśmy dźwięki wesołej muzyki oraz rozbawione głosy. Pan jakiś w wieczorowym ubraniu, podszedł i przywitał nas. Skłoniwszy się przed Avril wprowadził nas na salę, gdzie już tańczono. Zauważyłem, że nieliczne pary tańczące ubrane były zarówno w wieczorowe stroje jak i w codzienne, inne pary siedziały przy małych stolikach pijąc i rozmawiając, na środku stolików zaś stały małe naczynia, w które wstawione były flaszki o złotych szyjkach.

Avril dreptała koło mnie drobnym kroczkiem i w ten sposób przeszliśmy cały pokój do stolika, na którym widniała kartka z napisem „zajęty“. Kiedyśmy usiedli, człowiek, który nas wprowadził, zawołał kelnera, a kiedy ten nadszedł, Avril zapytała go, jakiego szampana może nam polecić. Kelner natychmiast wyrecytował całą litanię nazwisk, które dla mnie były po prostu chińszczyzną, wreszcie Avril zażądała coś, co brzmiało jak „kliko“. Nie miałem pojęcia, co to znaczy, wkrótce jednak wrócił kelner, niosąc flaszkę w naczyniu. Zdjął z ramienia serwetkę i zakrył nią szyjkę flaszki, przekreślił lekko i jednocześnie usłyszeliśmy trzask. Potem napełnił nasze kieliszki do trzech czwartych i wstawił flaszkę do naczynia. Kiedy podnieśliśmy nasze kieliszki, Avril zadeklamowała wierszyk, uśmiechając się przy tym filuternie:

Dwie poduszcзки z koronką w koło,  
 Na nich dwie buzie, — przy czółku czoło —  
 Widać, że dobrze im — i wesoło —  
 — Na zdrowie!

Ten wiersz tak mnie rozbawił, że zacząłem się śmiać do rozpuku i nawet przez chwilę nie mogłem pić. Kiedy zaś skosztowałem wina, Avril zapytała mnie, jak mi smakuje szampan.

— Czy to tak się nazywa? — zapytałem. — Sądząc po pianie, jaka się bieli na wierzchu, myślałem, że to imbirowe piwo.

Avril roześmiała się cicho i rzekła:

— Nalej mi drugi.

Potem zapytała mnie, czy mam przy sobie papierosy. Kiedy odpowiedziałem jej, że nie mam, rzekła:

— To każ przynieść. Tu musi się palić.

— Dobrze, ale w jaki sposób mam je zamówić? — zapytałem.

— Przyciśnij nogą guzik pod stołem.

Myślałem, że jest pijana, mimo to spojrzałem pod stół i rzekłem:

— Gdzież jest ten dzwonek?

— Widzisz ten mały guz pod dywanem — rzekła, wskazując na coś, sterczącego pod dywanem — przyciśnij nogą.

Zrobiłem, jak mi kazała, a ponieważ było to dla mnie nowością, więc zapomniałem nogę cofnąć. Za chwilę przyleciał kelner, cały w potach i ukłonach.

— Bardzo panią przepraszam za spóźnienie — rzekł.

Zauważyłem, że wzrok jego ześlizgnął się pod stół, a to przypomniało mi, że wciąż jeszcze trzymam nogę na dzwonku. Zacząłem więc gęsto się tłumaczyć. Kazałem przynieść dużą paczkę tureckich „Abdulla“, zaś Avril zamówiła coś o dziwacz-

nej nazwie, co, jak się później okazało, było małą paczką fiołkowych papierosów o złotych ustnikach.

Kiedy kelner odszedł, Avril rzekła do mnie:

— Nie należy nigdy tłumaczyć się przed służącym.

— Bardzo przepraszam — rzekłem — ale wiedziałem, że trzymam nogę na dzwonku.

— Nic nie szkodzi — odparła — tego się nigdy nie robi. Zapamiętaj to sobie.

Nalałem jej trzeci kieliszek i o mało że nie przewróciłem wszystkiego.

— A teraz chodźmy tańczyć. Ciekawa jestem, jak tańczysz — rzekła po chwili.

— Nie mam odwagi tu zatańczyć, bo nie tańczę zbyt dobrze — odparłem.

— Nic nie szkodzi — rzekła — i tak nikt na ciebie patrzeć nie będzie.

Zaczelśmy więc tańczyć walca, a kiedy muzyka przestała grać, zauważyłem, że Avril niechętnie mnie puszcza. Wracając do stolika rzekła:

— Cudownie tańczysz walca.

— Nie pochlebiaj mi, Avril — odparłem — po prostu kpisz sobie ze mnie.

Znów napełniliśmy kieliszki, a wtedy zacząłem zdawać sobie sprawę, że szampan może być bardzo zdradliwy dla kogoś, kto go nigdy nie pił.

Potem Avril rzekła:

— Zwróć baczna uwagę na człowieka, z którym będę tańczyć, ponieważ będziesz musiał dać mu pięć funtów albo i więcej, zanim wrócimy do domu.

— Doskonale — rzekłem.

Po tych słowach wstała od stolika, powiedziała, żebym dobrze się bawił i że wróci za chwilę. Widziałem, jak podrygując przechodziła przez pokój, mieszając się z grupą ludzi stojących w rogu. A kiedy muzyka zaczęła na nowo grać, przyjrzałem się bacznie człowiekowi, z którym tańczyła. Po skończonym tańcu, zobaczyłem ze zdziwieniem, że Avril wychodzi z tym człowiekiem do ogrodu, prowadząc go pod ramię, ja zaś siedziałem ciągle sam przy stoliku, z nieprzyjemnym wrażeniem, że wystrychnęła mnie na dudka i że wszyscy na mnie patrzą. Po chwili pocieszyłem się myślą, że i to widocznie wchodzi w zakres zajęć „pana do towarzystwa“, że wobec tego muszę się z tym pogodzić. Dlatego, chcąc zalać robaka, nalałem sobie jeszcze jeden kieliszek, a wtedy świat zaczął mi się przedstawiać w bardziej różowych barwach. Ponieważ zaś byłem podniecony, wstałem od stołu i poszedłem szukać Avril. Przeszedłem przez duże oszklone drzwi, którymi ona przed chwilą wyszła, i wtedy usłyszałem urywki rozmowy, prowadzonej szeptem. Ponieważ zaś w głosie kobiety poznałem głos Avril, więc siląc się na odwagę podszedłem do nich. Szampan dodał mi animuszu.

Avril spostrzegła mnie pierwsza i rzekła:

— Hallo! Zaniepokoiłeś się o mnie?

— Tak — odparłem — miałem wrażenie, że nieobecność pani zanadto się przeciąga.

Zwróciła się do swego towarzysza i rzekła:

— Muszę już odejść. Pa!

— Czy mam mu teraz zapłacić? — zapytałem szeptem.



— Tak jest — odparła — teraz będzie najlepiej. Chociaż to wszystko wydawało mi się dziwne, podeszłem do nieznanego i rzekłem:

— Polecono mi wypłacić panu pięć funtów.

To mówiąc podałem mu banknot dziesięciofuntowy, z którego wydał mi pięć.

Z chwilą kiedy mu zapłaciłem, Avril wzięła mnie pod ramię i przez te same oszklone drzwi wróciliśmy na salę i zajęliśmy miejsce przy naszym stoliku.

— Jak to miło z twojej strony, żeś się o mnie zaniepokoił! — rzekła.

— Nie ma w tym nic niezwykłego — odparłem — dziwiłem się tylko, dlaczego tak długo nie wracasz.

Patrząc na nią zauważyłem, że oczy jej nabrały dziwnego blasku, a policzki płonęły. Miałem już na języku pytanie, za co zapłaciłem owe pięć funtów, ale w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi. Zauważyłem także, że zaczyna się do mnie czulić, ściskając mnie za ręce i w ogóle zachowuje się dziwnie. Pomyślałem więc sobie: widocznie i na nią szampan zaczął działać.

Avril rzekła:

— Trzeba wracać, ale wprawdzie musisz zapłacić.

Spojrzałem na dzwonek pod dywanem i bez namysłu nacisnąłem guzik. W tej chwili zjawił się kelner, a kiedy Avril powiedziała, że idziemy, przedłożył rachunek. Dałem mu pięć funtów i wkrótce otrzymaliśmy resztę. Avril kazała zostawić mu pięć szylingów napiwku, po czym wyszliśmy przed dom.

Siedząc w aucie, Avril stawała się coraz bardziej

czuła, chwalać mnie i wbijając w ambicję. Kiedy przyjechaliśmy do domu, Avril rzekła:

— Nie zapomnij zapłacić szoferowi.

Zapłaciłem mu więc i dałem pięć szylingów napiwku. Potem dałem napiwki portierowi i komisjonerowi i śmiejąc się w duchu z siebie, powiedziałem sobie, że jestem prawdziwie chodzącą instytucją dobroczynną, rozdającą pieniądze na prawo i na lewo.

Kiedy wróciliśmy do mieszkania, Avril zrzuciła okrycie i usiedliśmy na kanapce. Powiedziała mi, że jestem doskonałym towarzyszem.

— Przyrządź mi coctail — rzekła, wskazując ręką na szafkę z napojami. Otworzyłem drzwiczki i zobaczyłem cały rząd kieliszków, butelek zawierających różnokolorowe płyny oraz blaszane puszki dziwnego kształtu.

— Co mam z tym wszystkim począć? — zapytałem. Roześmiała się i rzekła:

— W jednej z puszek znajdziesz już gotowy coctail.

Wziąłem więc do ręki małą dziwną puszkę i zapytałem:

— Czy to w tym?

— Tak, w tym.

— Pięknie, a jak się z tego nalewa?

— Po prostu zdejm pokrywkę.

Spełniłem jej polecenie, chociaż przez długi czas nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Napelniłem dwa kieliszki i rozmawiając z Avril piliśmy jeden za drugim. Toteż po krótkim czasie byliśmy w świetnych humorach.

— Napijmy się jeszcze jeden na ostatek, zanim się położymy — rzekła Avril.

Po naszym ostatnim coctailu dostałem takiego zawrotu głowy, że nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, tak że następnego ranka obudziłem się w łóżku Avril, mając jej ramiona zarzucone na swojej szyi. Byłem jednak jeszcze tak nieprzytomny, że wkrótce ponownie usnąłem. Po jakimś czasie obudziłem się znowu i spostrzegłem, że jestem sam w łóżku. Wstałem więc i poszedłem do łazienki. Ku mojemu zdziwieniu zastałem tam już Avril.

— O! bardzo przepraszam.

— Nic nie szkodzi — odparła — możesz wejść. Gdy siedząc przed lustrem grzebała w swoich lokach, rzekła nagle:

— Powiedz mi, Jacku, co ty sobie właściwie o mnie myślisz po tym, co w nocy zaszło?

— To ja właściwie powinienem się ciebie spytać, co ty o mnie myślisz — odparłem.

W jednej chwili zerwała się z miejsca i zarzucając mi ramiona na szyję, zawołała obsypując mnie pocałunkami:

— Myślę, że boski jesteś, mój Jacku!

Potem mówiła dalej, podniecając się coraz bardziej:

— Dziś rano wypowiedziałam miejsce pokojówce, wypłacając jej za miesiąc z góry. Nie chciałam, żeby wiedziała za dużo. W ciągu dnia przyjdzie nowa służąca, a wtedy możemy już spokojnie żyć razem i nikt nie będzie wiedział, że nie jesteśmy mężem i żoną.

Ta wiadomość zdziwiła mnie. Ponieważ jednak

dobrze się czułem w jej towarzystwie i ponieważ nie miałem najmniejszej ochoty zmienić obecnego trybu życia, pocałowałem ją:

— Ślicznie wszystko ułożyłaś, kochanie.

Zaraz po śniadaniu ktoś zadzwonił, a kiedy Avril poszła otworzyć, oświadczyła mi po powrocie, że właśnie przyjęła nową służącą. Wprowadziła ją do pokoju i rzekła:

— To jest mój mąż, Mary.

Służąca uśmiechnęła się do mnie mówiąc:

— Dzień dobry panu.

Avril oprowadziła służącą po mieszkaniu i objaśniła jej obowiązki. Potem wróciła do salonu i usiadła przy mnie na kanapce. Objęła mnie za szyję i rzekła:

— Tak dobrze mi z tobą, Jacku. Od dawna już pragnęłam spotkać kogoś takiego jak ty. Nie masz pojęcia, jak śmiertelnie mnie nudzą tak zwani „panowie z towarzystwa“. Po prostu nie mogę ich znieść.

W czasie naszej rozmowy dzwonek zadzwonił ponownie i pokojówka wprowadziła krawca oraz jego pomocnika. Przez jakiś czas musiałem ponownie odegrać rolę manekina, oni zaś przymierzali mi rozmaite, na wpół zeszyte ubrania z wystającymi tu i ówdzie kawałkami płótna. Kiedy wreszcie pomyślałem, że już dosyć się nakręcili i że mi już narzeczcie dadzą spokój, krawiec oświadczył mi, że musi coś poprawić przy ubraniu, które miałem na sobie, chociaż w żaden sposób nie mogłem pojąć, komu te poprawki były potrzebne. Gdy krawiec poszedł, usiedliśmy z powrotem na kanapie i zaczęli-

śmy rozmawiać. Avril zapytała mnie, co myślę o nowej służącej.

— Może będzie dobrze pracować — odparłem. — Ale wygląd jej nie jest ponętny.

— Właśnie dlatego ją przyjąłem! — roześmiała się Avril. — Pierwszą, która się zgłosiła, musiałam odprawić, gdyż za bardzo była przystojna.

Koło południa poszliśmy na śniadanie do małej restauracji w Mayfair, gdzie po puszystych dywanach przesuwali się bezszelestnie kelnerzy. A po śniadaniu poszliśmy na przechadzkę do Kensingtońskich ogrodów.

Avril była w doskonałym humorze, więc spędziliśmy rozkoszne popołudnie i dość późno wróciliśmy do domu. Wieczorem zaś po obiedzie, poszliśmy do teatru.

## ROZDZIAŁ XXVI.

### ODKRYCIE. — WALKA Z NARKOTYKAMI.

W ten sposób żyliśmy szereg dni. Byliśmy bardzo szczęśliwi i ja wkrótce przyzwyczałem się do jej sposobu bycia. W międzyczasie też moja garderoba cudownie się skompletowała, toteż jej towarzystwo już mnie nie onieśmiewało. Obserwując ją dłużej zauważyłem różne zmiany w jej usposobieniu, które szczególnie były widoczne po każdorazowej naszej bytności w owej tajemniczej gospodzie przydrożnej i w klubie, gdzie dziwnym trafem zawsze znalazł się także i ów człowiek, któremu musiałem płacić. Po każdym takim widzeniu Avril była jak odmieniona, toteż któregoś dnia, kiedy leżeliśmy razem, pieszcząc się i całując, zapytałem jej, dlaczego muszę tak często płacić temu człowiekowi.

Zmieszła się i rzekła:

— Nie pytaj mnie o to, Jacku.

— Przepraszam cię — odparłem. — Nie wiem jednak, co o tym myśleć. Rozumiem, że nie powinienem się do tego wtrącać, ale przyznam ci się, że go dziwnie nie lubię.

— Dlaczego? — zapytała.

— Sam nie wiem — odparłem. — Zauważyłem tylko, że ile razy jesteś w jego towarzystwie, zmie-

niasz się nie do poznania i stan ten trwa kilka dni, potem zdajesz się być zmęczona i zmieniasz się dopiero, kiedy go znów zobaczysz. Myślałem, że może się w nim kochasz.

— Ach, więc o to ci idzie? Jesteś odrobinę zazdrosny, prawda, Jacku?

Objęła mnie ramieniem i rzekła:

— Nie bój się, nie Kocham go. Kocham tylko jednego człowieka na świecie — ciebie. Ale chyba mi wierzysz, bo miałeś już aż nadto czasu o tym się przekonać. Chodźmy spać.

Poszliśmy więc do sypialni i gdy Avril rozbiegała się, zauważyłem mimo woli na wewnętrznej stronie jej ramienia małe ciemne plamki niebieskie, podobne do ukłucia szpilki. Wtedy straszne podejrzenie przeszło mi mózg.

— Ależ nie, to niemożliwe! — pomyślałem. — Na przyszły raz muszę lepiej na nią uważać.

W parę dni później Avril zaproponowała, abyśmy znów pojechali do owej przydrożnej gospody, do której tak często jeździliśmy.

— Nie — rzekłem — chodźmy raczej do teatru. Powiedziałem to tylko, aby zobaczyć, jak ona to przyjmie.

— Ależ nie — zaprotestowała — musimy koniecznie tam pojechać, bo mam się tam spotkać z moim znajomym.

— Dobrze — rzekłem — pójdziemy, dokąd chcesz.

Pojechaliśmy więc do owego lokalu, który już znałem na pamięć i który coraz bardziej zacząłem nienawidzić. Postanowiłem sobie zwrócić baczną uwagę na człowieka, z którym Avril stale się spo-

tykała. Rozglądając się dokoła zobaczyłem go, jak wchodził do sali przez oszklone drzwi, w towarzystwie młodej kobiety. Obserwując go zauważyłem, że miał widocznie szczególny przywilej spacerowania w nocy po ogrodzie z coraz to inną kobietą. Zauważyłem także, że człowiek ów unikał pewnych kobiet, zaś te, z którymi wychodził do ogrodu, wracały rozpromienione, ze szklącymi oczyma i dziwnie podniecone, inne natomiast wracały znacznie bardziej zgaszone i przygnębione niż pierwej. Zauważyłem to szczególnie, kiedy obserwowałem pewną młodą dziewczynę, która wychodząc z nim pod ramię wpatrywała się w niego z wyrazem niemego oczekiwania. Po chwili jednak wróciła sama, zmieniona nie do poznania. A kiedy w parę minut po niej wszedł jej towarzysz, zaczęła z nim tańczyć. Przez ten czas Avril siedziała ze mną przy stoliku, pijąc i paląc.

Byłem w smokingu, a ponieważ często tu już przychodziłem, byłem znany prawie wszystkim bywalcom tego lokalu. Rozmawiając, paląc i tańcząc z Avril zauważyłem, że dziewczyna, która tańczyła z człowiekiem, którego nienawidziłem, po raz drugi z nim wyszła, a kiedy wróciła po chwili, oczy jej płonęły radosnym blaskiem. Wtem Avril rzekła do mnie:

— Jacku drogi, teraz muszę iść do mego znajomego, wrócę za chwilę. Nie idź za mną.

I chociaż nie po raz pierwszy pocałowała mnie publicznie, tym razem jednak odniosłem przykre wrażenie, że wszyscy dokoła śmieją się ze mnie.

Widziałem, jak tańczy z tym człowiekiem, a po



chwili wyszła do ogrodu. Skoro tylko to zobaczyłem, wyszedłem drugą stroną i stając za krzakami pod-  
 słuchałem urywki rozmowy. Człowiek spytał:

— Dwie albo trzy? — na co Avril odparła:

— Teraz daj mi jedną, a dwie wezmę do domu.

Widziałem, jak wziął ją za ramię, a następnie jak wsunął jej do ręki coś, co ona wsypała do medalionu, który wisiał na jej szyi. Cofnąłem się szybko i pospiesznie wróciwszy na salę, zająłem miejsce przy stoliku w chwili, kiedy oni wracali. Avril, jak zwykle po takim spotkaniu, była niezwykle podniecona i rzekła:

— Kochanie moje, czas wracać do domu.

— Ile mam mu dzisiaj zapłacić? — zapytałem.

— Piętnaście funtów — odparła.

— Nic mnie to wprawdzie nie obchodzi — odparłem — bo to nie moje pieniądze, chciałbym jednak wiedzieć, za co tyle mam płacić.

— Ależ Jacku — zawołała — jeśli mówisz w ten sposób, mam wrażenie, że mi nie ufasz!

— Ufam ci, Avril, ale nie ufam temu człowiekowi. Wracaj do auta, a ja mu tymczasem zapłacę.

To mówiąc skinąłem głową człowiekowi i wyszedłem z nim do ogrodu.

— Ile się panu należy? — zapytałem.

— Piętnaście funtów — odparł, usiłując być jak najbardziej czarującym, co tylko jeszcze bardziej mnie podnieciło.

— A co by było, gdybym panu nie zapłacił? — zapytałem. — Wiem wszystko: „Jedną, dwie albo trzy? — Na razie proszę o jedną, a dwie wezmę z sobą.“ Pamięta pan te słowa, prawda?

— Aha, więc ma to być szantaż? — odparł. — Słuchaj, przyjacielu, to ci się nie opłaci. Gwiżdżę na to, co pan robi, bo mnie nic pan zrobić nie może. Na pańskim miejscu jednak dbałbym raczej o przyjemności swojej przyjaciółki, zamiast się błażnić.

Krew uderzyła mi do głowy. — Może ma i rację — pomyślałem — ale nie wolno mu tego mówić.

— Jak pan śmie wyrażać się w ten sposób o mojej żonie? Jakim prawem nazywa ją pan moją przyjaciółką? — zawołałem.

— Żona? — zadrwił tamten — wiem dobrze, że nie jest pańską żoną.

Gdy to powiedział, bez namysłu wyrznąłem go w mordę i po chwili zostawiłem go w krzakach, jęczącego głucho, w podartym smokingu; krew, płynąca mu z nosa, zalewała mu front koszuli. Odchodząc zaś, rzekłem:

— Może na przyszłość nie odważysz się przystąpić do mojej żony; — a jeśli bym cię jeszcze raz złapał w jej towarzystwie, zabiję cię jak psa.

Wracając do auta, uporządkowałem swoje ubranie, poprawiając koszulę i krawat, a kiedy usiadłem obok Avril, rzekła:

— Długo marudziłeś, Jacku.

— Istotnie — odparłem — zagadaliśmy się.

W drodze powrotnej nie rozmawiałem z Avril, toteż odezwała się pierwsza:

— Co się z tobą dzieje, Jacku? Jesteś poirytowany i jakby nieswój.

— Powiem ci wszystko, jak wrócimy — odparłem — teraz jestem zmęczony — i nie chcąc, aby mnie

dłużej dręczyła pytaniami, wymówiłem się bólem głowy.

— O moje biedactwo! — zawołała, otaczając mnie ramieniem, a kiedy pochyliłem ku niej głowę, pogłaskała moje włosy. Potem, podnosząc trąbkę do ust, rzekła do szofera:

— Niech pan wraca czym prędzej, mój mąż ma migrenę.

Uśmiechnąłem się w duchu, widząc jej troskliwość, auto zaś przyspieszyło biegu. Kiedy wróciliśmy do domu, usiedliśmy na kanapce, ale ja ciągle jeszcze nie przemówiłem słowa.

— Może się napijesz, Jacku? Może będzie ci lepiej? — zapytała wreszcie Avril.

— Dziękuję — odparłem — nie mam ochoty na nic.

— Na miły Bóg, co się z tobą stało? — zawołała.

— Gniewasz się o co? obraziłam cię?

— Nie, — odparłem — ale skoro koniecznie chcesz wiedzieć, to ci powiem, a potem wrócę na ulicę, jeśli będziesz sobie tego życzyła. Posłuchaj: dziś w nocy dowiedziałem się o wszystkim.

Jednocześnie zdjąłem szybko medalionik z jej szyi i otworzyłem go, przy czym ona tak osłupiała, że nawet nie drgnęła. W środku medalika były dwie małe paczuszki białych pastylek. Kiedy jej to pokazałem, zaczęła płakać, kryjąc twarz na moim ramieniu.

— Nie płacz — rzekłem — szkoda tylko, że nie wiedziałem o tym wcześniej. — Za całą odpowiedź zarzuciła mi ramiona na szyję i zaczęła szlochać, mówiąc wśród łkania:

— Czemu musiałeś wykryć tę sprawę, wiedząc przecież, że cię kocham!

Po chwili opanowała się i poprosiła o zwrot medaliona. Oddałem go, ale kiedy go otworzyła, nie znalazła w nim proszków.

— Coś z nimi zrobił? — zapytała.

— Mam je przy sobie, ale tobie ich więcej nie dam.

Poszedłem do łazienki, wrzuciłem proszki do muszli i pociągnąłem za łańcuch. Potem wróciłem do niej i zastałem ją jeszcze we łzach. Miałem wrażenie, że dostanie histerycznego ataku.

— Dlaczego nie zaufałaś mi, Avril? — zapytałem. — Mogłaś przecież przypuszczać, że wcześniej czy później to wykryję.

— Nie powiedziałam ci o tym dlatego — odparła — ponieważ za bardzo cię kocham i bałam się, że jak się o tym dowiesz, to mnie porzucisz. Powiedz mi, że mnie jeszcze kochasz, Jacku, bo jeśli mnie nie kochasz, to się otruję.

Chociaż do tej pory nie miałem właściwie pojęcia, jak ona miłość rozumie, rzekłem, aby ją uspokoić:

— Ależ tak, kocham cię, ale pamiętaj, jeśli jeszcze raz zażyjesz to paskudztwo, wtedy cię rzucę!

Położyliśmy się, tej nocy jednak nie mogłem zupełnie spać, myśląc ciągle o Avril. Doszedłem do przekonania, że właściwie jej nie kocham, ale że lubię ją jak dobrego towarzysza. Postanowiłem jednak pozostać z nią tak długo, aż się wyleczy, chociaż to, co wykryłem, ochłodziło w znacznym stopniu moje zapały. Następnego dnia postanowiłem czuwać cały dzień nad Avril, nie zostawiając jej ani

na chwilę samej. Byliśmy więc razem cały dzień, ja zaś starałem się w niczym nie zmienić mojego postępowania. Miałem tylko jedno pragnienie — uciec.

W ten sposób spędziliśmy kilka tygodni, które były dla mnie piekłem. Wyrzuciłem służącą i nie dopuszczałem do Avril żadnych gości, z wyjątkiem posłańców. Płaciłem wszystkie rachunki i sam gotowałem jedzenie, i chociaż czułem, że Avril mnie nienawidzi, trzymałem ją przemocą w łóżku, chociaż płakała i błagała, abym ją zawiózł do owej przydrożnej gospody! Ofiarowała mi nawet olbrzymie sumy pieniężne, bylebym tylko pozwolił jej kupić narkotyk. Ale postanowiłem sobie wyleczyć ją całkowicie i dlatego nie ustępowałem. Z rozpaczą widziałem, jak z dnia na dzień stawała się coraz chudsza i bledsza, zaklinałem ją, w imię jej miłości do mnie, aby pomogła mi wyleczyć się ze strasznej nałogi. Ona jednak z całych sił opierała się moim prośbom, jak dziki zwierz usiłowała ze mną walczyć, aż wreszcie wyschła jak szkielet, próbując wszystkich środków, aby mnie skłonić do ustępstwa. Wreszcie pomyślałem z rozpaczą, że jej szaleństwa doprowadzą ją do grobu. Nic bowiem nie mogło jej uspokoić. Ale po kilku tygodniach dostrzegłem u niej pierwsze objawy uspokojenia, i mniej już nalegała o narkotyk. Któregoś dnia obiecałem jej, że ją zawiozę do owej przydrożnej gospody, wpierw jednak musiała mi przyrzec, że nie zbliży się do tego przeklętego handlarza narkotyków. Toteż któregoś wieczora po raz pierwszy od szeregu tygodni pojechaliśmy do tego lokalu. Gdy siedzieliśmy przy

stoliku pijąc szampan, dostrzegłem w tłumie owego człowieka. Avril również go spostrzegła. Widziałem, że chciała się zerwać, w jednej chwili jednak chwyciłem ją za ramię:

— Pamiętaj, że jeśli choćby jednym słowem odezwiesz się do niego, zabiję i jego i ciebie! Kocham cię, ty zaś powinnaś dowieść mi swojej miłości, wyrzekając się dla mnie tej ohydy!

Z chwilą, kiedy ów człowiek zobaczył nas, zniknął. Siedzieliśmy z Avril przy stoliku, paląc i pijąc, ale nie tańczyliśmy wcale, ponieważ była zbyt słaba. Zauważyłem jednak, że ogląda się ustawicznie za owym człowiekiem. Kiedy do niej przemówiłem, zdawała się o nim zapominać. Wreszcie powiedziałem jej, że on już nigdy nie odważy się częstować ją narkotykiem, ponieważ zagroziłem mu, że go zabiję jak psa, jeśli jeszcze raz to zrobi. Na te słowa zarzuciła mi ramiona na szyję i zaczęła płakać. Ponieważ to było w publicznym miejscu, zmieszałem się tą sceną, wyprowadziłem ją więc do samochodu, zostawiając na stole więcej pieniędzy, niż wynosił nasz rachunek.

W drodze powrotnej Avril powiedziała mi, że kocha mnie bardziej niż własne życie. To wyznanie jej sprawiło mi wielką przykrość, czułem bowiem, że postępuję nikczemnie wmawiając w nią, że ją również kocham. Czułem jednak, że cokolwiek robię, robię to dla jej dobra. Wróciwszy do domu zaproponowałem jej wyjazd nad morze, aby do reszty zapomniała o nocnych klubach i gospodach przydrożnych. Avril zgodziła się i już następnego dnia spakowaliśmy kufry i wyjechaliśmy do Torquay.

Spędziliśmy tam trzy miesiące niezmaconego szczęścia. Tam też zaczęła powoli powracać do zdrowia, przytyła, cera jej nabrała rumieńców, a zmarszczki i torby, które już zaczęły się tworzyć pod jej oczami, wkrótce znikły. W przeddzień naszego wyjazdu zachwyciłem się szczerze jej wyglądem. Nie wyglądała na więcej jak osiemnaście lat. Do pewnego stopnia żal mi było, że już wyjeżdżamy, z innych jednak powodów cieszyłem się z powrotu do domu. Kiedy wróciliśmy do Londynu i znaleźliśmy się z powrotem w naszym mieszkaniu, Avril zaczęła rozwijać plany na przyszłość. Powiedziała mi, jak bardzo mi jest wdzięczna za wszystko, co dla niej zrobiłem, a szczególnie za to, że wyleczyłem ją z tego nałogu. Muszę przyznać, że nic w życiu nie sprawiło mi takiej radości. Po jakich dwu tygodniach chciałem wypróbować jej odporność na pokusę, bo chociaż stale zapewniała mnie, że już nigdy w życiu nie wróci do narkotyku, nie bardzo jej dowierzałem. Któregoś dnia więc rozgniotłem tabletkę aspiryny i włożyłem ją do papierka. Przyniosłem to do salonu i rzekłem:

— Patrz, Avril, mam tu coś dla ciebie.

— Co to jest? — zapytała.

— Jak to, nie poznajesz?

Spojrzała na mnie z obrzydzeniem:

— Skończyłam z tym raz na zawsze!

— Dobrze — odpowiedziałem — w takim razie ja to zażyję.

W chwili, kiedy podniosłem rękę, aby zażyć proszek, szybkim ruchem wyrwała mi go z ręki.

— Czyś oszalał? — zawołała. — Gdybyś wie-

dział, jakie męki przechodziłam, zanim wyrwałam się z tych szponów, nigdy byś nie wziął tego do ręki! — To mówiąc wyrzuciła proszek za okno.

Nie wyprowadziłem jej z błędu i nie powiedziałem jej nigdy, że to była tylko próba.



## ROZDZIAŁ XXVII.

### ZAKOŃCZENIE.

Któregoś dnia, kiedy rozmawialiśmy w salonie, Avril zaczęła mi mówić o swoim domu i o swojej matce. Powiedziała mi, że to na skutek narkotyków musiała opuścić dom. Rozmawialiśmy dalej na ten temat, wreszcie zapytała mnie, czy chciałbym się z nią ożenić, bo wtedy moglibyśmy wrócić do jej domu w Devon.

Ta rozmowa dała mi nareszcie sposobność, na którą od dawna czekałem:

— Chętnie się z tobą ożenię, wpierw jednak musisz wrócić do domu i opowiedzieć wszystko swojej matce. Ale nie mów jej nic o mnie, powiedz jej tylko, że wyleczyłaś się z nałogu i że się w kimś kochasz. Potem dopiero będę mógł przyjechać. Wpierw bowiem muszę znaleźć jakąś posadę.

Wkrótce po tej rozmowie Avril pojechała do domu. Przez pół godziny całowała mnie na pożegnanie, powtarzając ciągle:

— Jeszcze ostatni raz mnie pocałuj, a potem już pojedę.

Pożegnałem się z nią i spełniłem wszystkie jej polecenia dotyczące mieszkania i jeszcze tego samego dnia sprzedałem wszystkie swoje ubrania,

a pieniądze, które za nie otrzymałem, wysłałem na adres Avril do domu jej matki. Napisałem też list, tłumacząc, dlaczego pieniądze posyłam. Napisałem jej, że jeśli mnie kocha, przebaczy mi to, co robię, uważam bowiem, że to jest dla jej dobra. Wyraziłem też nadzieję, że uda jej się znaleźć kogoś, który szczerze odwzajemni się jej uczuciem. Podziękowałem jej za wszystko, co dla mnie zrobiła, i prosiłem, aby wspominała mnie bez żalu.

Tej nocy spałem w otwartym polu, pod gwiazdzistym sklepieniem nieba.

K o n i e c



AGENCI  
GŁOS  
LUBLIŃ









1000175039